

Z PAMIĘTNIKA  
SAMOTNEJ

# WRÓŻKI



EWA ZDUNEK



EDIPRESSE

KSIĄŻKI

EWA ZDUNEK

Z PAMIĘTNIKA  
SAMOTNEJ

WRÓŻKI

## **Polecamy**

**Beata Pawlikowska**

*Blondynka nad Gangesem*

**Wojciech Zawioła**

*Szukaj mnie*

**Krzysztof Gojdz, Magdalena Rigamonti**

*Zatrzymać czas*

*Sekrety medycyny estetycznej*

**Anna Kryszkiewicz**

*Karin Stanek. Autostopem z malowaną lalą*

**Hanna Bakula**

*Jak być ogierem do końca życia*

**Jarosław Kazberuk**

*MarZYCIEl*

**Marek Dutkiewicz**

*Jolka, Jolka, pamiętasz?*

**Beata Pawlikowska**

*Szczęśliwe Garnki*

*Kulinarna książka z przepisami na wiosnę*

*Kulinarna książka z przepisami na lato*

*Kulinarna książka z przepisami na jesień*

*Kulinarna książka z przepisami na zimę*

*Kulinarna książka z przepisami na święta*

*Kulinarna książka z przepisami na ciastka*

**Joseph Seeletso**

*Mali szefowie kuchni*

**Beata Pawlikowska**

*Między światami*

**Jan Kuroń**

*Sprytna kuchnia, czyli kulinarna ekonomia*

**Roma J. Fiszer**

*Kilka godzin do szczęścia*

**Beata Pawlikowska**

*Soki i koktajle świata*

**Agnieszka Dyduch**

*Z pamiętnika masażysty, czyli nic, co ludzkie, nie jest mi (już) obce*

**Joanna Wiczorek**

*Wszystkie barwy słońca*

**Beata Pawlikowska**

**Szczęśliwe garnki**

*Kulinarne przepisy na cztery pory roku*

*Wybrane najlepsze przepisy*

**Anna Kaszubska, Zargan Nasordinova**

*186 szwów*

**Beata Pawlikowska**

*Kot dla początkujących*

**Jacek Bonecki**

*Podróżnik fotograficzny*

**Michał Będzirowski**

*Jak być fajnym tatą i nie zwariować*

**Marta Motyl**

*Odcienie czerwieni*

**Anna Jurkiewicz**

*IQuchnia, czyli jak inteligentnie jeść i pić*

**Radosław Piwowarski**

*Sceny rozbierane*



*Dla Tomka – bez Niego ta książka  
w ogóle by nie powstała.*

1 września, wtorek

KURS WRÓŻENIA I FILOZOFII KART TAROTA – właśnie, tego szukałam. Od kilku tygodni jestem taką sobie wróżką mimo woli; rozkładałam karty klasycznym sąsiadkom i ich znajomym. Nie przypuszczałam nawet, że można na tym zarobić. Czasem uzyskuję w ciągu dnia większe wpływy niż przez miesiąc z tej całej pralni, w której ugrzęzłam pół roku temu, kiedy ojciec zachorował. Karty zaczęłam zabierać do pracy z nudów, bo zawsze znalazł się ktoś, kto chętnie rozegrał ze mną partyjkę makao, aż tu pewnego dnia jedna z klientek zapytała, czy umiem wróżyć. Oczywiście, że umiem. Moja babcia uwielbiała karty, a ja uwielbiałam babcię. Wiele razy opowiadała mi różne, mniej lub bardziej zmyślane historie o Cygankach, które stawiały karty, wróżyły z dłoni albo z oczu. Wcześniej nauczyłam się czytać z kart niż z książek. Babcia traktowała to jak rozrywkę. Gdy przychodziły jej znajome, zamykały się w małym saloniku, babcia rozkładała karty każdej z osobna, odprawiały jakieś rytuały. Dziadek zawsze się potem wściekał, że śmierdzi palonym zielskiem, ale dla mnie to był cudowny świat pachnącej magii, z babcią o czarnych oczach w roli czarownicy. Babcia nigdy nie pogodziła się z myślą, że musiała wyjść za mąż za właściciela dobrze prosperującej pralni, a nie za – na przykład – artystę malarza albo rzeźbiarza. Jej zdaniem, tylko artyści równocześnie doświadczają tego łagodnego przejścia między dwoma światami, rzeczywistym i duchowym. Jednak dziadek szydził, że z pędzla chleba nie będzie, a z pracy własnych rąk – zawsze. No cóż, mój ojciec przejął pralnię po swoim ojcu, a teraz ja powinnam zająć jego miejsce. Oglądać codziennie brudne majtki, pochylać się nad plamami z barszczu i z uśmiechem na ustach wydawać kwitek, do którego od stu lat dołączamy ten sam komunikat: **BĘDZIE GOTOWE ZA DWA DNI, ZAPRASZAMY PONOWNIE!** Pójdę na ten kurs. To tylko *trzy dni, przez weekend*. Przestaną być wróżką mimo woli, a stanę się wróżką z certyfikatem!

11 września, środa

Ojciec uważa, że to jakiś stek bzdur. Powiedział, że nie będzie wyrzucał pieniędzy. Bardzo dobrze, wyrzucę własne, zarobione właśnie na wróżeniu. On nie wie, że te tłumy bab, które codziennie przychodzą do pralni, tak naprawdę znikają ze mną na zapleczu i w nosie mają wysokie standardy prania prześcieradeł. Czasem, gdyby nie pomoc Roksany, mojej bezrobotnej sąsiadki, musiałabym czasowo zamykać zakład. Ojciec w ogóle jest zdania, że wszystko, co robię, jest bez sensu. Studia na wydziale filozofii – bez sensu, wcześniej ogólniak – bez sensu, czytanie książek – bez sensu, chyba że dotyczą usuwania plam z jedwabiu. A gdy stanowczo odmówiłam wejścia w związek małżeński z jednym z naszych klientów, synem właściciela pobliskiego domu pogrzebowego – było to najbardziej bez sensu ze wszystkiego. „Grabarzom nigdy roboty nie zabraknie!” – krzyczał ojciec. „Tak jak księżom. To bardzo przyzwoita rodzina, prowadzą swój interes

prawie tak długo jak my!”.

No pewnie. Wyznacznik wartości kandydata – jak długo jego rodzina prowadzi własny biznes. Może nasi rodzice zaczęliby wówczas myśleć o połączeniu firm, ich potencjalni przyszli klienci mogliby się przecież rekrutować z grona naszych klientów, a potem my pralibyśmy ich całuny pogrzebowe. Taki związek z firmą na całe życie. Tylko że myśl o dzieleniu łóżka z facetem, który godzinę wcześniej dotykał nieboszczyków, jakoś nie wydawała mi się romantyczna. Ojciec się zdenerwował.

Już wysłałam zgłoszenie, zapłacę jutro i pójdę tam. Zobaczę.

12 września, czwartek

Sny to wiadomości przesyłane przez naszą podświadomość. Informacje, ostrzeżenia, czasem wizualizacja marzeń. A co może oznaczać, że widzę samą siebie wchodzącą boso po trawiastym zboczu w górę, wokół krajobraz jak z bajki, nad wzgórzem niebo ciemnieje, zbierają się czarne chmury, dziwne, bo otoczone złotą obwódką? Wygląda tak, jakby chmura kryła w sobie całe kłębowisko błyskawic. Piękne i przerażające zarazem. Czuję lęk, ale idę dalej. Mija mnie coraz więcej osób, które pośpiesznie schodzą, a nawet zbiegają w dół. Nie przejmuję się tym. Docieram na sam szczyt, a stamtąd widzę w dole wezbrane sinogranatowe morze, fale tłukące się niespokojnie o brzeg, one także krzyczą, bym stąd uciekała, bo poszewka z błyskawicami zaraz się rozerwie. Podnoszę głowę i patrzę. Biernie czekam na to, co nieuniknione. Nagle chmury rozrywają się na tysiące kawałków, niebo mieni się wszystkimi kolorami tęczy, przecinane co i raz złotą nicią. Widzę gigantyczną kulę, która nie wiadomo skąd się wzięła, i spada z ogromną prędkością, wprost na mnie. Nie uciekam, nie staram się ukryć, choć strach wprost mnie paraliżuje. Czekam. Po prostu czekam.

Obudziłam się złana potem. Może ojciec ma rację? Może nie powinnam iść na ten kurs? Czy to ostrzeżenie? Gdyby zapytał mnie o to klient, odpowiedziałabym, że tak. Spienione fale, grzmoty, błyskawice, wzniesienia, to wszystko oznacza niepokój podświadomości. Jednak sama dla siebie nie jestem klientem. Nie analizuję, nie sprawdzam, czekam, co los przyniesie...

13 września, piątek

Poszłam. Kurs odbywa się w wynajętej sali w jednym z podrzędnych hoteli. Straszna duchota, bo sala bez okien. Zgromadziło się prawie dwadzieścia osób, większość z nich to kobiety. Niektóre głośno dyskutowały nad określonymi rozkładami kart tarota i sprzeczały się o ich interpretacje. Po co one tu przyszły? A może ja nie doczytałam i to jest kurs dla zaawansowanych? Trochę się niepokoję, nie miałam do tej pory kart tarota w ręku. Na razie koniec z pisaniem, bo wchodzi prowadząca i prosi o ciszę. Włosy jej sterczą, jakby przed chwilą wyjęła palce z kontaktu. Już wiem, że jej nie polubię. Wśród kursantów jest tylko dwóch mężczyzn. Jeden z nich, około sześćdziesiątki, trzyma się mocno

wymalowanej, tlenionej blondyny uczesanej w kok; drugi, dość przystojny, jest sam. Trochę dziwny, bo wszyscy mają karty, mądrzą się na temat wróżenia, a on siedzi, słucha i czasem coś zanotuje. Zaintrygował mnie. Ma na imię Jacek.

Wieczorem

Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Chyba się jednak wygłupiłam. Strzyga w roli prowadzącej, same profesjonalne wróżki dookoła, nie mam pojęcia, o czym mówią. Zdaje się, że przed przystąpieniem do kursu powinnam była kupić sobie karty, nauczyć się ich znaczenia i dopiero potem przyjść. Siedzę jak na tureckim kazaniu. Czarownica cicho bełkotała, więc przez pierwsze dwie godziny w ogóle nie wiedziałam, o co chodzi. Później przyczepili jej maleńki mikrofonik do żakietu, który ta szeptucha zdjęła i zaczęła mówić wprost do niego. Jedyne, co teraz słyszałam, to jeden przeciągły pisk. Coś rysowała na tablicy, ale podpisy były, zdaje się, w innym języku, języku wiedźm i wilkołaków, bo też nic nie odczytałam. Nie mam ochoty iść tam znowu jutro, ale przecież nie mogę powiedzieć ojcu, że to porażka. Triumfowałby przez rok, na miesiąc by odpuścił i znów by mi zaczął wypominać, że miał rację, że to bzdura i wyciąganie pieniędzy. Może po drodze na kurs wstąpię do jakiegoś sklepu i kupię talię kart tarota. Przynajmniej pooglądam sobie obrazki. Jacek nie zwraca na mnie uwagi – jestem tylko jedną z wielu wróżek, które przyszły na kurs wróżenia. Ale mnie ciekawi, co on tu robi. Nie wygląda mi na wróżbitę.

14 września, sobota

Wiedźma chyba za szybko leciała na miotle, bo całe ubranie miała przekręcone na bok. Nawet twarz jakby jej trochę zniekształciło. Ciekawe, jak podróżują strzygi? Mają bilet miesięczny Warszawa – Łysa Góra – Warszawa? Dziś od samego początku zaczęła wymachiwać kartami trzymanymi w dłoni i coś skrzeczeć. Znów nic nie zrozumiałam. Nawet nie ma się kogo zapytać, bo wszyscy są przecież doskonale zorientowani. Obok mnie usiadło małżeństwo wróżów. Chyba tak ich należy nazywać? Ona wróży i on też. Skupieni jak na maturze. Pani prowadząca chyba zadała nam pracę samodzielną z kartami, bo wszyscy pochylili się nad swoimi taliami. Dobrze, że kupiłam karty. Co ona tam mruczy? Aha, trzeba rozłożyć siedem kart i trzy poniżej. Dobrze. Mam. Te Denary to chyba pieniądze?... Co ma z tego wynikać? Za głupia na to jestem, wciąż nic nie rozumiem. Jacek podszedł do mnie na przerwie. Zapytał, czy możemy usiąść razem podczas ćwiczeń, bo większość kursantów już się dogadała. Oczywiście, zgodziłam się. Okazuje się, że to lekarz psychiatra. Pojawił się tu, bo bada zjawisko uzależnień i manipulacji. No nieźle. Ale fajnie nam się ze sobą szeptało. Jacek ma ogromne poczucie humoru. Pokazał mi jedną panią, siedzi ze dwa metry przed nami. Ona przez większość czasu zwija i rozwija papierek. Zdaniem Jacka, to świadczy o nerwicy. Wskazał mi jeszcze kilka innych osób, między innymi korpulentną kobietę o czarnych włosach, która co chwila wycierała nos. „Jest

zdeenerwowana albo niepewna” – ocenił Jacek. „Coś lub ktoś stale wzbudza w niej niepokój”. Nie miałam odwagi zapytać, co zaobserwował, patrząc na mnie.

Później

Pan wróż jest z wykształcenia grafologiem i różdżkarzem. Jak nie ma pracy w jednym zawodzie, zwraca się do drugiej profesji. Opowiedział mi, że kiedyś został poproszony o zbadanie, czy na działce pod domem biegną żyły wodne. Pomylił weekendy i zastał domek zamknięty. W drzwiach tkwiła karteczka. Pomyślał, że to do niego, więc przeczytał. A tam stało: „Za godzinę, kotku”. Nie umiał rozstrzygnąć, jak odnieść się do komunikatu, ale odczekał godzinę. Gdy już miał odjechać, pojawili się właściciele, żona i mąż. Żadne nie chciało się przyznać do napisania karteczki, uznano sprawę za głupi żart. Kilka dni później pani zgłosiła się do niego z prośbą o postawienie kart na okoliczność tego zdarzenia, a pan, niezależnie, poprosił o analizę grafologiczną pisma. „Zarobiłem trzy razy!” – pochwalił się pan wróż. Później okazało się, że to sąsiad pomylił domki.

Jego żona, znaczy się tego grafologa, ma z kolei widzenia, nie mylić z przewidzeniami. Ciągle coś widzi. Kilka dni temu widziała, jak tramwaj przejeżdża młodą dziewczynę na pasach, i następnego dnia podali, że w Zamościu zdarzył się taki wypadek. „Gdybym wiedziała, gdzie i kiedy, mogłabym ostrzegać ludzi” – wyjaśniła mi pani wróżka. „To moja misja otrzymana od Boga. Tylko narzędzi mi nie dał”. Uśmiechnęła się szeroko. „Tarot będzie moim pomocnikiem”. Dziwni, ale mili. Poczułam do nich sympatię, nawet nie zapytałam Jacka, co sądzi o tej parze, bo chciałabym utrzymać z nimi kontakt. Dalej nie wiem, co z tymi denarami. I co ma do tego żywioł powietrza? Może na studia powinnam pójść? Takie z wróżenia, bo po tym kursie będę chyba tak samo mądra, jak przed. Jacek pocieszył mnie, że jest to rodzaj wiedzy, której nie da się przekazać, jak w szkole. „Można nauczyć się symboliki kart, ale i tak bardziej chodzi o pewien rodzaj interakcji między wróżącym a klientem” – tłumaczył mi. „To jest rodzaj emocjonalnego zaangażowania się, jak w miłości”. No cóż, on chyba wie, co mówi...

15 września, niedziela

Dziś są wykłady z bogatej oferty firmy, która zorganizowała ten kurs. Cały kram wystawili, książki, karty, wahadełka, amulety, kamienie, kadzidełka, akcesoria i uzdrawiające specyfiki. Brakuje szklanych kul i czarnych kotów, do kompletu. Zwariowałam, po co ja tu przyszłam? Za grosz nie ma w tym sensu. Od pomachania zajęczą łapką nie znikną komuś kurzajki! Kupiłam sobie kilka książek, z czystej ciekawości je przeczytam, w tym opis kart tarota. Może sama się nauczę, w końcu już zainwestowałam w talię. Na koniec zajęć para ochotników poddawała się praktykom wróżbiarskim kursantów. Na karteczce pisali odpowiedź na zadane pytanie, wkładali do koperty, potem wróżący rozkładał karty i je interpretował. Nic się nie zgadzało, ale wszyscy udawali, że tak miało być.

Wszystko jest okej. Pytanie nieprecyzyjnie zadane, odpowiedź nieczytelna, karty zmęczone. O rany, co ja tu robię?! Pan wróż-grafolog popisał się wiedzą, lecz nie z dziedziny ezoteryki. Bardzo trafnie scharakteryzował osobę, której wróżył, ale na podstawie napisanej przez tę osobę daty urodzenia oraz jej imienia. Przyznał mi się do tego w przerwie. Powiedział, że ta wiedza bardzo mu się przydaje i często z niej korzysta. To mnie zastanowiło. Skończyłam przecież filozofię, czy w jakiś sposób mogę to wykorzystać?

16 września, poniedziałek

Nudno, bo baby na wróżenie przyjdą po odpracowaniu kolejkowych pogaduszek. Czytam sobie książki, które kupiłam na kursie. W tajemnicy przed ojcem, bo przecież by mnie zabił! W jednej z nich jest napisane, że można wróżyć, obserwując ptaki. Gdy na linii wysokiego napięcia usiądzie ich parzysta liczba, to wróżba jest korzystna, jeśli nieparzysta, to niekorzystna. I tak: dwa kosy siedzące obok siebie to dobry znak, jedna sroka to zapowiedź nieszczęścia, wrona, która zakracze dwa razy, zwiastuje przykre wiadomości, a czapla – rozpad związku. Gołębie w każdej liczbie przynoszą szczęście, podobnie wilgi, mewy i kaczki. Jaskółki, wróble i bociany też lubimy, ale trzy osobniki jakiegokolwiek gatunku przemieszczające się w lewą stronę – to ostrzeżenie przed chorobą lub śmiercią. Dowiedziałam się również, że można zwrócić się z pytaniem do wiatru. Należy zrobić to o wschodzie słońca. Gdy wiatr zawieje w kierunku północnym lub zachodnim, odpowiedź brzmi „tak”, gdy wschodnim lub południowym „nie”. To jest naprawdę fascynujące, można wróżyć z ognia, z rozsypanej słomy, z pary wodnej i płomienia świecy. Czytam to z ogromnym zainteresowaniem. Tarot na razie leży i czeka.

17 września, wtorek

Jedna z klientek przyszła dziś z prośbą o sprawdzenie w kartach, czy mąż ją zdradza. Nie zauważyłam, że ojciec jeszcze nie wyszedł do domu i usłyszał samą końcówkę pytania. Gdy poszłam z klientką na zaplecze, widocznie uznał, że ta kobieta chce porozmawiać ze mną na ten temat, może nawet, że to ze mną ten mąż ją zdradza. Poszedł więc za nami. Otworzył z rozmachem drzwi i ryknął na całe gardło:

– Moja córka nie ma żadnych gachów, a już na pewno nie takiego kurdupla, jak ten pani mąż! To porządna... wróżka?!

Wyprowadziłam się na poddasze. Tego stryszku i tak nikt nie używa, pełno tu pajęczyn i mysich odchodów. Na pewno nikt nie będzie miał do mnie pretensji, jeśli sobie to miejsce zaadaptuję. Odmaluję, urządzę, mam w końcu trochę własnych pieniędzy. Ojciec postawił mi ultimatum: koniec z wróżeniem, koniec z samotnym życiem, mam wyjść za grabarza i uczciwie prowadzić pralnię. Nic z tego! Jestem dorosła i sama będę o sobie decydować! Pierwszą decyzję już podjęłam: zamieszkać na stryszku i rozejrzeć się za jakąś pracą. A póki co, zostanę

wróżką. W gruncie rzeczy wróżką mimo woli.

20 września, piątek

Spotkanie w restauracji. Sześć wymalowanych i wyperfumowanych panie, które głośno rozprawały o paznokciach i facetach, i ja w charakterze atrakcji – jako wynajęta na wieczór wróżka. Nuda. Chciałam już wyjść, ale zapowiedziano tort, poza tym jeszcze mi nie zapłacono. Z zainteresowaniem obserwowałam scenę rozliczania się trzech kobiet. Jak wynikało z rozmowy, jedna z nich – najbliższa koleżanka przyszłej panny młodej – zapłaciła za cały poczęstunek. Druga z koleżanek zobowiązała się pokryć część wydatków. Ustaliły, że jedną piątą. Reszta przytaknęła. Zaczęły więc liczyć na tipsach, ile to jest jedna piąta z 1650. Po kilkunastu minutach wyszło im, że Beata, jedna z dziewczyn, ma zapłacić drugiej dziewczynie, Karolinie, 350 złotych. Gdy to robi, to do podziału pozostanie tylko 1300 złotych. Więc Beata wyjęła z torebki dwie dwusetki. Wtedy Karolina zaczęła domagać się od pozostałych dziewczyn, żeby jej rozmieniły, bo nie ma wydać. Na to gospodyni wieczoru powiedziała, że ona za nią, czyli za Karolinę, założy i ta będzie jej winna 150. Następnie zwróciła się do Beaty i powiedziała: „Więc ty teraz wpłacasz tylko 600, bo potrącimy to, co jesteś winna Karolinie”. Beata ucieszyła się i zamknęła torebkę. Na to ta, która cały czas liczyła, ile to jest 1/5 z 1300, zrobiła niezadowoloną minę, bo teraz wszystko będzie musiała liczyć od nowa. Po kolejnych kilku minutach, gdy wszystkie mówiły równocześnie, dwie dziewczyny wyjęły portfele i zaczęło się rozliczanie. Jedna drugiej wręczała to dziesięć, to pięćdziesiąt złotych, informując pozostałe, że jest już na czysto rozliczona. Pozostałe koleżanki także zapytały o swój udział w tym płaceniu, na co padła odpowiedź, że one już są rozliczone i jako dowód wskazano owe dwie dwusetki, które leżały na stoliku. Na marginesie, mnie zapłacili z innej puli.

No cóż, jestem teraz na swoim garnuszku. Ojciec zapał się i nie odzywa się do mnie. Do pralni przyjął moją sąsiadkę, Roksanę. Nie sądzę, żeby miał z niej pożytek, bo ona przecież nie rozróżnia bawełny od wełny, ale chciał zrobić mi na złość. Wiedział, że Roksana o wszystkim mi doniesie. To taka nasza osiedlowa papla. Trudno, ja nie ustąpię i ojciec też pewnie nie ustąpi. Zobaczymy, co się stanie.

21 września, sobota

Wczoraj zatelefonowałam do ojca. Jacek przekonał mnie, abym to ja pierwsza wyciągnęła tę przysłowiową rękę na zgodę. „Wiesz – tłumaczył mi, gdy razem zrywaliśmy spróchniałe dechy podłogi – on jest twoim ojcem, chce dla ciebie jak najlepiej, choć inaczej definiujecie pojęcie szczęścia i korzyści. Dla niego finansowa stabilizacja to pełnia szczęścia, dla ciebie niekoniecznie. Poza tym on przez całe życie był szefem, wszystko kontrolował. Przypomnij sobie, że kiedy państwo zwalczało takich jak on prywaciarzy, to musiał być silny i niezłomny.

Czas go wyprzedził. Nie zdążył pogodzić się z faktem, że już nie musi tak zażarcie walczyć. Ale też okoliczności temu nie sprzyjają. Biznes wymaga żelaznej ręki, twardego stąpania po ziemi, a ty co? Wróżysz z kart? Zamiast zachęcać klientów, żeby częściej prali prześcieradła? On tego po prostu nie rozumie”.

Jacek miał oczywiście rację. Schowałam urażoną dumę do kieszeni i zesłam dwa piętra niżej. Zapukałam do drzwi naszego mieszkania. Chciałam wyjaśnić, że wtedy wróżyłam dla zabawy, ponieważ stała klientka mnie o to poprosiła, że to takie moje „kieszonkowe”. Ojciec przez drzwi wykrzyczał, że nie będzie ze mną rozmawiał, bo jestem dwulicowa i uzależniona od kart jak babcia. Dla niego to „łatwy kawałek chleba”. Dodał jeszcze, że jest mu wstyd pokazać się ze mną gdziekolwiek. „Nawet męża nie masz!” – zakończył przemowę, jakby to był koronny argument.

Samotna jak ten palec! Samotna wróżka, psiakrew!

23 września, poniedziałek

Ojciec oświadczył wobec naszych wspólnych znajomych, że według niego nie jestem odpowiedzialną osobą, ponieważ... oszukuję. I to nie tylko jego. Innych także. Jego zdaniem, praca wróżki to jedno wielkie oszustwo, w którym ja chcę brać udział. Potraktował mnie jak kłoszarda, którego on, szlachetny i dobry człowiek, chroni przed całkowitym upadkiem moralnym. Teraz już rozumiem, co oznaczał mój sen. Stanowił zapowiedź nowego, które rodzić się będzie w bólach. Samotna wróżka? Dobrze, niech tak będzie. Udowodnię mu, że jestem profesjonalną wróżką i nie zamierzam długo być samotna. Od jutra zacznę uczyć się kart tarota. Ja mu jeszcze pokażę!

3 listopada, niedziela

Jak wygląda praca wróżki? Banalnie. Telefon, komputer i magiczne karty. Zaraz na początku, jeszcze przed zalogowaniem się, przygotowałam sobie przytulne stanowisko pracy, nastrojową muzykę, świecę i w charakterze czarnego kota – czarnego psa. Po kilku dniach intensywnej pracy stanowisko pozostało: przyjemny kąt w domu, gdzie nic mnie nie rozprasza, świeczka też jest, choć często nie zdążam jej zapalić. Co do muzyki, to przeszkadza podczas rozmów, czasem połączenia są słabej jakości, a mój czarny koto-pies już dawno zrezygnował z asysty. Dorobiłam się za to bardzo gadatliwej papużki, która – a raczej który – jest moim niezastąpionym asystentem. Przez kilka tygodni usiłowałam nauczyć Bolusia kilku miłych słów, on jednak uznał, że najbardziej przydatne słownictwo to: „buzi”, „sio!”, „już”, „tak”, „nie” i „poszła sobie”. Repertuar może nie najszerszy, ale niezwykle trafnie przez niego używany, zwłaszcza gdy słowo pada w połączeniu z gestem. Czasem czułam zażenowanie, gdy Bolek wzruszał skrzydełkami i mówił „Poszła sobie, sio!” do klientki, która dość długo zadawała mi pytania. Oczywiście, za każdym razem gdy klient rozpoczyna zdanie od „Czy”, Bolek odpowiada stanowczo „Tak!” lub „Nie!”, a gdy pada pytanie „Czy już



kończymy?” – odpowiada zdecydowanie „Już!”. Wiele osób, w tym moich sąsiadów, przywykło już do jego okrzyków typu „Kto tam?”, „Halo, tu Boleś!”, albo „Gdzie poszła?”. Bolek siada mi na ramieniu, gdy rozmawiam przez telefon, i zwykle wtrąca się do rozmowy, bywa, że w słuchawce słychać jego rozbudowany komentarz złożony z kilkunastu słów ludzkich i papuzich, który zwykle podsumowuje kiwaniem głową i krótkim „No!”.

W remoncie stryżku bardzo pomógł mi Jacek i pan Ryszard, ten grafolog z kursu. Zaprzyjaźniłam się z nim i jego żoną, panią Zofią, oboje są dla mnie jak rodzina, ciepłi i przyjacielscy. Sama nie dałabym rady. Teraz mogę panoszyć się w wyłącznie mojej czterdziestopięciometrowej przestrzeni, w której udało się wykroić dwa pokoje i kuchnio-przedpokój. Łazieneczka jest ładna, ale niezwykła: prawie cały sufit zajmują lukarny, przez które widać niebo. Leżąc w wannie, mam wrażenie, jakbym kołysała się na morzu. To moje ulubione miejsce relaksu i czytania książek. Jednak czasem przeszkadza mi, że nie pracuję niczym średniowieczny mag, w cichej zaciemnionej wieży, wśród lunet i horoskopów. Nie mogę patrzeć w niebo i snuć wizji. Gdy obsługuje się połączenie za połączeniem, nie ma czasu na zajmowanie się drobiazgami. Drogie minuty mijają, a ja muszę się maksymalnie skoncentrować. Dlatego wolę nocne rozmowy. Wtedy na moim stryżku jest cicho, towarzyszy mi ciepłe światło lampki, a gdy słucham – patrzę w okno, przez które widzę księżyc i gwiazdy. Obok mnie paruje kubek z ulubioną owocową herbatą. Kiedy przychodzą klienci, obowiązkowo zaparzam zieloną z dodatkiem czegoś dziwnego. Zwykła czarna nie przejdzie. Nie u wróżki.

Podczas pisania maili i innych nieinteraktywnych prac włączam muzykę. Koncentracja jest niezwykle ważna. Czego słuchają wróżki? Oficjalnie muzyki reiki, ale ja wolę rytmy latynoamerykańskie, które bardziej pobudzają do życia. Kiedyś ktoś zadał mi pytanie o karty. Czy rzeczywiście w trakcie połączenia telefonicznego rozkładam i analizuję jednocześnie karty klasyczne, tarota i inne? Nie. Nie ma na to czasu, zwłaszcza podczas rozmów przez telefon. Poza tym każdy doradca ma swoje ulubione metody, ja także. Karty klasyczne podają odpowiedzi ogólne, szersze, opisują przeszłość i teraźniejszość, przy pełnym rozkładzie widać, co było, co będzie, na co się zanosi. Jeden rozkład może dać odpowiedź na wiele pytań, o ile nie są one bardzo szczegółowe. Tak naprawdę to już pierwszych dziewięć kart sygnalizuje, co będzie dalej. Karty tarota opisują szczegóły. Gdy ktoś pyta bardzo konkretnie, to właśnie ta metoda wróżenia sprawdza się najlepiej. Tarot „rozmawia”, jest aktywny, może to przesądza o jego „szatańskiej” niesławie. Tarot potrafi odmówić odpowiedzi, udzielić ostrzeżenia, rady, upomnienia, odpowiedzieć bardzo dokładnie i szczegółowo, albo jałowo i ogólnie. Sam wybiera. Często „odmawia” odpowiedzi na pytania oczywiste lub należące do strefy wolnej woli człowieka. Dlatego i ja odmawiam udzielania odpowiedzi na niektóre pytania. W tarocie czasem wystarczy jedna karta, aby wiedzieć

wszystko o osobie, która pyta.

Budzi zdziwienie, że nie proszę o podanie daty urodzenia, tylko o imię. Ale ja nie zajmuję się numerologią. Imię przylega do człowieka, a pytanie niesie ze sobą intencję, to wystarczy. Nie boję się tzw. pytań sprawdzających. Czasem klienci marnują pieniądze, żeby pytać mnie o coś, co już się wydarzyło, aby przekonać się, czy nie zmyślam, czy wszystkim odpowiadam tak samo, itp. To głupie. Jeśli nie czujesz zaufania do doradcy już po kilku sekundach rozmowy, zwyczajnie rozłącz się i wybierz innego, bo i tak nic z tego nie wyjdzie. Ja nie wypytuję ludzi. Nie znam ich, nic o nich nie wiem. Proszę wyłącznie o imię i konkretne pytanie. Im dokładniej sprecyzowane, tym lepiej dla nich, bo otrzymają precyzyjną odpowiedź. Te same karty można interpretować różnie, w zależności od kontekstu. Na przykład karta Rydwan może oznaczać przeprowadzkę, przenosiny, szybką wiadomość, ścieranie się świata zewnętrznego i wewnętrznego w postaci podejmowania decyzji. Gdy klient ze mną współpracuje, to znaczy w trakcie interpretacji precyzuje, co ma na myśli, naprowadza mnie, o jakie tłumaczenie może chodzić, wówczas otrzymuje jasną i satysfakcjonującą go odpowiedź. Zwykle taka wróżba spełnia się w stu procentach.

4 listopada, poniedziałek

Poniedziałek jak zwykle jest bardzo pracowity. Sama nie wiem dlaczego, ale najwięcej telefonów odbieram właśnie w poniedziałki. Następnie we wtorki i w środy. Potem tempo pracy zwalnia, wyraźnie wyhamowuje w czwartek i piątek przed południem, żeby znowu przyspieszyć w sobotę i w niedzielę.

Może zacznę prowadzić jakieś statystyki? Na przykład: w poniedziałki zapytania o miłość – po weekendowych randkach, we wtorki zapytania o pracę i biznes – po poniedziałkowym rozmarzeniu warto wreszcie wziąć się do pracy, w środę zapytania różne – środek tygodnia! W czwartek pomysły na pytania się kończą, w piątek rozwiewamy wątpliwości z gatunku: czy on/ona mnie kocha? W sobotę zapytania o zdradę, a w niedzielę o zdrowie. Dużo mam tych rozmów, spotkań i korespondencji. Tak szybko rozwinęła się moja wróżbiarska działalność, że aż trudno mi w to uwierzyć. Jestem samowystarczalna. Nauczyłam się posługiwać kartami tarota i to otworzyło mi drogę do szerszej klienteli. Jacek nazywa ten fenomen ucieczką przed realiem w świat nierzeczywisty. Ludzie szukają nadziei tam, gdzie – zdawałoby się – nie sposób jej znaleźć, a rozmowa ze skądinąd anonimową osobą daje złudne poczucie bezpieczeństwa. Zgadzam się z nim, klienci mówią mi o wszystkim, są tak bardzo otwarci i szczerzy, że czasem mnie to zdumiewa. Dzielą się ze mną rozterkami, problemami, radościami, przykrościami. Ci, którym wróżę osobiście, nie przez telefon, są bardziej skryci. Może właśnie dlatego częściej wiszę na telefonie?

Dziś zatelefonował do mnie klient, którego zaczynam już przyporządkowywać do dni z czwórką w tle – często dzwoni w czwartki albo

co cztery dni. Ta czwórka do niego pasuje. Liczba ziemskiej rzeczywistości (ogień, powietrze, ziemia i woda), cztery strony świata, cztery żywioły, cztery kąty, symbol drzwi. Choć on sam jest numerologiczną dwójką. Ale dwa i dwa to przecież cztery. Zwierzył mi się ze swojej najnowszej rozterki, a mianowicie: czy znosić cierpliwie kolejne upokorzenia serwowane mu przez kobietę, w której zakochał się bez pamięci, czy wreszcie zdobyć się na odwagę i powiedzieć jej, że jest u kresu wytrzymałości psychicznej i coraz bliższy decyzji o rozstaniu. Karty nieustannie grzmiały, że jego postawa jest niewłaściwa, zakłada brak szacunku do siebie, brak miłości własnej, trwonienie daru godności otrzymanego od Stwórcy. Staram się zawsze złagodzić ten przekaz. Słownik języka polskiego na dobre zagościł na moim biurku, stałam się prawdziwą mistrzynią w wynajdywaniu kolejnych eufemizmów. Martwi mnie jednak co innego. Skoro on do mnie dzwoni, aby podzielić się swoimi problemami, i nie chodzi tu tylko o odpowiedź kart, ale o szczerą rozmowę, to jaką rolę pełnią jego przyjaciele, o których tak wiele mi opowiada?

5 listopada, wtorek

Dziś zamykałam i otwierałam firmy. Jakby się umówili. Co drugie pytanie dotyczyło prywatnego biznesu. Ciekawe, że ci, którym karty odradzały podjęcie działalności ze względu na brak funduszy i brak widoków na nie w najbliższym czasie, kwitowali rozmowę stwierdzeniem: „Skoro nie mam nic, to co mogę stracić? Wchodzę w to! Dzięki za dodanie energii!”. Natomiast osoby, które posiadały pieniądze, o czym zresztą otwarcie mówiły, były pełne wahania, mimo że karty nie dostrzegały żadnych zagrożeń. Oj, czwórka Denarów mogłaby się wziąć pod rękę z czwórką Kielichów i pojawiać we śnie każdego z tych niezdecydowanych klientów jako koszmar nocny.

7 listopada, czwartek

Tę datę muszę sobie zapisać złotą czcionką. To początek eksperymentu. Tak to nazywam, bo nie mam odwagi przyznać, że od dziś zacznę mierzyć się z własnymi słabościami. Z ojcem już rozmawiam, choć dość oschle i na dystans. Aż wstyd przyznać, ale on ma rację. Nie powinnam być dłużej sama. Nawet karty od dawna radziły mi, abym poszła w tym kierunku. Brakowało mi jednak odwagi. Do tej pory mężczyźni – jako potencjalni kandydaci na partnerów – po prostu stawali na mojej drodze podestani przez kogoś z rodziny lub znajomych. Zdarzały się wręcz castingi na kandydata na mojego męża.

Ostatni raz dokładnie rok temu, kiedy w moje urodziny urządzono mi paradę kawalerów do wzięcia. Był wśród nich emerytowany lekarz ginekolog, prawie ślepy architekt (nigdy w życiu nie widziałam takich potwornie grubych szkielec), rolnik wdowiec z szóstką dzieci do odchowania, nauczyciel matematyki z gimnazjum, no i dziedzic pogrzebowego imperium. Jacek zażartował, że powinnam przy wyborze przysłego męża kierować się możliwościami

zaspokojenia podstawowych potrzeb. W takim rankingu, oczywiście, rolnik i grabarz plasowali się w czołówce, jako najlepsze zabezpieczenie na starość. Rolnik był nawet mocno zainteresowany moją osobą, odstraszyłam go dopiero wtedy, gdy oznajmiłam, że wolę kobiety. Przeżegnał się, splunął mi pod nogi i tyle go widziałam. Grabarz wytrwał dłużej. Nic dziwnego, stale ma do czynienia z wiecznością. Szkoda, że Jacek nie jest do wzięcia, ale jako kolega sprawdza się znakomicie!

Już postanowiłam! Dłużej nie będę samotna. Tak oto uświetnię swoje trzydzieste urodziny, o których nikt nie pamiętał, jak zwykle. Postawiłam sobie karty, jedne, drugie, trzecie. Wszystkie jak mantrę powtórzyły to samo: Działaj! Nie czekaj! Miłość przejdzie i zniknie w tłumie! Nie zdążysz jej dogonić!

Jak długo jestem sama? Kilka lat, bo tych parę przelotnych znajomości na studiach przecież się nie liczy.

Klientów zachęcam nieustannie do poszukiwań, doświadczania. Od czego zacząć? Przecież nie pójdę sama do klubu, nie usiądę w pubie przy barze ani nie zacznę rozglądać się na ulicy za potencjalnym kandydatem na ukochanego. Karty kazały mi działać. Dobre sobie, ale jak? Gdzie? Bolek bardzo sceptycznie ocenił mój pomysł. Wzruszył po swojemu skrzydełkami i poleciał dręczyć psa. Sunia, zwana przez nas Kornelią, spała jak zwykle na kanapie. Gdy oberwała w ucho od Bolka, zerwała się na równe nogi, grawitacja zrobiła swoje i wylądowała na podłodze, wrzeszcząc po swojemu „O matko! O matko!”. Bolek w takich momentach chichocze i powtarza sobie „Poszła, poszła”.

8 listopada, piątek

Okej, pierwszy krok jest najtrudniejszy, a ten już zrobiłam. Potem będzie tylko łatwiej. Moja sąsiadka Roksana, która też jest samotna, właściwie notorycznie samotna, zasugerowała „pojawienie się” na balu dla singli. Nie mam zielonego pojęcia, jak to wygląda. Karty oceniły pomysł jako korzystny, bo wydarzy się coś zaskakującego. Uwielbiam takie odpowiedzi. Tylko jak mam to rozumieć? Gdy rozmawiam z klientami, karty są bardziej precyzyjne, dokładne. Mnie obdarzają takimi beznadziejnymi ogólnikami. Albo mnie nie lubią, albo uważają, że nie przynosi się pracy do domu. Może powinnam zaopatrzyć się w inne karty, takie do prywatnego użytku? Ale czy wtedy te, z którymi pracuję, nie pogniewałyby się? Może byłoby im przykro... Muszę koniecznie zacząć wychodzić do żywych ludzi, bo za chwilę umówię się na randkę z Rycerzem Kielichów!

9 listopada, sobota

Doszło do zaskakującego wydarzenia! Te moje karty mają poczucie humoru, nie ma co! Wybrałyśmy się razem, Roksana, moja sąsiadka i ja. Założyłam sukienkę i szpilki, w końcu bal to bal. Roksana również. No i byłyśmy jedynymi kobietami w szpilkach, kilka sukienek się trafiło. Konwencja „balu” polegała

na przymusowym odbyciu kilkudziesięciu dwuminutowych rund pytań i odpowiedzi z partnerami, którzy zmieniali się jak w kalejdoskopie. Panów przyszło znacznie więcej niż pań, stąd te dwie minuty. Podobno zwykle jest odwrotnie. Posadzili nas na kanapach typu czarna dziura, w którą człowiek wpada, sam nie wie kiedy. Trudno się stamtąd wydostać, broda dotyka do piersi, można obserwować własne kolana – koszmar. Zawsze siadam na brzeżku takiej kanapy i mam wrażenie, jakbym siedziała na sedesie.

Każdy trzymał w ręku ankietę wielkości namiotu, z setką pytań i rubryk, w które należało wpisywać komentarz na temat kolejnych adwersarzy. Jak to zrobić w dwie minuty, wliczając w to rozmowę, nie powiedziano. Szybko zignorowałam ankietę, co spotkało się z ostrą reprimendą ze strony organizatorów. Ratowało mnie chyba tylko to, że jestem kobietą, i to kobietą w sukience.

Kolejni mężczyźni, z którymi rozmawiałam, jakże różni pod względem wyglądu, wieku, wykształcenia i zainteresowań, prezentowali jedną wspólną cechę: brak pewności siebie. Zrodziła się we mnie refleksja, czy ja też tak jestem odbierana? Jako mało pewna siebie? Czy też chcę ukryć zakłopotanie pod pozorem rozluźnienia, żartów, hałaśliwej wesołości?

Zirykowało mnie, gdy minęły dwie minuty, a ja chciałam kontynuować rozmowę z pewnym chłopakiem. Był dużo młodszy ode mnie, ale odnalazłam w nim coś intrygującego, mądrego. „Siedź, jeszcze nie skończyliśmy rozmowy! Niech inni się przesiadają!” – powiedziałam głośno. On się zawahał, ale spodobała mu się moja stanowczość. Niestety, ta niesubordynacja kosztowała mnie upomnienie, że jeśli jeszcze raz naruszę zasady...

Potem była część taneczna. Na moje nieszczęście, ja umiem tańczyć, ale większość z obecnych panów nie potrafiła. Najpierw podpierali ściany jak w podstawówce, co mnie od razu odmłodziło, a potem nieznośnie deptali po palcach. Za karę nie mogłam tańczyć z tym chłopakiem od rozmów. Organizator złośliwie chyba sparował mnie najpierw z dwumetrowym koszykarzem, któremu sięgałam do pachy, potem z dwustukilowym sześcianem, który zmiażdżył mi palce u nóg, wreszcie z jakimś strasznie nerwowym typem, który ciskał mną na wszystkie strony, prawie wyłamując mi ręce ze stawów. Moja koleżanka, która grzecznie rozmawiała w przepisowym czasie, „dostała” miłego pana w zbliżonym wieku, który spokojnie sunął po parkiecie.

Uwieńczeniem wieczoru był taniec z pewnym brunetem w fioletowej koszuli, który – o zgrozo! – rozpoznał we mnie wróżkę. Okazało się, że telefonował kilka razy. Że też ja na tym profilowym zdjęciu nie doczepiłam sobie wąsów i brody! Fioletowy amant uznał od razu, że ów bal dla singli to doskonała okazja do bardziej wnikliwego wróżenia, i zaczął zadawać mi pytania. Był tak zaaferowany faktem poznania mnie osobiście, że nawet nie zauważył, iż nie mam przy sobie kart, a nawet gdybym miała, to jakim cudem mogłabym jednocześnie

tańczyć i je rozkładać. Muzyka głośno grała, on jeszcze głośniej wrzeszczał, po chwili ustawiła się już kolejka chętnych do wrózenia. Z butów chyba! W rezultacie wyrzucili mnie na zbitą twarz z balu dla singli!

10 listopada, niedziela

Fiolet telefonował z samego rana. Pytał, kiedy spotka miłość swojego życia. Nie powiedziałam mu prawdy, zasugerowałam, aby poszedł na kolejny bal dla singli. Moja sąsiadka kogoś tam jednak poznała. Sprawdziłam, to nie facet dla niej, karty przestrzegały przed nieuczciwością. Ale kto słucha ostrzeżeń, będąc w pierwszej fazie zauroczenia! Niestety, udzieliło mi się, i kilka kolejnych osób profilaktycznie ostrzegałam przed wszystkimi i przed wszystkim. Dopiero gdy powiedziałam pewnej pani, żeby uważała na bruneta, który sypia z nią w jednym łóżku, bo będzie chciał ją zdominować, a ona – zupełnie poważnie – odrzekła, że tym brunetem może być jej sznaucer, który już wygnał z sypialni jej męża, a teraz przymierza się, żeby zrobić to samo z nią, zastanowiłam się, co mówię.

No cóż, bal dla singli mam już zaliczony, pora na portal randkowy. Karty znów wesoło orzekły, że będzie ciekawie i że powinnam spróbować. To już jutro, dziś pełna koncentracja i profesjonalizm. Telefon dzwoni. Bolek czeka w skupieniu!

12 listopada, wtorek

Uznałam, że powinnam zadbać o bardziej atrakcyjny, nowoczesny wygląd. W tym celu udałam się do salonu fryzjerskiego, aby przejść metamorfozę. Nigdy wcześniej tam nie byłam, ale przecież salon fryzjerski to nie rzeźnia. Przywitał mnie gadatliwy młody człowiek, nieprzeciętnie chudy i dziwnie uczesany, tak jakby jego głowa była do połowy kwadratowa, a od połowy okrągła. Spojrzał na mnie z niesmakiem i powiedział:

– No tak, średniowiecze. Zabobon absolutny na głowie. Kto panią tak urządził?!

– Natura – odpowiedziałam zgodnie z prawdą. Na głowie noszę bowiem własne włosy, długie do pasa, w odcieniu, który przydzielił mi los. Tego dnia uczesałam je w koński ogon. Przyznam jednak, że zrobiło mi się cokolwiek nieswojo. Od razu poczułam się stara i nieatrakcyjna.

– No niee... – mamrotał fryzjer, z niechęcią mierzwiąc mi włosy. – Musimy to zmienić, koniecznie! Ten brąz się absolutnie nie nadaje! To jakaś porażka. Zmieniamy! Absolutnie.

Zostałam zaprowadzona do mycia, gdzie fryzjer wykonał nowatorski masaż głowy. Przez parę minut szarpał mnie za włosy, aż mi głowa odskakiwała, potem masował tak mocno, że łzy popłynęły mi z oczu, na koniec zawiązał mi ręcznik tak, że straciłam czucie w tym rejonie. Wreszcie posadził mnie w fotelu i orzekł:

– Farbujemy na gorący płomień.

Domyśliłam się, że ma na myśli rudy, więc stanowczo zaprotestowałam.

Fryzjer zastygł z tubką farby w ręce.

– Ależ to jest dla pani jedyna opcja, absolutnie jedyna!

Nie zgodziłam się i fryzjer z dezaprobatą wziął do ręki inną tubkę. Orzechową czekoladę. Dobrze. Napaćkał mi to świństwo na włosach, uformował coś w rodzaju wielkiego posklejanego kopca w kolorze zaschniętej kupy i przesunął mnie razem z fotelem pod okno. Prawdopodobnie za karę zostałam wystawiona na widok publiczny. Przechodnie ciekawie spoglądali w witrynę wystawową, a ja nie wiedziałam, gdzie oczy podziać. Wreszcie nadeszła pora zmycia farby. Znowu masaż, trzęsawka, znowu ucisk i wszystko za moje własne pieniądze. Potem wyrwał mi połowę włosów, próbując je rozczesać. Wreszcie przyjrzał się krytycznie i orzekł:

– Obcinamy.

Poprosiłam, by nie ścinał za mocno.

– Nie, tylko końcówki – uspokoił mnie fryzjer.

Pół godziny później nie mogłam uwierzyć własnym oczom. Moje włosy były zielone i sięgały do ramion. Asymetryczne obcięcie było wyjątkowo nietwarzowe, zaś dziwaczna grzywka nadawała mi głupkowaty wyraz. Zatkalo mnie. Odebrało mi mowę. Fryzjer, kontent ze swojej pracy, chciał mi jeszcze tył podtapirować.

No, teraz to mogę pracować jako wróżka na wizji, myślałam, biegnąc ulicą i błagając w duchu wszystkie anioły opiekuńcze, aby znajdujący się kawałek dalej salon fryzjerski był jeszcze otwarty. Takiego dziwoląga wszyscy będą się radzić. Jestem do niczego niepodobna, na pewno dlatego, że stale przebywam w jakimś transie. Z UFO obcuje!

Fryzjer z drugiego salonu, starszy pan – niech mu Bozia da zdrowie – już zamykał, ale gdy mnie zobaczył, bez słowa zapiął mi pod szyję ochronny fartuch. Stał przez chwilę zaszępiiony, po czym powiedział:

– Blond, nie ma innego wyjścia. Jako brunetka z tymi czarnymi oczami będzie pani straszyć dzieci w parku. No, i muszę ściąć bardziej, żeby nadać fryzurze jakąś linię.

Byłam gotowa zgodzić się na wszystko, z wyjątkiem trwałej i ścięcia na zapalkę. Nożyczki w ręku prawdziwego fachowca tylko migały. Tego samego wieczora zobaczyłam siebie w zupełnie nowej odsłonie. Oto ja, świecie. Nadchodzę!

Dla porządku notuję: Boluś mało sobie dzioba nie urwał ze śmiechu, gdy mnie zobaczył, a Kornelia, mój pies o podwójnej tożsamości, uciekła do szafy i boi się wyjść. Nie poznała mnie, biedaczka.

13 listopada, środa

Usłyszałam dziś przez telefon zabawną historię. Wiele takich historii wysłuchuję. Zabawne przygody ludzie przeżywają. Niestety, zwykle dla nich nie jest to wcale zabawne, ale wstydlive, przygnębiające, smutne lub straszne.

Ta historia jednak należy raczej do śmiesznych. Rzecz dzieje się w autobusie. Autobus jak autobus, nic nadzwyczajnego, późne listopadowe popołudnie. Na siedzeniu w pobliżu kasownika śpi mężczyzna około pięćdziesiątki, ubrany przeciętnie, spodnie, kurtka. Pasażerowie nie interesują się sobą, autobus jedzie. Na kolejnym przystanku wsiada młoda dziewczyna, w rękę trzyma bilet, który przepuszcza przez kasownik. Manewry przy kasowniku utrudnia jej koronkowa czarna rękawiczka. Dziewczyna zdejmuje więc rękawiczkę, w tej samej chwili autobus podskakuje na wybojach. Dziewczyna traci równowagę, a gdy znów opiera się o kasownik, stwierdza, że upuściła rękawiczkę. Okazuje się, że ta spadła na uda śpiącego na siedzeniu mężczyzny. Sytuacja jest niezręczna. Mężczyzna śpi, rękawiczka leży w miejscu dość newralgicznym, w dodatku pan ma rozpięty rozporek. Dziewczyna patrzy bezradnie na czarny zwitek. Obserwuje to pasażer siedzący obok śpiocha. Chcąc pomóc dziewczynie, trąca sąsiada, a gdy ten otwiera oczy, mówi krótko: rozporek. Obudzony zerka w dół, po czym bezrefleksyjnie wpycha rękawiczkę w spodnie i zaciąga suwak. Następnie znów zasypia. Historia iście hollywoodzka, ale bardziej zaskoczyło mnie pytanie referującej to klientki, a mianowicie: czy ten mężczyzna rozwiedzie się, ponieważ żona zarzuci mu zdradę?

No cóż, sama byłam ciekawa. Karty odpowiedziały, że żona, owszem, zrobi mu awanturę, ale nie to będzie puentą tej historii. Ów mężczyzna, pracoholik i wół roboczy, pracujący na kilku etatach, by zaspokoić potrzeby swojej roszczeniowej rodziny (na własne nie ma czasu), zacznie rozmyślać, jak to możliwe, że miał przygodę, o której nie pamięta. Jak w ogóle jest możliwe, że miał przygodę? Zacznie rozmyślać, jak mogła wyglądać owa przygoda? Czy była brunetką, czy blondynką? To rozmyślanie zmieni jego podejście do życia, a pora najwyższa, bo przy takim trybie groził mu zawał.

14 listopada, czwartek

Unikam odpowiedzi na pytania w rodzaju: kiedy umrę. Co jakiś czas zdarza się ktoś, kto koniecznie chce to wiedzieć. Karty nigdy nie udzielają takich odpowiedzi, a nawet gdyby udzielały, to i tak odpowiedziałabym jak zwykle: „Wtedy, gdy przyjdzie pora”. Zdarzają się klienci, których nie lubię. Wciąż pytają o to samo, jakby ich przyszłość była zaprogramowana i dzięki mnie, i moim kartom mogli sobie za niecałe 5 złotych za minutę „podpatrzeć”, co będzie dalej. No i cóż. Nie pojawiam się na wizji, ale przyklejam uśmiech do twarzy wzorem prezenterek telewizyjnych i jak katarynka powtarzam te same komunikaty. Bolek robi to lepiej, dlatego prawdziwa wróżka powinna dysponować papugą, nie krukiem czy kotem. Dlaczego niektórzy nie potrafią zrozumieć, że przyszłość leży w ich własnych rękach, a karty przekazują informacje na temat ich samych, innych ludzi oraz prognozują, co się wydarzy, bazując na bieżących zamiarach, potrzebach, myślach? Skoro sam Bóg zrezygnował z mocy władania człowiekiem, to jak karty lub



wróżbici mieliby taką moc osiąść?

Dziś także kolejny etap metamorfozy. Poszłam do sklepu i kupiłam sobie kilka nowych sukienek. Moja euforia zmaląła natychmiast, gdy tylko wróciłam do domu i zdałam sobie sprawę, że mam już stopy podobnych. Wąskie, przed kolano, z dyskretnym dekoltem. No cóż, podobno najbardziej mi do twarzy w niebieskim. Nowe sukienki też są niebieskie. Dopiero teraz zastanowiłam się, po co ja to wszystko robię? Przecież poprzez portal randkowy i tak nikt mnie nie zobaczy, dopiero gdy się umówię na randkę. Ale najważniejsze, że moje samopoczucie również uległo transformacji. Klienci także to zauważyli. Niektórzy narzekają, że się zmieniłam. Przywykli do przyciemnionego pokoju, pełnego zieleni i aury tajemniczości, no i do mnie, spokojnej, skupionej, ciemnowłosej. „Dobrze, że chociaż papuga została...” – kwitują. Wiem, że niektórzy chcieliby widzieć mnie w długiej sukni z brokatu, z cepeliowską chustką na głowie, obwieszoną bransoletkami i amuletami. Jednak współczesne wróżki pracują przy komputerze, obsługują czaty, połączenia telefoniczne, występują w telewizji. Czasem zastanawiam się, jaki zawód tak naprawdę wykonuję: wróżki, psychologa, doradcy finansowego, lekarza, prawnika?

16 listopada, sobota

Ha, ha! Dziś typowałam konie na wyścigi! Czułam presję, bo pan telefonował do mnie prosto z toru. Wyobraziłam sobie, jak stoi przy kasie z telefonem przy uchu i konsultuje na głos, na co postawić. Inni gracze są przekonani, że po drugiej stronie ma jakiegoś światowej klasy eksperta od wałachów, a nie zwykłą wróżkę pospolitą. Dostałam wypieków na twarzy, nie nadążałam z rozkładaniem kart, konie już biegły. Po chwili koniec zakładów i głos w słuchawce. Udało się – z pięciu wytypowanych przeze mnie koni cztery przyszły pierwsze, jeden drugi. Mój klient był wygrany. Poprosił mnie o numer konta, chciał podzielić się zyskiem.

Zaprosiłam dziś Jacka na obiad. On rzadko jada coś przyzwoitego, zwykle same śmieci. Przygotowałam pieczonego kurczaka w warzywach, purée z zielonego groszku i zupkę krem z kukurydzy. Atmosfera zrobiła się tak domowa i przyjemna, że Jacek zapytał o moją rodzinę. Niewiele było do opowiadania. Moja matka umarła, gdy byłam bardzo mała, i wychowywała mnie babcia, matka ojca. Mój ojciec był bardzo zajęty, większość czasu poświęcał na walkę z systemem, który zażarcie usiłował doprowadzić do odebrania mu pralni. Otrzymał ją w spadku mój pradziadek. Pracował wówczas u pewnego rzemieślnika, który zajmował się garbowaniem i farbowaniem skór. Mój pradziadek, młody i ambitny chłopak, zaproponował rozszerzenie działalności o pranie, a to dlatego, że poznał wówczas moją prababcie, która pracowała niedaleko jako praczka. Postanowił stworzyć jej bardziej komfortowe miejsce pracy. Udało się, wkrótce się pobrali i dorobili nie tylko domu i finansowej stabilizacji, ale także czworga dzieci. Najstarsze z nich,

mój dziadek, odziedziczyło bardzo dobrze prosperujący interes, który pomimo zawieruchy dziejowej przetrwał do dziś. Dumna jestem z takiego dziedzictwa, któż mógłby bowiem pochwalić się zajmowaniem tego samego fotela w kantorku, co jego pradziadek? Mój ojciec jest człowiekiem niezwykle apodyktycznym i nieznoszącym sprzeciwu. Czas i przeciwności losu tak go ukształtowały. Odkąd mama odeszła, zamknął się w sobie i stał się jeszcze mniej przystępny. To dobry człowiek, ale czasem mam ochotę go udusić. Jacek pytał, czy utrzymujemy kontakt z rodziną mamy. Owszem, choć bardzo na dystans. Moja druga babcia ma kłopoty z pamięcią, potrzebuje kogoś, kto ją zawiezie, odwiezie, dlatego rzadko ją widuję. Uświadomiłam sobie, że właściwie żyjemy jak odludki. Spotykamy się z rodziną kilka razy do roku. Grono ojca znajomych ogranicza się do klienteli pralni. A kiedy umarła babcia, matka mojego ojca, ja również zaczęłam żyć jak odludek. Uciekłam w świat książek, kart, magii.

„Moja babcia była bardzo przebojową osobą” – opowiadałam Jackowi. „Głowę diabłu by urwała”.

Przepiękna kobieta, pół miasta się za nią oglądało, gdy w niedzielę szli z dziadkiem pod rękę, na spacer po Starówce. Potem dziadek urządzał babci sceny zazdrości, które polegały na tym, że nie odzywał się do niej przez tydzień, tylko mruzczał i bulgotał gniewnie. Kulminacja następowała podczas obiadu, kiedy emocje w nim eksplodowały i walił pięścią w stół z całej siły. Na to babcia ciskała w niego talerzem z zupą i krzyczeli na siebie przez jakiś kwadrans. Jeszcze później dziadek pomagał babci posprzątać i wszystko było dobrze. Gdy umarła, miałam piętnaście lat. Nie było wówczas przy mnie nikogo, komu mogłabym się zwierzyć, jedynie jej karty. Talia starych zniszczonych kart, na widok których ojciec dostaje białej gorączki. Przykro mi, że tak trudno jest nam się dogadać.

Zdaniem Jacka, mój ojciec już się nie zmieni, ale ja mam jeszcze szansę odszukać w sobie siebie, jakoś to poukładać. Przydała mi się ta rozmowa, wyciszyła mnie, dodała sił.

18 listopada, poniedziałek

Przeglądałam portale randkowe w internecie. Jedna z klientek wypytywała karty o powodzenie na randkach, a kandydaci pochodzili właśnie z jednego z portali. Ogólnie wypadało jej dobrze, była nawet perspektywa na trwalszy związek. Ładne karty dziś przy ludziach stały. Lubię wykładać Słońce, Świat, Kochanków, Denary, Kielichy.

Po tej przygodzie na balu nie wystawię chyba swojego zdjęcia. Nieważne, że inaczej wyglądam. Ktoś i tak mógłby mnie rozpoznać. Odnalazłam profile założone przez moich klientów. Czy ktoś chciałby się umawiać z wróżką? Nie mam pojęcia, dlaczego właściwie boję się zdemaskowania. Ale nie będę ryzykować, nie wiem jeszcze, co to za świat, co to za ludzie. No i muszę zastanowić się nad pseudonimem. Powinien być chwytliwy, ale pasujący do mnie.

Opis... Teraz mam za dużo pracy, klienci chcą wiedzieć, czy ich partnerzy ich kochają, a ja lubię odpowiadać, że tak.

20 listopada, środa

Syrenka415. Taki mam nick na portalu. Nic absolutnie nie znaczy. Po prostu było to pierwsze słowo, które przyszło mi do głowy i nie było zajęte przez nikogo. Ciekawe, że istnieje na portalu aż 414 syrenek. Karty wieszczą ogromny sukces, a ja mimo to jestem bardzo sceptyczna. Opisałam siebie, ale bez przesady, nie podobały mi się profile, na których ludzie zamieścili swoje życiorysy albo litanię oczekiwań. Napisałam po prostu, że jestem nieprzeciętna, nietuzinkowa, niebanalna, niezwykła i niesłychanie nieprzewidywalna. Reszta to normalność. Nie dołączyłam zdjęcia. Trudno, nie będę ryzykować. W końcu ten Ktoś powinien zainteresować się mną dla mnie samej, a nie ze względu na mój wygląd. Nie proponuję przecież samego ciała. Chociaż, oczywiście, w pierwszej kolejności przeglądałam profile osób, które zamieściły zdjęcie. No i to chyba tyle. Za kilka dni zajrzę i zobaczę, czy Syrenka415 wypłynęła, czy zniknęła w oceanie innych syrenek.

21 listopada, czwartek

Wyjątkowo pracowity dzień. Zatelefonowało kilka interesujących osób. Między innymi kobieta, która pytała o poprzednie wcielenia. Prześledzenie ścieżki jej życia dało na koniec odpowiedź, dlaczego doświadcza lęków, upokorzeń i strat. Bardzo ciekawa osoba i całkiem niebanalna rozmowa. Zaczęłam zastanawiać się nad swoimi przeżyciami. Dlaczego wcieleń musi być tak dużo? Nie musi. Ilość wcieleń świadczy o gotowości do przeżywania kolejnych etapów wtajemniczeń. Tak jak dziecko rośnie od niemowlęcia i już w tym czasie uczy się trudnej sztuki poznawania, chodzenia, mówienia itd., potem zdobywa szerszą wiedzę o swojej rodzinie, społeczeństwie, w którym żyje, wreszcie o świecie i kosmosie, tak i dusza dorasta powoli, stopniowo. Gromadzi doświadczenia, które przekuwa na mądrość. Nie ma mądrości bez doświadczeń. Dlatego odrzucenie daru energii twórczej hamuje ten proces. Dzieje się tak wówczas, gdy ktoś przygnieciony trudami życia codziennego przestaje szukać siebie, ale by skrócić swój ból, cierpienie, samotność, uniknąć niepowodzeń, idzie – za podszeptem umysłu – drogą schematów, nie przepracowując żadnej lekcji życiowej. Taka osoba odrodzi się więc po raz kolejny, aby ponownie odpracować to samo, w każdym następnym wcieleniu z coraz większą świadomością marnotrawienia czasu, o którym nikt nie wie, kiedy zaczął biec i kiedy przestanie. Co jest u kresu tej drogi? Cisza. Absolut. Raj postrzegany jako miejsce bez zmartwień. Czy zmartwienia to istotnie przekleństwo? Muszę to sobie kiedyś dokładniej opisać.

Później był telefon od pana, który bardzo troszczy się o swoją córkę. Pokłócili się ponad dwa lata temu, od tamtej pory nie rozmawiali, teraz doszły go słuchy, że dziewczyna znalazła się w poważnych tarapatkach. Niestety, karty

to potwierdziły. Od Mieczy aż się roilo. Rozpoczęły czwórka, potem było już tylko gorzej. Na dodatek Wisielec, Wieża i Księżyc. Ileż ta dziewczyna musiała zaniedbać w swoim życiu, że otrzymała aż taką lekcję. A może właśnie po to ją dostaje, żeby zrozumieć, co jest naprawdę ważne. Optymizmem powiało, gdy wyłożyłam kartę Śmierć. Powrót do domu, koniec, zamknięcie. Poruszyła mnie ta rozmowa. W jakimś stopniu dotknęła mnie samej. Gdzie kończy się troska o osobę, a zaczyna próba jej zawłaszczenia? Czy rodzic, który w najlepszej intencji zaczyna kontrolować – albo przynajmniej usiłuje to robić – każdy aspekt życia swojego dorosłego dziecka, to rodzic opiekuńczy czy zaborczy? Czy można nazwać miłością żądanie całkowitego i bezwzględne podporządkowania się wyobrażeniom innej osoby? Ci ludzie stracili kontakt z córką, ponieważ najpierw nie pozwalali jej dorosnąć, potem nie akceptowali faktu, że już dorosła, wreszcie, obawiając się, iż nie jest w dostatecznym stopniu przygotowana do życia, usiłowali ją we wszystkim wyręczać, a gdy jej własna osobowość doszła wreszcie do głosu, okazali gniew. Sami nie widzą błędów w swoim postępowaniu, nie przypisują sobie żadnej winy.

Chciwość jest definiowana jako nieopanowana żądza posiadania dóbr, najczęściej materialnych, ale nie tylko. Każdy z nas zetknął się z różnymi przejawami chciwości, której zwykle towarzyszą zazdrość, egoizm, skąpstwo, nienawiść i chorobliwe pożądanie. Gdy myślę o chciwości, przypomina mi się wiele historii opowiedzianych przez byłych małżonków, którzy przez pierwsze lata małżeństwa zdobywali majątek po to, by po czasach trudów i wyrzeczeń móc cieszyć się wspólnym życiem. Z czasem zdobywanie i gromadzenie stało się sensem ich życia i gdy jedno z pary usiłowało przerwać ten łańcuszek, dochodziło do przykrej konfrontacji, brzemiennej w rozstanie. Ale czy przyszłoby komuś do głowy, że chciwość może zapragnąć czegoś więcej? Posiadania człowieka, jego życia, duszy. Czy to jest niemożliwe?

Co powoduje rodzicami, którzy najpierw chcą mieć dziecko i starają się o nie niczym o nowy model jaguara, a potem zawłaszczają je, traktując jak najcenniejszy skarb, który należy zamknąć w sejfie, pod żadnym pozorem nie udostępniać światu mogącemu ten skarb zagarnąć. Jak nazwać relację jednej osoby wobec drugiej, gdy pierwsza domaga się uwagi wyłącznie w stosunku do własnej osoby, eliminując jakąkolwiek konkurencję? Czy nie jest odmianą chciwości oczekiwanie na wdzięczność za okazaną pomoc materialną, w postaci uzurpowania sobie prawa do wybierania grona znajomych i przyjaciół, decydowania w sprawach życiowych lub żądania bezwzględne posłuszeństwa i podporządkowania? Czy nie chciwość domaga się, aby ktoś poświęcał nam dużo więcej czasu niż innym, chociaż nie ma na to ochoty. Czy nie chciwość każe zdręczać kogoś swoim towarzystwem w nadziei, że dzięki temu będzie nam się wiodło równie dobrze i wesoło jak tej osobie, a może lepiej, gdy odgadniemy jej sekret i przywłaszczymy go sobie? Czy

to nie chciwość powoduje człowiekiem, który kradnie czyjś pomysł? Czy nie chciwość każe tak zwanym najlepszym przyjaciółkom doradzać podjęcie decyzji o rozstaniu z mężem, który zapomniał kupić kwiaty z okazji rocznicy ślubu? A może to zazdrość, siostra chciwości, nakazuje zasiewać w głowach bliźnich wątpliwości, rozterki, lęk i przekonanie o niskiej wartości własnej?

Na koniec skarga młodej dziewczyny, że chłopak ją rzucił. Karty pokazały go już jako Króla Mieczy, ale ona wciąż lamentuje. I nie dociera do niej, że to Rycerz Buław, który przy niej stoi, reprezentuje kogoś, kogo ona potrzebuje i szuka. On już jest, stoi przy niej, a ona go nie widzi, nie słyszy. Jakże trudno czasem dotrzeć do ludzi! A przecież dzwonią po nadzieję, podpowiedź. Otrzymują je, a potem to lekceważą, bo nie tego się spodziewali. Wiele razy zastanawiałam się, czy nie zacząć mówić ludziom wyłącznie tego, co chcą usłyszeć, przecież mam „podgląd”. Jednak zawsze powstrzymało mnie przed takim działaniem pytanie brzmiące gdzieś z tyłu głowy: „Jak długo wytrzymałabyś, mówiąc ludziom same kłamstwa?”. W takie dni jak ten czasem mam ochotę zagłuszyć ów głos.

22 listopada, piątek

Zalogowałam się na portalu. Przygotowywałam samą siebie na rozczarowanie, w końcu to dopiero dwa dni, powtarzałam sobie w myślach. Niepotrzebnie! Mój profil odwiedziło szesnaście osób, od trzech otrzymałam słoneczka i dwa zapytania wstępne. Nastrój od razu mi się poprawił. Chyba odpowiem na te pytania... I podziękuję za słoneczka. Czuję się wspaniale. Nie wiem dlaczego, ale od razu pojawił się u mnie optymizm pomieszany z energią twórczą. Tylko dlatego, że mój profil został tak szybko zauważony! Nadzieja, którą często zaszczeplam klientom, stała się teraz moim udziałem. Ośmieliłam się nawet poserfować po portalu, tym razem w charakterze poszukiwaczki, wysłałam również kilka słoneczek do osób, które mnie zainteresowały. Tak bym chciała przyspieszyć czas... A może zerknę w karty... Szkoda, że nie dysponuję szklaną kulą. Może sobie kupić? Klienci, którzy do mnie przychodzą, czasem są rozczarowani, że mieszkanie jest takie zwyczajne. Rozważam przeprowadzenie remontu. Muszę jeszcze zbierać trochę pieniędzy.

Ojciec narzeka na Roksanę, że stale spóźnia się do pracy, jest niedokładna. Klienci ją lubią, wiadomo: gaduła. Obiecałam, że przed południem będę dyżurować. Wtedy i tak mam mniej pracy, żadna strata. Brakuje mi trochę widoku żywych ludzi. Pani Zosia, którą poznałam na kursie tarota, pomoże mi urządzić mieszkancko na nowo. Zaproponowała, żeby przedpokój i kuchnię urządzić w kolorach błękitu i spokojnego beżu, a pokój, w którym przyjmuję klientów, we fiolecie. Do tego ciężkie purpurowe zasłony, dużo zieleni, stolik do kart z szybą zamiast blatu, wygodne fotele i kanapa, lampa w rogu pokoju, miejsce na świeczki. No i szklana kula. Muszę wybrać się na pchli targ albo do sklepu z rupieciami. Bolek i Kornelia na szczęście doskonale wpisują się w ten klimat. Bolek i tak jest

zwykle przyrośnięty do mojego ramienia, a Korca chrapie, gdziekolwiek głowę przyłoży. Bywa, że muszę przerwać wróżenie, bo nic nie słyszę. Zabawne, że klienci nie zawsze potrafią od razu rozszyfrować ten dźwięk. Pewien pan zapytał mnie raz, czy mogłabym wyłączyć czajnik. Z kolei słowa Bolka są odbierane najpierw z nieufnością. „Tam ktoś jest u pani?” – pytają ludzie. „Co ten człowiek mamrocze?”. Nie wierzą, że to papuga, wówczas proszę, by Boluś się przedstawił. Zazwyczaj robi to tak: „Boluś Abziuś, buzi!”.

23 listopada, sobota

Odwiedzających już jest sześćdziesięciu czterech. Słoneczek równiutki tuzin. Napisałam do niejakiego Adasia425 i Milutkiego11. Adaś od razu zapytał o zdjęcie, co mi się nie spodobało. Sprawdziłam go, ekstrawertyk, choleryk, wyrachowany, nastawiony na podboje miłosne, niestały w uczuciach. Oczywiście, natychmiast mi się spodobał. Prowadzimy bardzo intensywną korespondencję. Na kolejne pytania o zdjęcie odpisałam, że żadna fotografia nie oddaje mojego piękna i uroku osobistego, jedynie portret namalowany przez artystę. Chyba go mocno zaskoczyłam, bo podał mi swój adres domowy. No i włożyłam w kopertę portret, który namalowałam, gdy byłam w przedszkolu, i wyślę mu jutro. Na tym portrecie mam wprawdzie troje oczu i dwa podbródki, ale moja żywiołowość została uchwycona po mistrzowsku.

Milutki11 jest naprawdę milutki. Zaczął od komplementów w stylu: jesteś niesamowita, bardzo piękna, nieziemsko zgrabna, inteligentna, zaradna, przebojowa, pasujemy do siebie energetycznie. Do takich wniosków doszedł, gdy na jego pytanie „Hej, poznamy się?” odpisałam „Czemu nie? Jak masz na imię?”.

Ale na dziś koniec z randkowaniem. Powinna napisać felieton dla portalu ezoterycznego. Może coś o ludzkim przeznaczeniu? Bracik wysłał mi kolejny link na You Tube. Takim językiem rozmawiamy, słowa piosenek lub fragmenty filmów zastępują nam własne wypowiedzi, jest zabawnie.

24 listopada, niedziela

Ogólnie jestem podekscytowana i towarzyszy mi miły nastrój. Nawet klienci zauważyli, że mój głos jest inny, a słowa płyną swobodniej. Wszystkim dziś radziłam, aby byli bardziej otwarci, odważni, chętniej podejmowali wyzwania. Współpracowałam z kartami, które niekiedy wręcz grzmiały: „Ludzie! Nie bójcie się ryzykować! Świat stoi przed wami otworem!”. Przy niektórych Świat stał dosłownie. Karta Świat.

Odpowiedziałam dziś na zachętę mężczyzny, który nazywa się Bracik. Zaintrygował mnie, jego profil też jest ciekawy. Karty mówią, że to człowiek nietuzinkowy. Zobaczymy, zobaczymy... Nie zadał mi standardowego pytania „Co u ciebie?” albo „Dlaczego nazywasz się Syrenka?”, albo „Czy jesteś Syrenką Warszawską?”, tylko po słowie „cześć” umieścił link do piosenki grupy Awolnation *Sail*. I tak rozpoczęła się niezwykła historia Syrenki i Żeglarza...

27 listopada, środa

Od jakiegoś czasu telefonuje do mnie klient, któremu wcale nie zależy na wróżeniu, on po prostu chce porozmawiać. Ma na imię Przemek. Około trzydziestki. Życie zdążyło go już doświadczyć, jest pełen rozżalenia i pretensji do świata. Rozmowy z nim są trudne, ponieważ wylewa na mnie wszystkie swoje żale. Nie lubię go, chociaż z drugiej strony współczuję mu. I nie chodzi tu wcale o pieniądze. Rozmowy prowadzone za pośrednictwem portali ezoterycznych są kosztowne, ale doradcy wcale dużo nie zarabiają. A jeśli wziąć pod uwagę, ile muszą się czasem nasłuchać...

Przemek dzwoni często, czasem nawet kilka razy dziennie. Długie rozmowy są wyczerpujące. Poza tym on nie słucha, on stale coś mówi. Bolek nie może tego znieść i ucieka z mojego ramienia. No cóż, konkurencja!

W przerwach między telefonami klientów zaglądam na portal randkowy. Przyzwyczaiałam się już do otrzymywania kilkunastu informacji dziennie. Mój profil odwiedza wiele osób, co bardzo mnie podniosło na duchu. Czuję się, jakbym była w dużej korporacji albo na przyjęciu obliczonym na setkę gości. Sama też przeglądam profile innych osób, zwykle mężczyzn. Kobięce profile są bardzo do siebie podobne. Kobiety zwykle przedstawiają się dwojako: albo jako wampirzyce, gotowe schrupać na śniadanie każdego, kto bodaj zahaczy o ich profil, albo kopciuszkami, które z góry zakładają, że nikomu się nie mogą spodobać ani jako kobiety, ani jako osoby. Tekst, w którym co drugie słowo przewija się: „szukam wrażliwego – ale władczego, spokojnego – ale z ikrą, spontanicznego – ale zaradnego, młodego – ale z dużym doświadczeniem życiowym” itd., na mnie działa zawsze odstraszająco. Może mężczyźni uważają inaczej. Ciekawe, do której kategorii mnie zaliczają.

Korespondencja z Żeglarzem Bracikiem trwa. Zabawne, bo żadne z nas nie zapytało dotąd o prawdziwe imię, zajęcie itp. Rozmawiamy o wszystkim, tylko nie o tym. Ale wcale mi to nie przeszkadza.

Milutki, czyli Artur, lat 29, napisał mi, że korzysta z portalu randkowego już od dwóch lat. Gdy zapytałam, dlaczego tak długo, czy nie znalazł przez ten czas odpowiedniej kandydatki, odpisał, że owszem, znalazł, nawet dwie, ale jedna go okradła, a druga okazała się mężatką.

Milutki Artur zaproponował spotkanie. Jutro po południu w kawiarni. Zgodziłam się. Moja pierwsza portalowa randka. Ciekawi mnie, jaki jest naprawdę, na zdjęciu prezentuje się bardzo ciekawie.

Adaś nie odezwał się więcej. Chyba mu się nie spodobałam.

28 listopada, czwartek

Roksana, moja sąsiadka, nie jest zadowolona z relacji z Pawłem, tym facetem poznanym na balu dla singli. Powstrzymałam się przed stwierdzeniem: „a nie mówiłam!”. Żal mi jej, bo jest przybita. Wspomniałam o portalu

randkowym. Ucieszyła się. Ona stale chodzi na jakieś kursy podnoszenia własnej atrakcyjności, poszukiwania swojej drogi, budowania własnej świadomości, itp. Średnio co dwa miesiące zmienia wizerunek, teraz jest rockową brunetką, przedtem nosiła rude włosy i dres. Zdarza się, że nie poznają jej na ulicy. Odkąd pamiętam, szuka partnera, umawia się na randki. Mogłaby już prowadzić wykłady na ten temat. Bracik zaproponował spotkanie. W realu. I nie o sklep mu chodziło, tylko o prawdziwą randkę. Waham się, ale nie postawię sobie kart. Takie decyzje powinnam podejmować z pomocą intuicji. Na razie wysłałam mu zdjęcie, może gdy je zobaczy, nie zechce inwestować we mnie czasu?

Dziś przyjąłem klientkę, która rozważa rozwód z mężem. Przyszła, rozejrzała się z lekką dezaprobatą, zwierzęta musiałam zamknąć w oddzielnym pokoju, w końcu usiadła demonstracyjnie półgębkiem na krześle pod ścianą, choć podsunęłam jej fotel. Torebkę, wartą pewnie kilkanaście tysięcy, niedbale rzuciła na stół. Siedziała tak przez dłuższą chwilę i wzdychała. Czekałam w milczeniu, co powie. Starłam się nie myśleć, że tuż przed jej przyjściem poszło mi oczko w rajstopach za 2,50 za sztukę. Paniusia w końcu zaczęła mówić. Stale powtarzała, że należy rozwodzić się godnie i z poszanowaniem praw każdego członka rodziny, w szczególności dzieci. Oświadczyła, że po długich medytacjach i zagłębianiu się w siebie lepiej poznała swoje potrzeby i oczekiwania od świata, i teraz – bardziej świadoma niż kiedykolwiek – przystąpi do rozwodu z namaszczeniem godnym tybetańskich mnichów. Opracuje zasady wspólnego korzystania z szafy w przedpokoju, kolejność gotowania posiłków, zbieżne komunikaty dla dzieci, dlaczego tatuś rozkłada polówkę w łazience, a mamusia pisze mu na karteczce, którą wieszka co rano na lodowce, to, co mogłaby powiedzieć mu wprost. Amen. Pytanie do mnie? Czy jej postępowanie jest słuszne i właściwe. Trudna jest praca wróżki. Ludzie obciążają nas odpowiedzialnością za własne decyzje. Cóż miałam jej odpowiedzieć? W takich momentach to ja muszę wybierać, czy potakiwać i dzięki temu mieć pewność, że jeszcze do mnie wróci, czy wskazać jej błędy w rozumowaniu, ryzykując utratę przyszłego zarobku. Chyba nie wypadłam dobrze, bo wyszła skrzywiona. A wynagrodzenie odliczyła co do złotówki.

Milutki odwołał spotkanie w ostatniej chwili. Już wychodziłam z domu. Nie było to milutkie. Boluś bez słowa usiadł mi na ramieniu i cmoknął mnie w policzek.

29 listopada, piątek

Dzisiejsi klienci w nastroju refleksyjno-depresyjnym. Wszyscy pytają o śmierć. Dopytują się, jakie karty pojawiły się w rozkładzie i czy „wyszła” im Śmierć. Karta, która w istocie rzadko oznacza prawdziwy zgon. Zwykle interpretuje się ją jako przygotowanie miejsca na nadejście nowego, odnowę, koniec jednego i początek drugiego etapu, przeistoczenie, transformację, konieczność wyzbycia się starych przyzwyczajęń. Ewentualnie nieodwracalną



stratę czegoś. Na dziś chyba skończę, bo popadnę w depresję. Naleję sobie wody do wanny, zapalę świeczki, obiorę kilka mandarynek i zanurzę się w pachnącej pianie na dobry kwadrans. Później sięgnę po książkę i zatopię się w innym świetle, bez wrózek, klientów, bez kart i pytań o przeznaczenie, i bez telefonu...

2 grudnia, poniedziałek

Zdecydowałam się, pójde na randkę w ciemno z Bracikiem. Umówiliśmy się pod kolumną Zygmunta na Starym Mieście. On jest taki tajemniczy. Bardzo mnie to ekscytuje. Zobaczymy.

Na razie kolejna seria rozmów. Tym razem klient radził się, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. Otóż jest to człowiek na stanowisku dość eksponowanym, wymagającym od niego powagi i dostojności oraz postawy władczej. Taki też jest ten klient w miejscu pracy. Poza nim zmienia się w posłusznego niewolnika, gotowego spełnić każde życzenie swojej pani. Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z takimi „upodobaniami”, stąd zauważyłam u siebie pewną trudność w interpretowaniu kart. Zawsze staram się zachować dystans, akceptować każdego takim, jaki jest, ale przecież nie wiem wszystkiego, poza tym pojawiła się we mnie naturalna ciekawość. Klient na szczęście ujawnił więcej szczegółów, dzięki czemu łatwiej mi było przekazywać mu informacje.

Kilka tygodni wcześniej poznał on pewną kobietę, która chętnie i z dużym znanstwem weszła w rolę dominy. Nie chodziło jednak o seks, ale ten rodzaj dominacji, gdzie brak równości u partnerów wywołuje ogromne podniecenie. Pani była jednak na tyle pragmatyczna, że „swojego niewolnika” wykorzystywała bardzo produktywnie. Kazała mu na przykład myć okna u siebie w domu, szorować podłogi, obierać ziemniaki itp. Wszystko oczywiście na golasa. Pan, ubrany wyłącznie w kolczatkę na szyi, posłusznie wykonywał wszystkie polecenia. W nagrodę pani przypinała go do smyczy, a smycz do kaloryfera. Pan siedział pod tym kaloryferem przez jakiś czas, potem był odpinany, seans się kończył i pan wracał do domu.

Przykra przygoda wydarzyła się kilka dni temu. Pani zaprosiła na wieczór kilkoro przyjaciół. Przed spotkaniem postanowiła zrelaksować się w wiadomy sposób, zyskując przy okazji darmową siłę roboczą, która posprząta mieszkanie. W nagrodę pan zasiadł przy kaloryferze. Pani udała się do fryzjera. U fryzjera była kolejka. Czas płynął. Goście pojawili się pod domem pani. Gdy jej nie zastali, zatelefonowali do niej. Ona bez zastanowienia podała kod dostępu otwierający drzwi do budynku i poinformowała, że mieszkanie jest otwarte, bo jej znajomy tam na nią czeka. Zapomniała jednak, że pozostawiła swojego niewolnika goluteńskiego, tym razem skutego kajdankami i przywiązanego do kaloryfera. Znajomi weszli do środka i oniemieli. W pierwszej chwili nasunęło się podejrzenie, że w domu pojawili się włamywacze, którzy obezwładnili owego pana, jednakże nieznośna myśl, że zginęło tylko jego ubranie, wszystkim natrętnie pchała się do głowy.

Zanim Domina wróciła, pojawiła się wezwana przez gości policja. Pan zdobiący kaloryfer siedział, przykryty kocem. Gdy stróże prawa stanęli w drzwiach i zobaczyli nietknięte mieszkanie i nagusieńkiego mężczyznę, osłupieli. Podejrzenie, że padli ofiarą głupiego żartu, wypłynęło natychmiast po tym, gdy do domu wpadła Domina, wyjęła z torebki kluczyk do kajdanek i uwolniła nieszczęśnika. Wszyscy taktownie udawali, że nie rozpoznają prominenta z pierwszych stron gazet.

Klient opowiedział mi tę historię, a ja zaczęłam się zastanawiać, o co chce spytać karty. On zaś zapytał: „Proszę mi powiedzieć, czy ja jestem skończony? Bo jeśli prasa się o tym dowie...”. „No cóż, karty stwierdziły, że pan na całej tej przygodzie zyska”. „Nieprawdopodobne! Bujdy!” – krzyknął do słuchawki i się rozłączył.

Wieczorem tego samego dnia

Klient-niewolnik zadzwonił do mnie i przeprosił. Otóż z wiadomych względów przenoszą go na inne stanowisko, mniej eksponowane, ale za to lepiej płatne. W dodatku w jego resorcie znalazła się inna Domina...

Bracik mnie wystawił. W ogóle nie przyszedł. Jak ta głupia kręciłam się przy kolumnie dobre pół godziny, aż straż miejska zaczęła mnie obserwować. Telefonu nie odbierał. Wróciłam do domu zniesmaczona. Na skrzynce znalazłam informację, że skasował profil. Wspaniała historia Syrenki i Żeglarza chyba dobiegła końca.

3 grudnia, środa

Bracik rano wysłał mi SMS-a, że coś mu wypadło i nie mógł przyjść. Zapropował drugie podejście. Przed południem.

No cóż, zgodziłam się. Przeżyłam powtórkę z rozrywki, znów się nie pokazał. Znów mu coś wypadło. Do trzech razy sztuka, pomyślałam i zgodziłam się na kolejne spotkanie. Dziś po południu. Od rana siąpił deszcz, a Bracik uparł się na tego Zygmunta. Wsiadłam do autobusu linii numer 116 i zauważyłam z zadowoleniem, że w autobusie jest ciepło. Na dworze siąpił deszcz, wiał wiatr, pogoda z dnia na dzień stała się bardzo nieprzychylna i przyjemne ciepło mile mnie dziś nastroiło. Zwłaszcza po wyjściu z ciepłego, przytulnego mieszkania mocniej odczuwam taką nieprzyjemną wilgoć w powietrzu. Przyczyna ciepła tkwiła w tym, że autobus linii 116 przyjeżdżał o bardzo różnych porach, zwykle wtedy, gdy nikt już na niego nie czekał, dlatego też ludzie, przypadkiem widząc przejeżdżające 116, wsiadali szybko do środka, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy przyjedzie następny autobus tej linii.

W tej chwili auto było wypełnione po brzegi, człowiek stał obok człowieka i grzał go swoim oddechem i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie fakt, że tych ludzi przybywało, a co za dużo, to niezdrowo, jak mówi chińskie przysłowie. Doszło do tego, że do autobusu można było już tylko wsiąść, bo ludzie poubierani w futra, kożuchy, płaszcze i kurtki, kapoty, w wielgachnych czapach na głowach i z torbami

wielkości budy dla psa, klinowali się w przejściu na mur.

– Czy może mnie pan łaskawie nie deptać? – wystękała z kurtuazją pani w filcowym kapeluszu.

– Mogę – zgodził się zagadnięty mężczyzna, co i tak nie zmieniło postaci rzeczy, bo deptali się wszyscy nawzajem.

– Proszę pana, to są nowe włoskie kozaczki! Kosztowały majątek! – nie ustępowała dama w kapeluszu.

– Przecież nie odrąbię sobie nóg! – zdenerwował się ten pan i zgniótł pani kapelusz, gdy autobus gwałtownie skręcił. Pasażerowie padli sobie w objęcia.

– Mój panie! – wrzasnęła damulka spod kapelusza, ale zagłuszył ją ktoś inny:

– Ratunku! Moje jajka! – darła się bardzo tęga kobieta. – Panie! Zejdź pan ze mnie! Jajka mi pan pozgniatasz!!!

Widok był przepiękny. Cały tuzin jaj poniewierał się po babinych kolanach, spodniach pana w kozuszkach i kilku innych osobach, które nawet o tym nie wiedziały. Przyczyna zajścia była prosta. Gdy autobus zahamował, pan w kozuszkach akurat w tym momencie puścił uchwyt, którego się przytrzymał, sięgnął ręką do kieszeni, po czym stracił równowagę i usiadł z rozmachem na kolanach baby, a ściślej na koszyku pełnym jaj, który baba trzymała na kolanach.

– Przez pani głupi koszyk nie tylko te jajka doznają szwanku – mruknął mężczyzna, rozmazując po sobie skorupki w żółtej mazi.

Tymczasem autobus zatrzymał się na przystanku i niektórzy odwrócili się w stronę wyjścia. Pierwsze drzwi, te najbliższe kierowcy, nie otworzyły się wcale, bo stojący tam pan słusznej postury był od nich silniejszy. Ostatnie drzwi ścisnęły komuś rękę, zaś przy środkowych rozpętało się istne piekło. Wszyscy usiłowali wysiąść jednocześnie. Autobus niebezpiecznie przechylił się w prawo.

– Puszczaj, chamie! – zaryczał męski głos. – Ja wysiadam! Czegoś się, pacanie, uczeplił?!

– Proszę mnie przepuścić! Chciałabym wysiąść... Z drogi, pętaku!

– Przestań pan macać moją żonę! Łapy przy sobie, bo w pysk dam!

Z ulgą uwolniłam swój szaliczek z drzwi i szyję z szaliczka, ratując się w ten sposób od niechybnego uduszenia. Rozejrzałam się i postanowiłam wysiąść. Zrobiłam krok do przodu i... moja noga zawisła w powietrzu. Do autobusu zdążył już bowiem wsiąść barczysty facet w kurtce z kołnierzem z jakiegoś zgasłego ssaka. Facet wsiadł, zatrzymał się i bardzo skutecznie zapchał sobą jedyne dostępne wyjście.

– Ja wysiadam na następnym przystanku i nie chcę się przesuwac do środka, żeby nie robić zamieszania – tłumaczył, nawet z sensem.

– Panie, rusz się pan! Ludzie chcą wysiąść!

– No tak, ale ja wysiadam na następnym...

– Tego dziada trzeba wypchnąć! – zakomenderowała staruszka z laską, siedząca przy wejściu. – Wszyscy razem, na komendę! Szturmem!!!

Ludzie zgodnie napaarli na pana z kołnierzem. Rozległ się trzask drącego się materiału, kogoś przyduszono, jakieś dziecko zaczęło płakać, a pan z kołnierzem nie popuścił. Uczepił się poręczy i wydawało się, że teraz już tylko chirurg mógłby oddzielić jego rękę od metalu. Jednak żywioł ludzki jest stokroć potężniejszy. Ruszyła druga ofensywa, za nią trzecia. Autobus tym razem omal się nie przewrócił, kiedy strumień ludzkich ciał wylał się na przystanek. Na marginesie, pan z kołnierzem nie puścił. Puściły śruby. I jego kołnierz. Bo potem to już był pan bez kołnierza.

Tym razem odczekałam tylko parę minut i zatelefonowałam do niego.

– Co to za głupie żarty? – zaczęłam bez zbędnych wstępów.

A on na to:

– Ja cię widzę!

– Jak to, mnie widzisz? Gdzie ty, do cholery, jesteś?!

– Obserwuję cię przez szybę, po drugiej stronie ulicy.

– Oszalałeś?!

– Nie, tylko najpierw chciałem ci się przyjrzeć, bo przecież trzeba być ostrożnym...

Gdy to powiedział, zgłupiałam. Facet, który posturą i fizjonomią przypomina Władimira Kliczkę, umawia się ze mną w biały dzień, w jednym z najbardziej ruchliwych miejsc w Warszawie, i boi się podejść. A cóż ja (156 cm wzrostu i 50 kg wagi) mogłabym mu zrobić? Napluć na niego? I to tylko na jego buty, bo do twarzy mi za wysoko.

Naprawdę nie wiedziałam, co począć w takiej sytuacji, więc stałam bezradnie przy kolumnie i pozwalałam się obserwować. W tej samej chwili zadzwonił telefon. Oczywiście pan Przemek.

– Panie Przemku, nie mogę teraz rozmawiać, proszę zadzwonić później – poprosiłam szybko, bo przecież w każdej chwili Bracik, zwany Żeglarzem, mógł zawezwać mnie SMS-em.

– Nie będę dzwonił później – szorstko odparł pan Przemek, jak zwykle zresztą.

– No to kiedy indziej...

– Co pani sobie wyobraża! Że ja tak będę wydzwaniał w nieskończoność?!

– Dziś było to pierwsze połączenie z nim. – Nie mam czasu!

– Przykro mi, jestem na randce i naprawdę nie mogę rozmawiać...

– Staralam się mimo wszystko być grzeczną.

– A po co pani chodzi na randki? – chciał wiedzieć pan Przemek. – Trafi pani na jakiegoś palanta i zacznie narzekać, że świat jest niesprawiedliwy. Bez sensu!

Nie rozważałam dłużej, czy moja randka ma sens, czy nie, ponieważ Bracik odważył się podejść do mnie. Zrobił to dokładnie wtedy, gdy przerwałam dywagacje pana Przemka słowami:

– Nie obchodzi mnie, że pana nie obchodzi, z kim się spotykam, do widzenia!.

Bracik popatrzył na mnie z lekką dezaprobatą i powiedział, że musi już iść, bo zrobiło się późno...

4 grudnia, środa

Dziś pojawił się u mnie facet ubiegający się o spadek, do którego nie ma żadnych praw. Tak sam twierdzi. Sprawa miała być przez to prosta. Zupełnie nie rozumiem dlaczego. Jego plany pokrzyżował jakiś kuzyn, który się nagle objawił, i został upoważniony przez kolejnego spadkobiercę spadkobiercy. Walczą razem o spadek. Pan przyszedł do mnie, żeby zapytać, czy wygra. Wyciągnęłam karty. Klient przez całe spotkanie obgryzał paznokcie. Zadałam pytanie, czy uda się pozytywnie zakończyć sprawę spadku. Karty odpowiedziały, że sprawa spadku zamknie się, ale inaczej, niż się tego spodziewamy. I tu zaczęło się to, czego najbardziej nie lubię. Dopytywanie. Ale jak się skończy, to znaczy, że on przegra czy wygra i ile wygra, i co się stanie dalej, itd. Czasem karty nic nie chcą mówić i co ja mogę na to poradzić? To nie tresowane pieski!

8 grudnia, niedziela

Dziś sporo randkowałam. Zarówno wirtualnie, jak i realnie. Korca leżała u moich stóp i przy każdym kandydacie, którego obserwowałam, wzdychała ciężko.

– Tak, wiem, Korcia, ten też się nie nadaje – mruzczałam pod nosem. Bolek siedział na brzegu komputera i pukał w ekran, gdy pojawiała się zdjęcie. Brak zdjęcia, naciśnięcie nóżką w klawisz – idziemy dalej.

Umówiłam się na kawę z jakimś Brunetem. Żadne plenery, wewnątrz, bo zimno. Wybrałam lokal usytuowany niedaleko mojego domu, położony strategicznie, ponieważ po wyjściu z kawiarni mogłam szybko wskoczyć w autobus i odjechać, gdyby zaszła taka potrzeba. Asekuracyjnie, jak zwykle, poinformowałam moją sąsiadkę, z kim i gdzie się umawiam, i poszłam. Brunet wysłał wcześniej swoje zdjęcie. Z opisu wynikało, że jest wysoki (184 cm wzrostu), dobrze zbudowany (90 kg wagi), jest brunetem i nosi okulary. Wiek: 42 lata. Przyznam, że dość długo zastanawiałam się, jak się ubrać na tę randkę.

– Boleś, co ja mam włożyć? – pytałam swojego asystenta. On tylko kręcił łepkiem i powtarzał w kółko „nie!”. Elegancko? Raczej nie, bo to przecież nie raut w ambasadzie. Na sportowo? Też chyba nie, bo pomyśli, że go lekceważę. Seksownie? Oo, wtedy dopiero sobie pomyśli! Byle jak? Odpada! Jak do pracy? Też nie. W końcu zdecydowałam się na niebieską sukienkę z umiarkowanym dekoltem, długość przed kolano, ale nie za krótką, i szpilki. Włosy rozpuszczone,

czerwona szminka na zachętę. Bolek ocenił na „buzi!” Korka pewnie doradziłaby mi ubrać się na czarno.

Lokal, który wskazałam, to maleńka knajpka z mikroskopijnymi stoliczkami pilnującymi ogromnych kanap. Jest tam miło i przytulnie, ale przestrzeń zdecydowanie mniejsza niż zwykle. Zapomniałam wcześniej zarezerwować odpowiedni stolik.

Chmurzyło się, zabrałam więc parasol. Gdy zbliżałam się do restauracji, minęłam duży czerwony samochód, zaparkowany tak, że zabarykadował cały chodnik. Byłam zmuszona zejść na ulicę, żeby go wyminąć. Gdy przechodziłam, drzwi od strony kierowcy nagle się otworzyły i uderzyły mnie w bok. Runęłam jak długa w kałużę przed sobą. Kierowca podbiegł, żeby pomóc mi wstać, i na poczekaniu otrzymał cios parasolem w twarz. Nie zamierzyłam się na niego specjalnie, po prostu pochylił się nade mną akurat wtedy, gdy nieszczęsny parasol zaplątał mi się pod pachą. Facet złapał się na nos, a ja dołożyłam mu jeszcze tym parasolem w kolano.

Świadoma spóźnienia na spotkanie, w dodatku cała umorusana błotem, machnęłam ręką na poturbowanego kierowcę i ruszyłam w stronę wejścia do kawiarni. On chyba zmierzał w tę samą stronę, bo w drzwiach znów się spotkaliśmy. Mój parasol pierwszy wszedł do środka. Kelner z wewnątrz obserwował dziwaczną scenę, gdy dwoje ludzi szarpie się z drzwiami wejściowymi i zamiast wejść, wrzuca do środka parasol. Gdy wreszcie udało nam się stanąć w restauracji, okazało się, że jest wolny tylko jeden stolik. Popatrzyłam na faceta i powiedziałam:

- Mój gość i tak pewnie już na mnie czeka, więc proszę skorzystać.
- Ale ja też jestem z kimś umówiony, więc oddzielny stolik mi niepotrzebny
- odparł mężczyzna i wzruszył ramionami.

W tej samej chwili obydwójce, jak na komendę, zajrzeliśmy do małej sali. Niedaleko, na kanapie, siedziała para zakochanych, którzy czule patrzyli sobie w oczy. Reszta świata dla nich nie istniała. Przemknęła mi przez głowę myśl, że może to jest mój randkowy partner, który mnie się nie doczekał, a tamta dziewczyna czekała na tego kierowcę, też rozczarowana, postanowili więc nie tracić czasu i zainteresowali się sobą. Odrzuciłam jednak tę myśl, ponieważ amant był rudy i bez okularów. Inni goście odpadali z racji wieku, postury itp. Wtedy przyjrzałam się gościowi dokładniej.

- Czy pan ma na imię Karol?
- Tak! To ja.

Być może nie mam dobrej miarki w oku, ale przy Karolu poczułam się strasznie wysoka. Oto stał przede mną chudy drobny facecik, ogolony na jeża, o twarzy tak przeciętnej i bezpretensjonalnej, że mógłby grać w reklamach wszystkiego. Z jego wyblakłych oczu były lęk, przerażenie, determinacja

i bezmyślność. Przez następną godzinę stawałam na wyżynach własnej kreatywności, by podtrzymać rozmowę, bo Karol odpowiadał zwykle: „Niechętnie” albo „No tak, no i co dalej?”.

Nie umiem powiedzieć, jaki jest. Nijaki – ani miły, ani niemiły, ani zabawny, ani nudny, przezroczysty jak powietrze. Dobrnęłam do końca randki i pożegnałam się z nim słowami:

– Słuchaj, Karol, jesteś miłym facetem, ale trochę zbyt grzecznym jak dla mnie. Nie jestem odpowiednią kandydatką dla ciebie, powinieneś szukać dalej.

– Raczej niechętnie, ale no tak.

Jutro kolejna randka. Tym razem bardzo konkretny pan major wojska polskiego. Na razie wracam do komputera.

9 grudnia, poniedziałek

Dzień rozpoczął się od standardowej rozmowy z panem Przemkiem. Zamiast powitania usłyszałam, że wszystkie kobiety są takie same, to znaczy podłe, wredne, okrutne i wyrachowane materialistki. Należałoby je wszystkie zamknąć w rakiecie i wystrzelić na Księżyc. Jak zwykle tylko słuchałam, bo nie dopuścił mnie do głosu. Skądinąd mu współczuję. Młody facet, a już tak wiele zła doświadczył w relacjach damsko-męskich. Jednak to nie moja wina, że jedna dziewczyna go oszukała, druga okradła i oszukała, a trzecia oszukała, okradła i wyśmiała. Środek dnia wypełniły rozmowy z klientami, którzy starali się mnie przekonać, że są uosobieniem dobroci, aniołami, które zstąpiły na Ziemię, tylko zapomniały po co. Wielu z nich skrzydeł używa już tylko w celu zamiatania podłóg. Ja natomiast jestem wyrocznią, która ma im przypomnieć o ich misji. Większość rozmów rozpoczynała się dziś od słów: „Chciałem dobrze...”, „Zawsze mogę zacząć wszystko od nowa!”, „Jeśli tylko on zrozumie i się zmieni...”, „Dlaczego los mnie tak doświadcza, przecież jestem dobry?”, „Pomogę jej naprawić błędy”.

Coś mi to przypomniało, sięgnęłam więc do Dantego i przywołałam obraz wszystkich dziewięciu kręgów piekieł. Wróżbici zajmują przedostatni, więc od dziś przestaję posługiwać się tytułem zawodowym „wróżka”. Od teraz będę doradcą i przewodnikiem. W żadnym wypadku fałszywym. Przeciwnie, będę mówić ludziom wszystko szczerze i bez ogródek. W związku z tym pewnie niedługo popracuję. Po południu wybrałam się na spotkanie z kolejnym kandydatem na kandydata, w nadziei, że i słowo „samotna” zastąpię słowem „zajęta”.

Pan major prezentował się wspaniale: wysoki, postawny, elegancki, szarmancki, brunet niebieskooki. Właściwie od tego powinnam zacząć. Brunet niebieskooki to skończony ideał, nawet gdyby nie był zawodowym żołnierzem, w dodatku oficerem. Od samego początku byłam urzeczona jego szorstkim żołnierskim tonem, czułam się bardzo bezpiecznie, gdy otaczał mnie swoim męskim ramieniem oraz gdy oznajmił, że ma plan naszego spotkania. Z góry zgodziłam się na wszystko. Major, zwany Krzysztofem, posadził mnie w aucie

i pomknęliśmy prosto... na poligon. Tam przez blisko trzy godziny obserwowałam zmagania szeregowców z przyrodą i korpulentnym kapralem, który potwornie seplenił. Po wyrzuceniu z siebie kilkunastu komend wycierał oplutą brodę rękawem i brał się pod boki. Potem patrzył na „mojego” majora i niczym wierna psina czekał na pochwałę.

– Pokażę ci, na czym polega prawidłowe rozeznanie w terenie, a następnie wyznaczenie punktów strategicznych – obiecał Krzysztof.

O niczym innym nie marzyłam. Na wszelki wypadek założyłam przecież wąską spódnicę i szpilki.

– Żołnierze zostali wyposażeni w mapy obrazujące topografię terenu – wyjaśniał mi major. – Ich zadaniem jest wyznaczyć azymut, a następnie w jak najkrótszym czasie pokonać przeszkodę geograficzną, dotrzeć do bazy znajdującej się w wyznaczonym na mapie miejscu i zameldować wykonanie zadania. Potem udamy się do kantyny w celu spożycia grochówki.

Zastęp, który obserwowaliśmy z oddalenia, składał się z trzech mężczyzn i jednej kobiety. Wszyscy dźwigali olbrzymie plecaki, na głowy nasadzili sobie hełmy i biegli z bronią w rękę. Ta broń pałętała im się niekiedy między nogami. Dziewczynie hełm ciągle obsuwał się na oczy. Cały teren był błotnisty, a gdzieniegdzie zdradziecko wystawały uschnięte badyle. Nowiuteńkie rajstopy miałam z głowy. Przeszkodą geograficzną okazała się rzeczka, może nawet rzeczuszka, o szerokości góra trzech metrów. Za dużo, żeby z tym całym majdanem przeskoczyć, za to wystarczająco dużo, by przemoczyć nogi. Od razu wysunęłam przypuszczenie, że towarzystwo mogłoby zniknąć szybko pod powierzchnią wody wraz z dźwiganym ciężarem, bo woda wyglądała na głęboką. Obejść tej strugi się nie dało, ciągnęła się w obu kierunkach dość daleko. Po trwającej ponad pół godziny naradzie wojennej zdecydowano, że ktoś podejmie jako pierwszy próbę przepłynięcia się na drugi brzeg, a gdy to się powiedzie, pójdą następni. Plan był taki: doskoczyć do gałęzi wystającej z rzeki, która wyglądała dość masywnie, odbić się od niej i wylądować gładko po drugiej stronie. Na ochotnika do pierwszej próby zgłosiła się dziewczyna. Niewiele widząc z za zbyt dużego hełmu, ruszyła z rozmachem, odbiła się od brzegu i ucapiła gałęzi. Wisiała na niej przez chwilę, po czym patyk wolno przechylił się w prawo, zanurzając dziewczynę w wodzie tak, że tylko nos jej wystawał. Wyglądało to tak, jakby miś koala spał w wodzie. Wszyscy zamarliśmy. Po chwili odezwał się jeden z żołnierzy:

– Mariola, pomóc ci?

Za to grochówka była wyśmienita. Po posiłku Krzysztof zaproponował romantyczny spacer po lesie. Nie cierpię spacerować po lesie, zwłaszcza w butach na obcasach, ale te jego niebieskie oczy... W lesie się zgubiliśmy. Zrobiło się już zupełnie ciemno, gdy Krzysztof stwierdził, że nie wie, gdzie jesteśmy, telefonu nie



zabrał i w ogóle nie ma pojęcia, w którą stronę iść. Zrobiło się zimno i nieprzyjemnie. Na szczęście polskie lasy to nie dżungla amazońska, więc po pewnym czasie dobrnęliśmy do koszar.

To była niezapomniana randka... Gdy spojrzałam w lustro, zobaczyłam samą siebie do niczego niepodobną. Włosy sterczały mi we wszystkich kierunkach, znad ucha zwisał jakiś zaschnięty liść, spódnica przekręciła się tak, że z przodu dziwacznie sterczał suwak, nogi miałam podrapane od góry do dołu, zamiast butów – dwa wielkie gliniane kloce. Natomiast Krzysztof mógłby stanąć do parady wojskowej. Ciekawe, czy się jeszcze ze mną umówi?

10 grudnia, wtorek

Do tej pory przeprowadziłam na portalu ezoterycznym jakieś 2000 rozmów z klientami. W większości były to kobiety. Przekrój wiekowy od 18 do 75 lat, najczęściej odzywały się osoby w wieku między 25 a 45 lat. Najchętniej zadawane pytania dotyczyły miłości, związków, uczuć, relacji. Przeciętnie konsultacja trwała około 5–6 minut, choć zdarzały mi się rozmowy 45-minutowe. Ile na tym zarabiam? Różnie, ale nie więcej niż 40 procent całej kwoty, którą płaci klient. Najgorzej pracuje się w nocy. Nocne dyżury trwają od godziny 2.00 do 5.00, od 2.30 do 5.30 lub od 5.00 do 7.00. Najwięcej rozmów przytrafia się między 3.00 a 5.00 rano. Zdarzają się klienci, którzy telefonują kilka razy pod rząd, do tej pory mój rekord „zarwanych nocy” to łącznie cztery doby. Najtrudniejszym klientem była młoda kobieta, wedle jej słów, zamożna, samodzielna, niezależna i samotna. Za każdym razem zadawała mi te same pytania i nigdy nie była usatysfakcjonowana odpowiedziami. Najprzyjemniejszy klient to pan Andrzej, który dzwonił tylko po to, aby mnie nieprzerwanie przez 5 minut komplementować. Zrobiłam te podsumowania, ponieważ odezwał się Jacek. Zdałam sobie sprawę, że bardzo długo z nim nie rozmawiałam. Praca pochłonęła mnie bez reszty. Nawet z ojcem nie mam czasu porządnie się pokłócić. Jacek zapytał mnie o pracę, jak mogę ją zdefiniować, podsumować. Oczywiście, chodziło mu o pracę wróżki, nie tę w pralni, bo co by tu było do podsumowania? Ilu klientów przyniosło ile kosztul?

– Najdziwniejsze pytanie, jakie mi zadano, brzmiało: czy moim przeznaczeniem jest znaleźć się w kosmosie? Strasznie mnie korciło, żeby doradzić klientowi tę podróż w kosmos. Niech leci! – powiedziałam, uśmiechając się do Jacka w trakcie przygotowywania kawy.

Jacek ryknął tym swoim tubalnym śmiechem i zabrał się do rozpakowywania przyniesionych przez siebie kremówek.

Siedzieliśmy w pralni, bo Roksana jeszcze nie przyszła, choć dochodziła jedenasta, a Jacek zaczynał dyżur w klinice dopiero po południu.

– Jakkolwiek dwuznacznie to zabrzmiało, to sądnym dla mnie dniem, kiedy to „obsłużyłam” dwudziestu pięciu klientów, był pewien lipcowy poniedziałek. Nie

miałam wówczas czasu, żeby się wylogować – opowiadałam dalej. – Pytania, na które nigdy nie udzielałam odpowiedzi, to pytania o śmierć i ciężką chorobę. Te, których nie lubię, to pytania o sprawy, które zależą wyłącznie od samych pytających, na przykład czy zdecyduję się zająć w ciąży w najbliższym czasie.

Jacek oblizwał łyżeczkę i zabierając się do kremówki, powiedział:

– Przydarzyła mi się kiedyś pacjentka, która trwała w przekonaniu, że jest w ciąży, w dodatku została, jej zdaniem, zapłodniona przez kosmitę. Rodzina umieściła ją w klinice, tymczasem kobieta kilka miesięcy później urodziła dziecko. Wróciła do domu, niespełna trzy miesiące później znów była w ciąży i znów z kosmitą. Najważniejsze, że i to dziecko było zupełnie normalne, wcale nie zielone, z czułkami. Wtedy rodzina postanowiła zrobić badania DNA i okazało się, że ojcem dzieci jest sąsiad, z zawodu śmieciarz, który odwiedzał panią tuż po zakończeniu pracy, ubrany w zielony uniform i brudny na twarzy. Pani była cokolwiek niedorozwinięta. – Jacek wchłaniał już trzecią kremówkę. Nie protestowałam. – Przekonanie ludzi, że wszystko wiedzą najlepiej i ich punkt widzenia jest jedynym słusznym punktem odniesienia, to najczęstszy grzech. Uważamy siebie za nieomylnych i jedynie trzeźwo myślących. Cała reszta się myli albo prezentuje rażącą ignorancję. Niestety, wykształcenie i posiadane dyplomy nie gwarantują, że człowiek stanie się choć trochę bardziej krytyczny wobec siebie.

– No właśnie. – Usiadłam naprzeciw Jacka. – Czy to nie pułapka doskonalić się stale i wciąż na tyłu poziomach, na ilu się da? Te wszystkie zalecenia, aby szukać w sobie odmiennej doskonałości, niezwykłości, indywidualizmu. Ta asertywność, która objawia się poprzez stawianie granic innym, ale nie sobie? Czy to nie jest skrzywienie? To się jakoś nazywa fachowo?

– Fachowo to się nazywa pycha – odparł z uśmiechem Jacek. – Niestety, współczesna medycyna jest wobec tego schorzenia bezradna.

Nadejście klientów i Roksany przerwało nasze dywagacje na temat pychy, ale rozwinął się temat wróżenia i moich statystyk. Klienci rechotali, gdy opowiadałam, że najśmieszniejsza sytuacja przytrafiła mi się wówczas, gdy jeden z klientów telefonował, prowadząc jednocześnie samochód. Padło pytanie: czy czekają go jakieś straty finansowe w najbliższym czasie? Odpowiedziałam, że tak. Chwilę potem usłyszałam w słuchawce policyjną syrenę. Wkrótce rozbawiony klient zadzwonił do mnie i powiedział, że się sprawdziło, bo właśnie dostał mandat za rozmawianie przez komórkę podczas jazdy.

– Istnieją pewne zasady, których wróżki przestrzegają ze względu na etykę, ale też na własne bezpieczeństwo – ciągnęłam, a audytorium rosło, bo każdy wchodzący do zakładu klient od razu zaczynał słuchać z zaciekawieniem. – Należy do nich zakaz umawiania się na randki z klientami, z którymi prowadzimy rozmowy przez telefon lub czat, zakaz ujawniania swoich prywatnych danych i informacji o sobie, zakaz w ogóle spoufalania się z klientami oraz zakaz

wchodzenia z nimi w mniej lub bardziej legalne interesy. O hazardzie nikt nie wspominał, ale i tak odmówiłam. Jeden z moich stałych klientów przyszedł pewnego razu na spotkanie z gotówką w ręku, z miejsca zapytał mnie, czy chcę zarobić. Wahałam się przez chwilę, bo pieniądze wyglądały kusząco. Zapytałam ostrożnie, co ma na myśli. Wyjaśnił, że wystarczy, jeśli wskażę mu kolor, czerwony czy czarny. Nic nie odpowiedziałam. Zamurowało mnie. Wtedy ów klient przyjrzał mi się i powiedział: „Czarny sweterek, to stawiam na czarne!”. I tak się pożegnaliśmy.

– Ludziom odbija, przecież to zupełnie wariactwo – skwitował pan, który przyniósł paczkę z pościelą do uprania. – Wyrzucają pieniądze na takie głupoty. Raczej daliby na biednych albo co.

– Każdy wydaje, na co chce, wydaje w końcu swoje! – zaperzyła się pani z bloku naprzeciwko. Ona i jej córka przychodzą czasem do mnie na wróżenie. – Spotkałam się kiedyś z czymś takim: jedna z wrózek umieściła na swoim portalu *Regulamin korzystania z porad*. Brzmiał on tak (tu pani wyciągnęła z kieszeni papierek i odczytała):

Zanim napiszesz lub zadzwonisz do mnie, upewnij się, że: nie zadajesz ponownie tego samego pytania kartom (im więcej razy pytasz o to samo, tym większe prawdopodobieństwo, że odpowiedź udzielona przez karty będzie nieprawdziwa).

#### **Regulamin dla osób zwracających się po wróżbę:**

1. Osoba prosząca o wróżbę musi być pełnoletnia.
2. Nie odpowiadam na prośby o wróżbę w imieniu osób trzecich, jeśli nie mają bezpośredniego związku ze sprawami Pytającego (to dotyczy również sytuacji, gdy rodzice pytają o życie dorosłych dzieci).
3. Prosząc o wróżbę, należy podać krótki opis sytuacji i/lub konkretne pytanie, na które szuka się odpowiedzi. Należy również podać datę urodzenia, imię.
4. Pytający jest zobowiązany do zadawania sensownych pytań, czyli takich, na które sam nie zna odpowiedzi. Pytania w stylu „Czy pójdę do szkoły?”, „Czy będę mieć dziecko?”, „Czy spotkam tego jedyne?” są niedopuszczalne. To są sytuacje, na które wpływ ma tylko Pytający. Poza tym są to pytania czysto życzeniowe – jeśli Pytający (nawet jeśli otrzyma na nie przepowiednię) nie podejmuje żadnych działań, to niech nie oczekuje, że się ona spełni. Wróżby działają zwykle na zasadzie przyczyny-nowo-skutkowej.
5. Prognoza ma charakter drogowskazu i daje możliwości ominięcia problemów.
6. Mam prawo odmówić spełnienia prośby o wróżbę ze względów etycznych (najczęściej, w przypadku pytań dotyczących zdrowia – tym się zajmuje lekarz, lub w pytaniach dotyczących aktualnie prowadzonych spraw sądowych – tym się zajmuje sędzia, adwokat).. Nie wróżę osobom uzależnionym od wróżby.

7. Prośba o wróżbę jest jednoznaczna z przyjęciem przez Pytającego postanowień regulaminu i zgadza się on ze wszystkimi postanowieniami w nim zawartymi.

8. Nie biorę odpowiedzialności za Twoje życie po wykorzystaniu wskazówek z tarota.

– Zastanowiłam się wtedy, czy istnieje ustandaryzowany zapis, dotyczący etyki pracy wrózek i wróżbitów – kontynuowała po odczytaniu klientka.  
– Naturalnie, poza ogólnymi wytycznymi, które narzucane są przez administratorów portali ezoterycznych. Po czym można poznać, że wróżka lub wróżbita wykonują dobrze swoją pracę? Po tym, że wróżba się spełniła, czy po tym, że klient rozłączył się zadowolony?

Rozgorzała dyskusja, czy istnieje etyka pracy wrózek, czy w ogóle praca wrózek to praca. Ojciec zajrzał do pralni i oniemiał. W środku było aż duszno, ponieważ prawie dwadzieścia osób zażarcie dyskutowało. Wycofał się na zaplecze, ale jego mina nie wróżyła nic dobrego. Trudno. Potem mu jakoś wyjaśnię, że to dobrze, kiedy klienci się tłoczą, bo inni mogą pomyśleć, że nasza pralnia jest oblegana, i dzięki temu wzrośnie jej popularność. Wieczorem usiadłam przy biurku i zastanowiłam się, jak mógłby brzmieć kodeks etyczny wrózek. Taki zbiór zasad i reguł. Może tak:

### KODEKS WRÓZEK I WRÓŻBITÓW

1. Na portalach ezoterycznych posługujemy się pseudonimami – ze względów bezpieczeństwa.

2. Wróżka lub wróżbita dokładnie i precyzyjnie interpretują rozkład kart, nie wolno jednak informować klientów o przewidywanej śmierci jakiegokolwiek osoby, o zbliżających się innych zagrożeniach, które są nieuniknione, o braku możliwości wyzdrowienia u klienta lub poprawienia sytuacji życiowej w najbliższym czasie, o zbliżających się katastrofach i kataklizmach w skali globalnej, nie dotyczących bezpośrednio samego klienta lub jego rodziny.

3. Nie wolno klientów namawiać do przerwania leczenia, terapii, zaprzestania przyjmowania leków oraz do przyjmowania substancji, które mogą wejść w reakcję z zażywianymi lekami, bez wcześniejszej konsultacji klienta z lekarzem.

4. Wróżbita lub wróżka powinni zachować spokój i opanowanie podczas trwania rozmowy lub spotkania z klientem. Nie wolno klientów obrażać, krzyczeć na nich, szydzić ani upokarzać.

5. Wróżka lub wróżbita nie mogą klienta pouczać ani straszyć negatywnymi konsekwencjami z tego powodu, że klient nie zastosuje się do ich zaleceń czy rad.

6. Wróżbita lub wróżka sami decydują, jakie karty wykorzystają do wykonania usługi. Na życzenie klienta można użyć innej talii.

7. Wróżka lub wróżbita proszą klienta o podanie tylko niezbędnych do wykonania usługi informacji, w szczególności takich jak: imię, data urodzenia, konkretne zagadnienie do zbadania oraz przekrój czasowy.

8. Wróżbita lub wróżka nie oceniają pracy innych wróżek i wróżbitów.

9. Wróżka lub wróżbita nie podejmują się usługi, jeśli zaistnieją po ich stronie jakiegokolwiek przyczyny, zwłaszcza zaburzenia świadomości, kłopot z koncentracją, nadmierne pobudzenie, zmęczenie, niechęć do klienta.

10. Wróżbita lub wróżka nie starają się uzależnić od siebie klientów, w szczególności poprzez namawianie ich do częstego korzystania z wróżb celem poprawy samopoczucia, przez straszenie, uzależnienie psychiczne lub związek emocjonalny. Nie należy także nawiązywać bliskiej relacji z klientem, w szczególności relacji erotycznej.

Na portalu randkowym też dokonałam podsumowań, ponieważ właśnie mój profil odwiedził dwusetny gość. Wśród wszystkich odwiedzających przytrafiły się trzy kobiety. Wszystkie trzy złożyły mi bardzo jednoznaczne propozycje, ale je odrzuciłam, kobietki nie były w moim typie.

Ponad 90 procent odwiedzających napisało do mnie wiadomość lub puściło tzw. oczko. Blisko 2/3 mężczyzn, którzy odwiedzili mój profil, to ludzie wolni (przynajmniej według ich deklaracji) w wieku od 30 do 43 lat. Ponad połowa z nich jest zainteresowana wyłącznie przygodami. Przeważają blondyni, niezależni finansowo, zdeklarowani kosmopolici. Standardowe powitanie to: „Hej, masz fajny profil! Umówimy się?”. Zwykle odpowiadam na to, że mój lewy profil jest cokolwiek gorszy od prawego i czekam na reakcję. Połowa „zaczeplalskich” obraża się lub nie podtrzymuje dalej kontaktu. Z tej garstki, która się ostaje, kolejna grupa (jakieś 30 procent) odpada po pierwszych dniach korespondowania. Typowe pożegnanie (o ile jest) brzmi: „Wiesz, muszę jutro wyjechać w delegację/na konferencję i nie będę mógł rozmawiać przez jakiś rok, bądźmy w kontakcie!”. Z pozostałymi zwykle po dwóch-trzech dniach umawiam się na randkę. Wyjątek stanowił Bracik, prawdziwy rekordzista: ponad pięćdziesiąt wiadomości.

Nie zastanawiałam się jeszcze, jakie wnioski wypływają z tych statystyk. Wiem jedno, nauczyłam się formułować krótkie i zwięzłe komunikaty zawierające jak najwięcej treści; Szymon Słupnik to przy mnie wulkan zniecierpliwienia. Nabrałam ogromnego dystansu do siebie i przede wszystkim do swojego wyglądu. Idealnie skrajne opinie na mój temat, które czytam lub słyszę, przyjmuję do wiadomości i odkładam *ad acta*. Dzięki temu stałam się bardziej pewna siebie i otwarta na ludzi. To chyba dobrze? Jutro randka z prawnikiem. Przez telefon brzmiał bardzo obiecująco. I tym razem nie jest to portalowy kandydat. To najprawdziwsza z prawdziwych randka zaaranżowana przez swatkę. Niezastąpioną sąsiadkę, która zawsze dobrze mi życzy.

12 grudnia, środa

Z prawnikiem się nie spotkałam. Umówieni byliśmy już dawno, lecz stale „działo się” coś, co uniemożliwiało randkę. Rozmawialiśmy zatem przez telefon. Nie wiedzieć czemu ubzdurałam sobie, że ten człowiek nazywa się Robert, choć w rzeczywistości ma na imię Łukasz, co zresztą przypominał, przedstawiając się na początku każdej rozmowy. Nasze konwersacje stanowiły wzorcowy wręcz przykład taktu oraz elegancji. Były poprawne, aż się niedobrze robiło.

- Panie Robercie, jak upływa panu dzień?
- Ależ droga pani, mam na imię Łukasz!
- Bardzo pana przepraszam, jestem dziś taka roztargniona!
- Nic nie szkodzi, to takie urocze w pani wykonaniu!

Ponieważ kontaktowaliśmy się ze sobą przynajmniej kilka razy dziennie, po zaledwie dwóch dniach Łukasz uznał, że znamy się już na tyle dobrze, że może złożyć mi pewną propozycję:

– Czy zechciałaby pani towarzyszyć mi w sobotę podczas wesela mojego brata?

Oczywiście, że zechciałabym. Liczę na to, że wreszcie uda nam się zobaczyć i porozmawiać bezpośrednio. Ciekawe, czy Łukasz założy na tę okoliczność frak?

Monotonne stało się natomiast pojawianie się na moim profilu randkowym wiadomości tej samej treści, ale wysyłanych przez różne osoby. Wiadomość brzmiała: „Szukam niezobowiązującej znajomości”. Wszystkim odpisałam to samo: „Mam nadzieję, że znajdziesz”.

Największą niespodziankę sprawiła mi jednak jedna z klientek. Od kilku dni przeżywałam wręcz oblężenie telefoniczne. Odbierałam po kilkanaście połączeń dziennie, a każde trwało dłużej niż przeciętnie. Poniedziałek obfitował w sprawdzanie potencjalnej zdrady u partnera, we wtorek dominowały zapytania o sens życia i o to, jakie numery padną w lotto. Kilkanaście minut przed północą postanowiłam, że to koniec na dziś. Dostyc, żadnych numerów więcej, żadnych zdrad i nieszczęśliwych związków. I wtedy zatelefonowała pani Kasia. Nie pytała o nic niezwykłego, można powiedzieć, standard. Mimo to rozmowa z nią stanowiła najlepszy relaks, o jakim mogłabym sobie wówczas zamarzyć. Śmiałyśmy się do rozpuku, zupełnie zapomniałam o profesjonalizmie i zasadach i rechotałam jak żaba, odpowiadając na pytania pani Kasi. Gdyby dziś ktoś mnie zapytał, co mnie tak rozbawiło, nie umiałabym odpowiedzieć, ale wiem jedno: pani Kasiu, proszę co jakiś czas do mnie zadzwonić. Umówimy się i ja pani zapłacę za tę rozmowę!

Na koniec ciekawostka. Czasem dyżuruję w nocy. Nocne rozmowy są bardzo wyczerpujące i to nie tylko dlatego, że klienci telefonują zwykle między 2.30 a 4.15. Ta rozmowa była naprawdę niezwykła: „Halo, kim pani jest? – odezwał się męski głos. „Bo ja do domu dzwonię!”.

13 grudnia, czwartek

Wielokrotnie zastanawiałam się, na czym polega fenomen wróżb. Dlaczego w tak zrjonalizowanym świecie wciąż istnieje zapotrzebowanie na tego rodzaju usługi? Może zabrzmiało to dziwnie, ale czasem przyglądam się moim kartom z niedowierzaniem i rozmyślam, kto wpadł na pomysł, aby nadać im tę, a nie inną wymowę, kolejność w talii, kolory. Ukazało się wiele pozycji na ten temat, więc nie zamierzam wgłębiać się, jak skonstruowany jest tarot oraz na czym polega wróżenie z kart klasycznych. Chciałabym natomiast skoncentrować się na innym aspekcie tego zagadnienia. Skąd bierze się stałe i niezmiennie zapotrzebowanie na wróżenie i osoby, które się tym zajmują? Oczywiście, napisano tysiące prac na temat psychologicznych przyczyn, kulturowych, społecznych, wynikających z tradycji, z rozrywkowego charakteru wróżb itp., w wielu z nich sprowadzając wróżby do szkodliwego zabobonu. Jednak owo zapotrzebowanie wciąż istnieje i liczba osób, które się tym zajmują, świadczy o wyraźnie rosnącym popycie. Zastanawiające jest również, że z wróżeniem w rozmaitej postaci mamy do czynienia chyba we wszystkich kulturach, pod wszystkimi szerokościami geograficznymi. Z pewnością nie będzie to nadzwyczajne odkrycie, gdy stwierdzę, że moim zdaniem, chodzi o dwie sprawy. Pierwsza to poszukiwanie nadziei, druga – ucieczka od odpowiedzialności. Ludzie korzystają z porad wróżek i wróżbitów nie po to – jak się błędnie uważa – aby poznać przyszłość. Oni chcą usłyszeć, że ta przyszłość będzie lepsza, a przynajmniej nie gorsza od teraźniejszości. Podstawowy dylemat wielu doradców to: czy powiedzieć klientowi prawdę, która może go jeszcze bardziej podłamać, czy też kłamać, żeby go podnieść na duchu? Przekonałam się, że ludzie, którzy już zdecydowali się i wykręcili numer do wróżki, pozostawali zupełnie świadomi, o jaką usługę proszą. Wśród klientów wielu jest prawników, lekarzy, architektów, nauczycieli, inżynierów, prezesów firm. Co druga rozmowa rozpoczynała się od słów: „Nie wierzę we wróżby, ale od wielu dni mam tak podły nastrój, że nie wiem już, co ze sobą zrobić. Proszę mnie pocieszyć, mówiąc, że będzie lepiej, choćby to nawet miało się nie sprawdzić”.

Sądzę, że nie tylko ja częściej pełnię rolę słuchacza, terapeuty, psychologa czy po prostu kumpla „na chwilę”, któremu można wypłakać się w mankiet. Rozmowa jest anonimowa z obu stron, ja nie jestem związana żadną etyką zawodową określonej profesji, klient też nie oczekuje ode mnie tego, czego spodziewałby się na przykład od psychologa w gabinecie. I jak by nie spojrzeć, koszt takiej „terapii” jest zdecydowanie niższy. Rozmowę można w każdej chwili zakończyć, przerwać, połączyć się z innym doradcą. Pozbywanie się odpowiedzialności – w postaci oczekiwania, że karty „powiedzą”, jaką decyzję podjąć, lub określią ścisły scenariusz życia, a co za tym idzie „usprawiedliwią” czyjaś bierność – to problem bardziej złożony. Przeżywam stres, rozmawiając z klientami, którzy domagają się ode mnie bardzo konkretnej odpowiedzi

na pytania typu „Ale to się i tak wydarzy? Czy zdecyduję, czy nie, prawda? Bo to jest moje przeznaczenie?”. Albo „Jaki będzie wynik rozmowy o pracę, bo zastanawiam się, czy w ogóle tam iść, skoro ma być niedobrze”. Takie rozmowy trwają najdłużej i często są bezproduktywne. Nie chcę zrażać do siebie klientów, ale bywa, że tracę cierpliwość i odsyłam ich do tego, co powiedziałam wczoraj, godzinę temu, w zeszłym tygodniu. Rekordy biją kobiety, które uparcie, codziennie, nawet kilkakrotnie domagają się sprawdzania stanu czyichś uczuć. Nie trzeba być wróżką, by przewidzieć, że osoba, którą bombardują SMS-ami tej samej treści, w końcu zmienia swoje nastawienie. Wtedy ja otrzymuję zapytania o przyczynę i o przeznaczenie. Czy chcę w ten sposób uzasadnić swoją pracę, która zdaniem wielu osób jest szachrajstwem i oszustwem? Nie, niechętnie mówię o sobie „wróżka”, czasem moje karty leżą odłogiem cały dzień, choć jestem stale zajęta. To klienci, którzy kończą rozmowę słowami: „Bardzo mi pomogła ta rozmowa, chociaż wciąż nie znam odpowiedzi na wiele pytań. Ale wiem, że mam coś do przemyślenia, a to napędza mnie nadzieją i optymizmem. Dziękuję”.

14 grudnia, piątek

Zabawne historie przytrafiają się ludziom. Oto jeden z klientów zatelefonował z prośbą, żeby sprawdzić, czy uda się załagodzić sprawę. Owszem, odpowiedziałam, choć lepiej byłoby, aby ta sprawa została rozstrzygnięta polubownie. Wtedy klient opowiedział mi, co zaszło. Wszystko rozegrało się latem na terenie jednego z marketów budowlanych. Ów klient to dyrektor do spraw technicznych i w zakres jego obowiązków wchodzi między innymi nadzorowanie ochrony, firmy sprzątajacej i informatyków. Owego feralnego dnia spodziewano się niezapowiedzianej kontroli właścicieli całej sieci. Już od tygodnia dyrektor generalny grzmiał na pracowników, że kontrola musi, po prostu musi wypaść bardzo dobrze, inaczej on „leci” i wszyscy „leczą” razem z nim. Dokąd lecą, tego nie zdradził, ale zrobiło się bardzo poważnie. Mój klient również docenił powagę sytuacji, zebrał więc współpracowników i przekazał im komunikat, który w wolnym tłumaczeniu brzmiał następująco: „Kochani! Jutro przyjeżdżają szychy z samej góry! Sklep ma lśnić! Kosze na śmieci mają pachnieć! Podłogi mają błyszczeć!”.

– Ależ u nas jest wylewka zamiast podłogi... – zauważył nieśmiało jeden z pracowników.

Dyrektor techniczny zmierzył go wzrokiem zza okularów i powiedział tak, że tamtemu ciary przeszły po plecach.

– Ma być tak czysto, żebym mógł się przejrzeć w tej wylewce, zrozumiano?

Wszyscy kiwnęli głowami, że rozumieją, i na tym zebranie zakończono. Następnego dnia klient-dyrektor pojawił się w sklepie o świcie. Nerwy miał napięte jak postronki. W nocy śniło mu się, że cały market tonie w kurzu i odpadkach złośliwie zrzucanych z helikoptera przez konkurencję, a on sam jeden, na kolanach,



zamiata to wszystko szczoteczką do zębów. Obudził się zlany potem. Czym prędzej wypadł z domu i popędził do pracy. Na miejscu omal go jasny szlag nie trafił. Z koszy na śmieci aż się wylewało, przeszklone drzwi wejściowe upstrzone były śladami po paluchach, ekspozycja brudna. Pobiegł więc czym prędzej do pakamery zajmowanej przez pracowników firmy sprzątajacej. Nikogo. W kantorku ochroniarzy pusto, w pokoju socjalnym też nikogo nie zastał. Dochodziła siódma, za chwilę otworzą sklep, a za godzinę pojawi się ważna delegacja. Ruszył więc z kopyta na poszukiwania charakterystycznej żółto-czerwonej postaci, bodaj jednej (pracownicy serwisu sprzątajacego ubierali się w żółte koszulki i czerwone spodnie). Jest! Kanalia jedna, żółto-czerwona! I proszę, jaki bezczelny! Zakupy sobie przyjechał zrobić, leń patentowany! Dyrektor wypuścił z nozdrzy parę i wygrzmiał w stronę mężczyzny, krzycząc na cały sklep:

– Ty chamie niemyty, ty!!! Zakupów ci się zachciało, mendo!!! A kto sklep posprząta?! Jazda, bierz się za ścierę i szoruj, bo ci nogi poprzetrącam!!!

Człowiek ubrany w żółto-czerwony strój zamarł. Ktoś brzydko krzyczał i to zdaje się, był komunikat skierowany pod jego adresem. Rozejrzał się niepewnie, ale sklep o tej porze był jeszcze wyludniony. Delikatnie popchnął wózek wypełniony towarami.

– Ogłuchłeś?! Łap się za mopa!

Facet w okularach, cały czerwony na twarzy, wciskał mu do ręki wiadro i kij od szczotki. Wyglądał na obłąkanego, a on obłąkanych bał się panicznie. Wziął więc wiadro i posłusznie zaczął myć wokół siebie podłogę.

– No! – Wariat jakby się udobruchał. – Jak skończysz z podłogą, to jeszcze umyj regały i opróżnij kosze!

– A zakupy... moje?

– Ja ci dam zakupy, flejo!!! W domu też najpierw żresz, a potem sprzątasz?!

Postanowił nie dyskutować. W końcu to wariat, może dostać jeszcze gorszego ataku. Co mu zależy posprzątać ten kawałek. Jak ten furiat się oddali, to rzuci mopa i szybko wyjdzie ze sklepu. Potem zgłosi to ochronie.

Gdy dyrektor sklepu wyjrzał z antresoli na halę i zobaczył żółto-czerwonego pracownika, który zamiast zamiatać, stoi przy kasie i płaci, omal nie wypadł przez balustradę.

– Zabiję!!! – wrzeszczał. – Zatłukę! Wyrzucę na zbity pysk!

Mężczyzna w żółtej koszulce zbladł. Co on mu takiego zrobił, na litość boską? Po sklepie przechadzali się już inni klienci, a ten szalenięc uparł się akurat na niego. Ale już płaci, jeszcze chwilka i stąd odjedzie. W życiu jego noga już tu nie postanie. Dlaczego ten terminal tak długo odczytuje kartę?!

Dyrektor zbiegł po schodach, omal nie łamiąc przy tym obu nóg. Zderzył się z filarem, ale i to go nie zatrzymało. Przed oczami stał mu żółto-czerwony facet

z wózkiem wypełnionym zakupami, który zamiast ratować jego honor, oddalał się w stronę parkingu.

Klienci sklepu z ogromnym zainteresowaniem przyglądali się człowiekowi, który cwałował w stronę parkingu, ciągnąc za sobą wypełniony po brzegi wózek podskakujący na wybojach. Wyraźnie uciekał przed goniącym go facetem w okularach, który darł się jak opętany. Ochrona stała niczym wbita w ziemię, bo klient na ich oczach zapłacił za zakupy. Zareagowali jednak, gdy dotarło do nich, że rozpędzony buhaj w okularach to ich przełożony, a komunikat, który wyrzuci z siebie, to żądanie, aby gościa zatrzymać. Ten jednak zdążył już wsiąść do samochodu, uruchomił silnik. Ucieka! Matko kochana!!!

– Stać!!! Stać!!! – kwiczał dyrektor.

Ochroniarze wybiegli ze sklepu, machając rękami do kolegów stojących na podjeździe, ci wyciągnęli kolczatkę tuż przed przejeżdżającym autem. Udało się. Kierowca został wywleczony z samochodu i obezwładniony na ziemi. Z przerażenia głos uwiązał mu w gardle. Ledwo wyszeptał: „Mamusiu...”. Wówczas dobiegł do niego zdyszany dyrektor. Popatrzył na powalonego i zamarł. To nie był pracownik firmy sprzątającej. To był klient. Zwykły klient pospolity. Szarańcza, gangrena złośliwa, celowo się tak ubrał, żeby go w błąd wprowadzić!

Dyrektor nabrał powietrza w usta, pochylił się nad osobnikiem i powiedział spokojnie:

– Bardzo pana przepraszamy, zaszła pomyłka. Oczywiście, dostanie pan od nas darmowy bon na zakupy w naszym sklepie.

Klient pozwał sklep i domaga się piramidalnego odszkodowania. No cóż, zdaniem kart, lepiej byłoby, gdyby się dogadali...

16 grudnia, niedziela

Umówiony przez sąsiadkę prawnik okazał się w rzeczywistości zupełnie inny, niż wynikało to z jej opisu. Wyobrażałam sobie, że spotkam mężczyznę wysokiego, wysportowanego, bardzo pewnego siebie, który od pierwszego wejrzenia zawładnie moim sercem. Wysoki był, owszem, tak na jakieś dziesięć metrów. Jego głowa tonęła w chmurach. Gdy coś mówiłam, to bezwiednie zaczynałam krzyczeć w obawie, że mój nędzny głosik nie dotrze tak wysoko. Sądzę, że jest przystojny, choć kierując się jedynie wzorkiem na krawacie, trudno było mi to ocenić. Dlatego prawdopodobnie nie zakochałam się w nim od pierwszego wejrzenia. W ogóle nie zajrzałam mu w oczy, bo nie dosięgam tak wysoko. Łukasz przyjechał po mnie późnym popołudniem. Jego twarz, okrągłą i wielką jak księżyc, zobaczyłam, gdy zbiegając po schodach, dotarłam do drugiego piętra. Z każdym kolejnym pokonywanym stopniem czułam się dziwnie, zupełnie jak Alicja w Krainie Czarów po zjedzeniu magicznego ciasteczka, robiłam się coraz mniejsza i mniejsza. Moja sunia tymczasem przeżywała prawdziwą ekstazę. Jej odwiecznym marzeniem było urodzić się jako najmniejszy pies świata.

Ponieważ jest słusznych rozmiarów, przeżywa dramat, gdy ktoś mówi do niej: „Spora psina!”. Przy Łukaszu wyglądała jak pchła przy słoniu i może dlatego zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Bolek natomiast wystraszył się i z krzykiem uciekł do swojej klatki.

– Zapraszam do taksówki – zagrział basem Łukasz, gdzieś hen, hen nad moją głową.

Bardziej trafione byłoby zaproszenie do jego kieszeni. W taksówce złożył swoje bardzo długie nogi jak scyzoryk i z lekko pochyloną głową zwrócił się do mnie tymi słowami:

– Uwielbiam tańczyć! Mam nadzieję, że pani również i że przetańczymy razem całą noc!

Chyba się wtedy uśmiechnęłam, a może tylko niewyraźny grymas pojawił się na mojej twarzy. Nieważne, Łukasz i tak nie mógł tego zobaczyć, bo jego głowa wypełniała pół samochodu, co uniemożliwiało kręcenie nią. Dojechaliśmy na miejsce, to znaczy do domu rodziców Łukasza i jego młodszego brata Marcina. Był to piętrowy bliźniak. Na parterze urządzono dwie sale weselne. W jednej ustawione były stoliki w podkowę, w drugiej pusty parkiet zachęcał do tańca. Łukasz wygramolił się z taksówki, po czym usiłował pomóc mi wysiąść. Gdy pochylał się nade mną, to słońce zachodziło. Robiło się kompletnie ciemno i zimno. Wkroczyliśmy do domu, w którym już tłoczyli się ludzie, wszyscy na nas patrzyli, nawet z większą uwagą niż na młodą parę. Sięgałam Łukaszowi do pępka, pewnie niejeden gość zastanawiał się, dlaczego on przyszedł na wesele w towarzystwie pięcioletniego dziecka. Trochę przerażała mnie perspektywa wspólnego tańca. Mój Boże, tańczyć z kimś, kto nie ma łba...

Na szczęście było to tradycyjne rodzinne wesele, to znaczy na siedząco. Usiedliśmy przy stole. Od razu okazało się, że podsiadłam jakąś bardzo ważną ciocię i towarzystwo w pobliżu sześć razy zmieniał konfigurację. Podczas wznoszenia toastów Łukasz wstawał, ryzykując przebicie głową stropu, więc potem robił to już na siedząco, a i tak wszyscy zadzierali głowy. Najważniejszą osobą w rodzinie była babcia. Posadzona na honorowym miejscu i traktowana z należytym szacunkiem, zapadała w drzemkę w najmniej odpowiednim momencie i potwornie głośno chrapała. Marcin, któremu przypadła rola pana młodego, stanowił doskonale przeciwieństwo Łukasza. Niegruby, niechudy, o włosach ciemnych niewiadomego koloru i bladej cerze. Pod nosem zapewne usiłował zapuścić gęsty wąs, ale ten nie chciał rosnąć. Za to panna młoda pasowałaby do „mojego” kawalera idealnie: gruba, wielka Kachna. Gdyby się zamachnęła, wbiłaby pięść w ścianę.

– Kochani zebrani i goście! – zabuczał ktoś do mikrofonu.

– Jak chcesz coś powiedzieć, to wstań! – upomniał mówcę któryś z gości.

Potem okazało się, że ów już stoi.

- No więc... – znów zabuczało.
- Bliżej mikrofon! – odezwał się ten sam doradca.

Wówczas rozległ się przeciągły wizg, bo przemawiający prawie zjadł mikrofon.

- ...i... życia... – zakończył mówca i zaczął sam sobie bić brawo.

Ogólnie dobrze się bawiłam. Taniec z Łukaszem polegał na tym, że ja wykonywałam piętnaście kroków, on jeden; zanim obiegłam go dookoła – zaczęli grać inny utwór, ale za to wokół nas była pusta przestrzeń, bo jeden ruch Łukasza łokciem wystarczył, aby nikt się nie zbliżał. Gdy kręcąc się, oddalałam się za bardzo, Łukasz przestawiał mnie po prostu na właściwe miejsce. Najmniej komfortowo tańczyło nam się walca i tzw. tańce przytulańce. Ramiona Łukasza w pełnej rozpiętości liczą sobie jakieś pięć metrów, więc byłam zmuszona trzymać go pod pachami. Podczas tańca wolnego z kolei w ogóle nie wiem, czy ktokolwiek mnie widział. Łukasz musiał wyglądać wtedy dość żałośnie, mężczyzna, który stoi na środku parkietu, obejmuje sam siebie i błogo się przy tym uśmiecha. Jedno wszakże muszę stanowczo podkreślić: dbał o mnie bardzo. Stale się pytał, czy nie jestem głodna, spragniona, zmarznięta, przegrzana, zmęczona, zniechęcona oraz czy się nie nudzę. Tymczasem o nudzeniu się nie było w ogóle mowy! Już same rozmowy przy stole dostarczały przedniej rozrywki.

– Ile razy dziennie się pan wypróżnia? – chciała wiedzieć pani siedząca niedaleko mnie. Pytanie było skierowane do mężczyzny opartego o krawędź stołu, który rozmawiał z kilkoma osobami naraz.

– Coś tak koło siedemdziesięciu... – padła szybka odpowiedź. – Tak, nawet siedemdziesiąt pięć sztuk. O co pani pytała?

- Ile razy dziennie opróżnia pan samochód z ładunku?

– Aaa... to raz, bo to jest samochód dostawczy, proszę pani, i on stale musi być załadowany.

- Czym pan się zajmuje na co dzień?

– Gram na trąbce.

- To przymiera pan głodem?

– Nie, dlaczego?

- Bo z trąbki to chleba nie ma!

Na parkiecie, oprócz nas, szalały inne pary. Pewien chłopak przez cały czas kuczał. Jego kolejne partnerki nie nadążały za tym kucaniem, więc prosił do tańca następne. Ani melodia, ani rytm mu nie przeszkadzały, kuczał i kuczał. Z kolei inny szarpał się z dziewczyną, starając się nakłonić ją do wykonywania niezliczonej liczby obrotów, aż ta wystrzelona jak z procy przebiegła przez całą salę i zatrzymała się na ścianie. Kulminacyjnym punktem programu stało się – a jakże – rzucanie weselnym bukietem panny młodej oraz odświętnym krawatem pana młodego. Bukiet trafił w głowę chrapiącą babcię, zaś krawat zawisł na żyrandolu.

Przez dobry kwadrans kolejni kawalerowie starali się podskoczyć, aby go stamtąd zdjąć. Nikomu jakoś nie przyszło do głowy, że wystarczyłoby, aby Łukasz podniósł rękę. Jemu samemu też nie.

Czy moja znajomość z Łukaszem się rozwinie? Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że tak, choć przeraża mnie perspektywa spędzenia reszty życia w towarzystwie człowieka, którego nie będę miała szansy obserwować. Tylko wygląd jego kolan informowałby mnie, czy Łukasz się zestarzał, czy nie.

19 grudnia, hipnoza

Poddałam się hipnozie z ciekawości. Seans przeprowadzała pani Zosia. Tego dnia nie umawiałam się z nikim, nie wiedziałam przecież, jak będę się czuła po wszystkim, ile czasu mi to zajmie. Towarzyszył nam pan Ryszard. Późniejsza relacja pani Zosi i pana Ryszarda oraz moje odczucia składają się na tę opowieść. Gdyby nie fakt, że wiedziałam, o której to się zaczęło i o której zakończyło, nie umiałabym odpowiedzieć na pytanie, jak długo przebywałam w transie: kilka minut, kilka godzin czy kilka dni. Moje odczucia co do własnego zachowania w porównaniu z obserwacją pozostałych dwóch osób – to dwa różne przeżycia. Podczas całego seansu odpowiadałam na zadawane pytania oraz sama mówiłam, co widzę, słyszę i czuję. Przebieg hipnozy nie był rejestrowany.

Położyłam się wygodnie na kanapie i zamknęłam oczy. W pokoju było jasno, ale nie przeszkadzało mi to, gdzieś z boku sączyła się przyjemna muzyka reiki. Ryszard siedział pod ścianą i się nie odzywał. Pani Zosia zaczęła wprowadzać mnie w trans, mówiąc do mnie łagodnym głosem:

– Odpręż się, poczuj, jak twoje stopy się odprężają, poczuj, jak twoje kolana się odprężają, poczuj, jak twoje ręce się odprężają...

W pewnej chwili ogarnął mnie niewypowiedziany lęk. Serce podeszło mi do gardła, dłonie zrobiły się wilgotne, poczułam wręcz obezwładniającą panikę. Otworzyłam oczy i usiadłam wyprostowana, gwałtownie łapiąc oddech. Nie potrafiłam wytłumaczyć, co się ze mną stało, dlaczego tak zareagowałam, czego się przestraszyłam.

– Pomyśl, co czujesz – powiedziała spokojnie pani Zosia. – Nie staraj się na siłę szukać odpowiedzi na pytanie, czego się boisz. To przyjdzie samo. Teraz nazwij swoje uczucia.

– Czuję lęk, nawet strach, tak jakbym bała się o swoje życie, lęk przed śmiercią – powiedziałam z wahaniem. – Zapadałam się w sobie i to mnie przeraziło. Zupełnie jakbym tonęła.

– Nie bój się tego uczucia. – Pani Zosia łagodnie pogładziła mnie po ręce. – To, przez co za chwilę przejdiesz, już się wydarzyło. Ty ponownie tylko to odczujesz. Tak jak w kinie podczas bardzo sugestywnego filmu.

Instynktownie czułam, że jeśli wycofam się teraz, to już nigdy nie pozbędę się tego męczącego wrażenia, że uległam wobec własnej słabości. Nikt na mnie

nie naciskał, nie czułam presji ze strony pani Zosi. Wiedziałam, że seans możemy przełożyć lub zupełnie z niego zrezygnować. Przez chwilę tego właśnie chciałam, odłożyć, odsunąć w czasie, na kiedyś, na później. Wiedziałam jednak, że to kiedyś już nie nadejdzie. Teraz. Muszę przez to przejść teraz. Ponownie położyłam się na kanapie i zamknęłam oczy. Zanim pani Zosia cokolwiek powiedziała, mnie już zrobiło się gorąco ze strachu, cała drżałam, oddychałam ciężko. Uczucie tonięcia pogłębiało się, łapałam powietrze jak ryba. Bałam się, że naprawdę utopię się w tym pokoju, leżąc na sofie!

– Nie bój się, jesteś bezpieczna, nic złego cię nie spotka, nikt cię nie skrzywdzi... – syczył się łagodny głos pani Zosi.

I wreszcie przyszedł moment, kiedy strach był już tak wielki, że... przestałam się bać. Zrobiło mi się wszystko jedno. Czułam, jak zapadam się w otchłań, niezmierną głębię i ciemność. Wtedy dopiero poczułam się w pełni rozluźniona. Moje ciało rozpadło się na milion cząsteczek, które zniknęły gdzieś w przestrzeni. Przestałam istnieć, ale dzięki temu czułam, że istnieję bardziej, mocniej. Nie było już żadnych ograniczeń, mogłam przeniknąć cząsteczkę wody, mogłam być wszędzie i wszystkim.

– Teraz policzę od dziesięciu do zera – kontynuowała pani Zosia. – Gdy dojdę do zera, dam ci znak, a ty przeniesiesz się w głąb swojej podświadomości i pozwolisz, aby cię poprowadziła. Podążysz za nią, mówiąc o tym, co widzisz, słyszysz, czujesz, jak się czujesz. Dziesięć...

Poczułam, że spadam. Wciąż było ciemno, spadałam w tunel bez dna. Raz szybciej, raz wolniej, raz leciałam z ogromną prędkością „na łeb na szyję”, to znów opadałam wolno, niczym piórko.

– Pięć...

Odliczanie nie robiło na mnie żadnego wrażenia. Nie towarzyszyło mi najmniejsze przekonanie, że gdy usłyszę „zero”, to coś się wydarzy. Po prostu spadałam...

– Zero. Teraz!

Wciąż spadałam. Czułam powiew powietrza, czasem było mi zimno, czasem cieplej, ale nie odczuwałam znacznego dyskomfortu. W pewnej chwili zatrzymałam się. Wisiałam w powietrzu. Ciemność wokół mnie zaczęła się rozrzedzać. Przypominało to świt, słońce wstaje i zalewa swoją jasnością świat. Zobaczyłam brzeg rzeki lub jeziora, obrośnięty szuwarami, trawą wysoką na metr i innym zaroślami. Mogła być wczesna wiosna, bo roślinność nie przybrała jeszcze świeżej barwy, choć ja nie czułam chłodu. Dookoła nie było nikogo. Nie widziałam też żadnych zabudowań. Po chwili obraz się zmienił. Teraz patrzyłam na duże męskie stopy, obute w mocno zniszczone i mocno zakurzone sandały ze skóry. Stopy krwawiły. Nie wiem skąd, ale wiedziałam, że to są moje stopy i że ponad stopami jest tułów, ubrany w ciężką zbroję, w której jest mi bardzo gorąco.

Horyzont przesłaniał mi ciężki hełm, spod którego coś wyciekało i spływało mi na oczy. Otarłam twarz wierzchem zakurzonej dłoni. W dłoni trzymałam miecz. Bolała mnie ręka. Zanim zdążyłam się zastanowić nad tym, co widzę, już biegłam skrajem urwiska. Pode mną ziała przepaść skalna, musiałam biec, bo ktoś za mną krzyczał. Biegłam bosą, kamienie wbijały mi się w stopy, kaleczyły palce. Dobiegłam do krawędzi i skoczyłam. Nie bałam się. Rozłożyłam ręce jak do lotu. Od tego momentu obrazy przesuwają się w takim tempie, że nie nadążałam z rejestrowaniem tego, co widzę. Widziałam bowiem powiewające muślinowe zasłony, stary młyn, przy którym szum wody zagłuszał coś, co mówił do mnie młody chłopak, stół zastawiony mnóstwem półmisek z truskawkami, niemowlę w kołysce, las, zielony i pachnący, brukowaną ulicę i śmierdzący rynsztok. Przy niektórych wizjach dane mi było zatrzymać się na dłużej, przy innych tylko na ułamek sekundy.

– Co widzisz? Czy widzisz jakieś nazwy, daty, twarze, które znasz?  
– przebijał się głos pani Zosi.

To mnie rozpraszało. Nie nadążałam z opowiadaniem, co widzę. Obrazy często były niewyraźne, lub widziałam coś z takiej perspektywy, że z początku nie potrafiłam określić, co to jest.

– Nie umiem tego opisać. Nie umiem tego do niczego porównać. To jest jakby skała, a w niej wydrążone otwory, jak w plastrach miodu, ale można tam wejść z każdej strony, można wejść do góry nogami i tak pozostać. Grawitacja nie działa. Ktoś coś do mnie mówi. Rozumiem, co mówi, choć nie słyszę słów i nie widzę nikogo. Mam wrażenie, że ja też jestem tym kimś lub czymś. Wszędzie jest bardzo jasno, ale i tak nic nie widać. Tu wzrok i słuch nie są potrzebne, przeszkadzają. Gdy mówię, to nie mogę odczytać, co inni do mnie mówią. Jestem rozproszona.

Nie wiem, czym jestem. Raczej nie człowiekiem... Czuję się silna i bezpieczna. Tam jest woda, jakieś jezioro. Muszę się napić. O rany! Zobaczyłam się! Jestem ptakiem! Orłem! Mam dziób!

Coś na mnie siedzi. Czuję ciężar. Nie mogę się poruszyć. Jestem zakopana?... Nie wiem, co się dzieje... liście... wiewiórka... czy to możliwe, że jestem drzewem?...

Lecę. Między szczelinami skalnymi. Pode mną są lasy, zielone, bezkresne. Co za cudowne uczucie...

Wchodzę do sieni. To dom na wsi. Na ścianie wisi kalendarz, ale wiatr podnosi kartki do góry... chyba było tam napisane 54, ale nie jestem pewna. Na lewo od wejścia jest duży pokój z wyjściem na werandę. Stół, na stole koszyk z grzybami. Ktoś przyszedł... teraz idziemy wzdłuż drogi. Jest bardzo gorąco. Lato. Nie mam pojęcia, skąd wiem. Ten mężczyzna ma jasne włosy i niebieskie oczy. Jest młody, uśmiecha się do mnie, całuje mnie w policzek.

Wiszę nogami w dół. Nie mam oparcia. Dookoła jest rozwrzeszczany tłum, boli mnie kark, nie mogę spojrzeć w górę, but mi spadł...

Jerozolima. Obserwuję, jak świat przewija się dookoła. Jem coś, mam brudne ręce... Te ręce są stare.

Nie pamiętam, ile było tych wizji. Niektórych nie umiałam w ogóle opisać. Mówiłam tylko, że jest mokro, ładnie pachnie, muszę skrócić głowę w prawo, coś lepkiego, jestem kobietą, chyba nie mam nogi itp. Pamiętam, że podczas moich „podróży” czułam, że choć nie mam ciała, to czasem wykonuje ono jakiś ruch, pochyła się, opada, przewraca, patrzy w górę, w dół. Pani Zosia i pan Ryszard zgodnie potwierdzili, że leżałam w całkowitym bezruchu. Poruszałam wyłącznie ustami. W pewnej chwili pani Zosia powiedziała:

– Teraz policzę od pięciu do zera. Na „zero” wrócisz do stanu świadomości. Jeden...

Nie chciałam wracać. Wędrówka była męcząca, ale ciekawa. Gdy usłyszałam „zero”, zrobiło mi się przykro, byłam zła na panią Zosię, że to przerwała. Chciałam „płynąć” dalej.

– Jak się czujesz? – padło pierwsze pytanie.

– Jestem zmęczona – odpowiedziałam. – Jestem bardzo zmęczona, mam ochotę iść spać.

Tak też zrobiłam. Następnego dnia i przez kilka kolejnych dni czułam się znakomicie wypoczęta i zrelaksowana, ale zarazem towarzyszyła mi tęsknota za tym przeżyciem. Chciałam je powtórzyć. Ponadto twarz mężczyzny, którą ujrzałam podczas wizji, tego jasnowłosego z niebieskimi oczami, pojawiała się również w moich snach. Kim on jest? Był? Dlaczego wciąż go wspominam?

20 grudnia, czwartek

*Wesołych świąt Bożego Narodzenia!*

Dziś podyżurowałam chwilę, przede wszystkim dlatego, że największe zapotrzebowanie na usługi wrózek jest właśnie w dni wolne, święta. Wtedy ludzie telefonują, piszą maile, SMS-y, wchodzą na czat. Poza tym nie przepadam za świętami. Chętnie uciekam w obowiązki. Moja babcia uwielbiała każde święta, lubiła rytuały: pastowanie podłóg, pieczenie ciast, opowieści przy choince. Co roku od samego rana powtarzała mojemu dziadkowi: „Kochany, przygotuj się do froterki!” – i co roku dziadek się wściekał, ponieważ przygotowanie się do froterki oznaczało tylko założenie flanelowych papuci na nogi i rozpoczęcie gimnastyki w postaci suwania stopami po podłodze. Żadna filozofia. Mojego ojca także zawsze to irytowało. Dlatego nasz dom jest cały wymoszczony wykładziną. Teraz moim rytuałem jest praca. Dużo pracy. Jak najmniej świętowania. Wbrew pozorom ludzie nie pytają przede wszystkim o to, jaki będzie dla nich nadchodzący rok. Nie, takie pytania pojawią się w sylwestrowy wieczór, noworoczne popołudnie i w pierwszych dniach stycznia. Teraz najczęściej sprawdzam, z kim



naprawdę mąż spędza święta: z teściami czy z kochanką? Czy szwagierka rzeczywiście jest w ciąży, czy tylko brzuch jej wzduło od przejedzenia? Kto ukradł złoty pierścionek, który leżał na szafce w pokoju – zaproszona na Wigilię sąsiadka czy bratowa? Czy uda się przekonać ukochanego, żeby nie pojechał na sylwestra ze swoją żoną? Czy spadnie śnieg? Czy Stasiowi urwie rękę, gdy będzie odpalał fajerwerki?

Zabawne, bo niektórzy klienci pytają mnie przez telefon, jaka karta się pojawiła. Mówię wtedy, na przykład: „karta Świat lub As trefl”. „Aha” – odpowiada klient. Czyli wie już wszystko. Wtedy milknę na chwilę. Zwykle po kilkunastu sekundach pada pytanie:

– Co? Umarła tam pani?

– Nie – mówię spokojnie. – Ale skoro pyta pan, co wyłożyłam na stół, to uznałam, że ta informacja panu wystarczy.

Wtedy czasem jestem posądzana o impertynencję. Niektórzy klienci boją się kart tarota ze względu na ich specyficzną symbolikę. Tylko jaką mają gwarancję, że ja istotnie odłożę grzecznie na bok niechciane karty i wezmę inne, skoro pytający mnie nie widzą? A jeśli, żyjąc w przekonaniu, że z szatańskim tarotem nie mają nic wspólnego, bo wróżka używa wyłącznie bezpiecznych kart klasycznych lub innych, nie doświadczają niczego niepokojącego, to skąd przekonanie, że wróżenie z tarota szkodzi? Jeśli ktoś decyduje się na jakąś formę „przewidywania” przyszłości, to czy to nie jest naiwność i hipokryzja wierzyć, że z użyciem „innych” kart może być mniej niedobrze? Zabawne, że zabobon w postaci wróżenia z kart, fusów, wahadełek i innych rzeczy przynosi w tym cywilizowanym, nowoczesnym i bardzo świadomym sobie świecie całkiem spory dochód. Ktoś w końcu za to płaci...

Na szczęście pojawiło się bardzo dużo wiadomości od osób, które zechciały zapłacić tylko po to, żeby złożyć mi życzenia lub podziękować za wróżbę, która się sprawdziła.

21 grudnia, piątek

Moja sąsiadka Roksana przeszła dziś samą siebie. Miotła się od rana niczym piorun kulisty, warcząc na wszystkich bez wyjątku. Przyczyna – pralka. Zepsuta pralka. Urządzenie tak integralnie związane z okresem świąt Bożego Narodzenia, że konieczność oddania go do naprawy właśnie w tym czasie omal nie skutkowałą odwołaniem całego święta. Pralka, a raczej jej chwilowy brak, zdominowała wszystko do tego stopnia, że Roksana prawie zmusiła montera do wykonania naprawy od razu, od ręki, natychmiast. Ponieważ naprawa wymagała przewiezienia sprzętu do serwisu, dziś Roksana oczekiwała w napięciu pralki, niczym najbardziej wypatrywanego gościa. Tymczasem godziny mijały, a pralki wciąż nie było. Była tak zdenerwowana, że co i raz przybiegała do mnie lub do ojca, bo a nuż przywieźli tę przekłętą pralkę do nas, nie do niej. Wreszcie, gdy

już się porządnie ściemniło, przed dom podjechał samochód dostawczy. Roksana prawie wypadła przez okno. W kapciach zbiegła na dół, dotruchtała do samochodu, spojrzała do środka i zamarła. W środku nie było pralki. Znajdowała się tam piękna rozłożysta sosna. Roksana obeszła samochód dookoła, podejrzliwie sprawdzając każdy zakamarek. Kierowca samochodu przyglądał się tym zabiegom ze zdziwieniem, wreszcie przystąpił do wyciągania drzewka. Roksana powstrzymała go niecierpliwym ruchem ręki.

– Jak to? Nie chce pani tej choinki? – spytał mocno zdziwiony kierowca.

– Nie! Ja chcę pralkę! – odpowiedziała zdecydowanym tonem Roksana.

– Jak to pralkę? Pod choinkę?

– Pod jaką choinkę?! Na co mi jakaś choinka?! Ja chcę pralkę i już! – nie ustępowała moja sąsiadka.

Mężczyzna przesunął czapkę na głowie, przyjrzał się sośnie i wzruszył ramionami.

– To co mam z tym zrobić? Ja nie mam pralki, tylko choinkę – powiedział.

– Nie chcę żadnej choinki! Interesuje mnie wyłącznie pralka! – odparła stanowczo Roksana i wróciła do domu.

Facet postął przez chwilę, zapakował drzewko z powrotem do samochodu i odjechał. Gdy mój ojciec dowiedział się, co zaszło, złapał się za głowę. Okazało się, że zakupił choinkę, ale nie dysponował transportem. Teraz towar mu dostarczono do domu, ale przez Roksanę choinkę diabli wzięli! Gdy godzinę później pod dom podjechał samochód dostawczy, wszyscy troje zeszliśmy na dół.

– No, dawaj pan tę choinkę! – powiedział mój ojciec i podszedł bliżej bagażnika.

Kierowca zatrzymał się niepewnie.

– Ale ja nie mam choinki... – zaczął. – Ja mam pralkę...

22 grudnia, sobota

Każdy z nas przynajmniej raz tego doświadczył: ludzie bijący się o ostatni pęczek pietruszki w supermarkecie, kolejka do stoiska z bombkami, chociaż dwa metry dalej znajduje się identyczne stoisko, obłęd w oczach kupujących, którzy koniecznie, ale to koniecznie muszą właśnie w tym dniu nabyć patelnię z mosiężną rączką i paczkę serwetek w gwiazdki. Nie mogę znieść wszechobecnych migających światełek, dzwoneczków, które wydają z siebie dźwięk świdrujący pod czaszką, tych namolnych hostess, które zawsze chcą mi w czymś pomóc. Nie wytrzymałam, przyznaję się, i gdy jedna taka wymalowana lala z przyklejonym uśmiechem na twarzy po raz trzeci w ciągu paru minut podeszła do mnie i zapytała, czy może mi w czymś pomóc, wręczyłam jej torbę z zakupami i powiedziałam:

– Owszem, proszę to potrzymać, bo ręce mnie bołą.

Także to wciskanie klientom zupełnie niepotrzebnych usług i rzeczy na pocztę. Nie potrzebuję potwierdzenia na maila i telefon, że kupiłam znaczek,

nie chcę kalendarza ściennego, stojącego, świecącego, z odrywanymi kartkami i bez kartek, nie skorzystam z promocji na zakup 500 sztuk kopert ani nie wyślę paczki gabarytowej, bo teraz jest taniej o 15 procent. Przyszłam na pocztę w konkretnym celu i nie lubię, gdy ktoś mi wmawia, na co jeszcze powinnam wydać pieniądze. Znów mnie poniosło i gdy pani w okienku zachęcała mnie do nabycia zestawu dziesięciu kartek grających (każda kartka z inną kolędą!), odpowiedziałam słodko:

– Nie, dziękuję za kartki, ale jeśli dysponuje pani kiszoną kapustą, to chętnie nabędę!

Boże Narodzenie

Tym razem to my pojechaliśmy na wieś, do rodziny mamy. Rzadko się z nimi widzimy, tylko od wielkiego święta. Moja druga babcia ma zaniki pamięci i nie może sama podróżować. Ojciec niechętnie po nią jeździ i w ogóle z tą częścią rodziny niezbyt chętnie utrzymuje kontakt. Uważa, że to zgraja nieodpowiedzialnych wariatów. Jak zwykle pojawiło się dużo więcej osób niż przewidywano i jak zwykle nie mogliśmy się pomieścić w skromnym mieszkanku babci. Rozpoczęło się więc przenoszenie wszystkich wiktuałów do ciotki, która mieszka niedaleko.

Nie rozumiem, dlaczego co roku ćwiczymy to samo. Przecież nas przybywa, nie ubywa, zaś mieszkanie babci nie chce się samo powiększyć. To jest chyba nasz rodzinny rytuał. Jak co roku, liczymy się w nieskończoność, bo trzeba rozłożyć nakrycia. Zawsze jest za mało. Za to kartofli ugotowanych do obiadu za dużo, choć liczy się po dwie sztuki na głowę. Obiad gotuje się od rana, ale i tak wszyscy siedzimy i czekamy, czekamy, i czekamy. Potem zawsze ktoś wstaje, żeby zobaczyć, co tak długo, i już nie wraca. Gdy obiad pojawia się na stole, połowa rodziny jest zajęta szukaniem tego zaginionego. Kiedy przy stole nie ma już prawie nikogo, poszukiwany nagle pojawia się i ma pretensję do wszystkich, że znów trzeba czekać z rozpoczęciem jedzenia. Zupa i kartofle zdążyły już wystygnąć, więc wszystko wraca do kuchni celem podgrzania. Rodzina siedzi przy stole i czeka. Po pewnym czasie z czyichś ust pada pytanie: „Kto pilnuje podgrzewającego się obiadu?”. Rozpoczyna się dyskusja na temat równouprawnienia kobiet i mężczyzn w rozumieniu równego dostępu do obowiązków. Gdy z kuchni dochodzi swąd, podrywają się wszyscy. Potem, tradycyjnie, jemy przypalone ziemniaki i resztki zupy, które się ostały.

Wtedy babcia przypomina sobie, że u niej w domu został cały gar rosółu. Typujemy jednego z mężczyzn, który ma ów gar przynieść. Gdy wytypowany już dawno poszedł, babcia zaczyna się martwić, że gar jest bardzo ciężki, bo dużo jej się tego rosółu nagotowało i że on sam jeden, biedaczek, tego nie przytarga, chyba że będzie ciągnął sagan na pogrzebaczku. Wtedy wstają pozostali, ubierają się i wychodzą. Chwilę później pojawia się wysłannik z rosółem i uparcie twierdzi, że

nikogo znajomego po drodze nie spotkał. Rosół ląduje na kuchni, zaś cała rodzina rusza na poszukiwania. Ponieważ wychodzą wszyscy, ekipa pomocników wysłana wcześniej staje pod zamkniętymi drzwiami i zachodzi w głowę, co mogło się stać. Gdy pozostali wracają, widzą, że z rosółu pozostały tylko resztki na dnie. Pewnie dlatego babcia co roku gotuje tyle zupy. Jeszcze nigdy nikomu z naszej rodziny nie udało się przytyć podczas świąt. To jakiś mit z tym tyciem...

31 grudnia, poniedziałek

Koniec roku nastraja wiele osób do poczynienia noworocznych postanowień, a przedtem do rozważań nad jakością własnego życia. Zagłębiają się wówczas w horoskopy, szukają przepowiedni i... wróżek lub wróżbitów. Masowo zadawane są wówczas pytania w rodzaju: co mnie czeka w nadchodzącym roku, jaki ten rok będzie dla mnie, czy zmieni się moje życie? W gazetach roi się od mniej lub bardziej ogólnych wróżb, zależnie od nastrojów społecznych, w jednym roku bardziej optymistycznych, w innym mniej.

No cóż, ja także przygotowałam horoskop, w nadziei, że za rok ktoś napisze mi lub powie, czy się sprawdziło... Ale moje refleksje są trochę inne. Otóż zastanawiam się, skąd bierze się w nas przekonanie, że z ostatnim dniem roku wszystko kończy się, jak nożem uciął, skoro nawet znaki zodiaku nie obejmują miesiąca od pierwszego do ostatniego dnia? Rok osobisty każdego z nas liczy się od dnia urodzin do dnia poprzedzającego urodziny w roku następnym, chiński rok też nie zaczyna się 1 stycznia, itd. Wreszcie zaobserwowałam, że sam koniec roku i początek następnego wyzwała w ludziach postawę pełną roszczeń i pretensji wobec wróżek, a dotyczy to zwłaszcza kobiet. Żądają one więcej konkretów, więcej, więcej, więcej, jaki będzie styczeń, jaki luty, jaki marzec, co zrobi jej mąż w piątek, a co w poniedziałek, co pomyśli w czwartek, czy dziecko będzie szczęśliwe na wiosnę, czy latem uda się wyjechać na wakacje, czy jesienią trzeba będzie kupić nowy płaszcz, czy zima zapowiada się śnieżna, czy teściowa znowu zrobi za dużo pierogów na Boże Narodzenie... Oczywiście wszystko za tę samą cenę, a najchętniej za pół ceny, bo powinnam zrozumieć, że początek karnawału to wydatki. Mało tego, kobiety, niestety, oczekują wyłącznie dobrych informacji. Pojęcie „dobra informacja” jest względne, więc dla jednej ta „dobra” to dowiedzieć się, że mąż chciał ją zdradzić, ale tego nie zrobił, a dla drugiej, że zdradził, zdradza i będzie zdradzał. Wtedy od razu pada lawina pytań: czy młodsza, ładniejsza, zgrabniejsza, a może to znajoma, czy los ją za to ukarze, czy on będzie tego żałował (obowiązkowo trzeba wtedy odpowiedzieć, że tak), czy przyjdzie na kolanach błagać o przebaczenie i czy gdy ona, żona, odejdzie od niego (o to, czy odejdzie, też pada pytanie), to do końca swoich dni będzie rozpamiętywał ten nieroztropny krok, zamknie się w głuszy, zostanie pustelnikiem, może popełni samobójstwo z rozpaczy?

Na koniec pytanie koronne: czy spotkam jeszcze w życiu prawdziwą

miłość?

Zdarzają się klientki, które te wszystkie pytania zadają ciurkiem i po dwóch sekundach oczekiwania ponaglają dużym pytajnikiem. Przykro mi, ale nie umiem odpowiedzieć na pytanie „Czy mój mąż/żona wreszcie da mi szczęście” inaczej jak tylko tak: o szczęście w związku muszą zabiegać dwie osoby, nie jedna. Ktoś, kto zadaje takie pytanie, nie może czuć się bardziej uprzywilejowany ani stać na pozycji wymagającego. Rozmowa z tego rodzaju osobą należy zwykle do mniej przyjemnych. Zawsze irytację i oskarżenie o brak konkretów wywołuje moja odpowiedź, że związek przetrwa burzę, perspektywy są dobre, bo widać uczucie i zaangażowanie przynajmniej u jednego z partnerów i że należy pracować nad komunikacją w związku. Ciekawe, że oburzają się tylko kobiety... Na koniec standard: gdy czytam lub słyszę, że ktoś zarzuca mi brak rzetelności, twierdząc, iż posiada inne informacje na ten sam temat, zawsze pytam, po co w takim razie zwraca się z pytaniami do wróżki, skoro zarówno źródło, jak i same wiadomości są pewne i sprawdzone. Nigdy jeszcze nie dostałam odpowiedzi na to pytanie.

2 stycznia, środa

Czy to zachłanność spotykać się z kilkoma mężczyznami naraz, czy też karkołomna gra? Nigdy bym nie przypuszczała, że kiedykolwiek o tym pomyślę, a tymczasem dziś to zrobiłam. Założyłam sobie zeszytik, w którym zapisuję, z kim się umawiam, kiedy, gdzie i o czym rozmawialiśmy. Staję się chyba bardzo powierzchowną materialistką, pan Przemek ma rację. Z nim jest najłatwiej, bo stale się powtarza i wypomina mi ciągle to samo, nie muszę wysilać pamięci. Ale z panem Przemkiem nie chodzę na randki, na szczęście!

Na przystawkę jest Łukasz – prawnik. Z nim spotykam się „na siedząco”, bo nie umiem chodzić na niebotycznie wysokich obcasach. Rozmawiamy godzinami. Omówiliśmy już wszystkie tematy poważne, mniej poważne, zupełnie niepoważne i prawie frywolne. Nie wiem jeszcze, jak daleko mogę się posunąć. Nie próbowałam dotychczas z nim flirtować, jakoś to nie pasuje do tego „pan” i „pani”. Danie główne to pan major wojska polskiego. Nie umiem nazywać go po imieniu, czuję przed nim respekt, poza tym stale wprawia mnie w osłupienie i to chyba do niego ciągnie mnie najbardziej. Wczoraj zatelefonował i zapytał, czy nie chciałabym zobaczyć, jak trenują antyterrorysty. Boże mój, marzyłam o tym!

Na deser jest portalowy amant. Piotruś – niemowa. Przez trzydzieści minut wypowiedział może cztery zdania, a i to dzięki kelnerowi, w przeciwnym razie pewnie żadne słowa by nie padły. Piękna twarz, piękny posągowy mężczyzna. Właściwie to człowiek-posąg. Mogłabym postawić go w rogu salonu i tylko na niego patrzeć. Przez jakieś dwie godziny, potem bym oszalała. Gdyby tak połączyć ich wszystkich w jedną osobę, to wyszedłby ideał. Wówczas musiałabym zamknąć go w sejfie, żeby świat mi go nie wydarł.

3 stycznia, czwartek

Napiszę tylko tyle: zaprosili mnie, bo chcieli wynająć do pewnego nietypowego zadania. Otóż wspólny kolega tych znajomych spotkał na balu sylwestrowym dziewczynę, która mu się spodobała. Spędzili razem noc, a rano zamiast miłego pożegnania usłyszał, że dziewczyna zamierza wprowadzić się do niego. Nie zaprotestował, uznał, że to żart, który przebrzmi za kilka godzin. Wyszedł do pracy. Gdy wrócił, dziewczyna zdążyła już przewieźć i rozpakować swoje klamoty oraz poprzestawiać co nieco w mieszkaniu. Chłopak był w szoku. Zamiast ją wyrzucić, wyprowadził się na kilka dni do przyjaciela. Dziewczyna nie zasypiała gruszek w popiele. Gdy przyjechali jego rodzice, oznajmiła, że zamierzają się pobrać. Tak mocno osaczyła chłopaka, że ten zaczął nocować w pracy. Zamknął się w sobie, unikał przyjaciół i znajomych, wieść o zaborczej narzeczonej szybko bowiem rozeszła się w środowisku. Jedni mu współczuli, inni się z niego wyśmiewali. Gdy nadarzyła się okazja, by wyjechać na darmowy staż do Londynu, zgłosił się pierwszy. Wsiadł w samolot i poleciał. I tu zaczyna się kłopot i zmartwienie, bo ów chłopak zerwał kontakt z najbliższymi. To, że żyje, potwierdza firma, dla której pracuje, ale jak żyje, tego nikt nie wie: Jego rodzina pojechała do Londynu, i gdy stawili się pod wskazany adres, chłopak im nie otworzył. Nie odpowiada na maile, nie odbiera telefonów, nie odpisuje na SMS-y. Najpierw oczywiście sprawdzali, czy żyje, dlaczego się nie odzywa i tak dalej. Karty odpowiedziały w pewnej chwili, że ten człowiek mocno się zablokował, stał się nieufny i tylko bardzo, ale to bardzo nietuzinkowa historia mogłaby to zmienić. Klienci natychmiast popatrzyli na mnie.

– Nie wiem, o jaką historię chodzi – ubiegłam ich pytanie.

– To niech pani zapyta! W końcu jest pani wróżką! – zachnął się jeden z nich.

Zapytałam. Karty odpowiedziały: list.

– Nic z tego nie rozumiem – zniecierpliwił się ten, co się najpierw zachnął.

– Coś pani kręci. Co to za wróżka, która nie umie odpowiedzieć na najprostsze pytanie!

Jestem profesjonalistką, rozłożyłam więc karty raz jeszcze i pochyliłam się nad nimi w skupieniu. Klienci pochylili się również i stuknęliśmy się głowami nad stołem.

– Trzeba napisać list, treść powinna być zabawna, lekka, zawierać coś, co go zainteresuje i zaintryguje. Przykuje jego uwagę. Trzeba to zrobić w taki sposób, żeby on zechciał poznać autorkę listu, by poczuł potrzebę wyjścia do ludzi, do kobiet w szczególności. To powinna napisać kobieta.

Podjęłam się tego zadania. Dziś rano napisałam pierwszy list. Nie miałam specjalnego pomysłu na treść, ot, po prostu wesoła historia, żeby jakoś zacząć i wywiązać się z zadania. Mam teraz cały miesiąc na wymyślenie następnej. Wysłałam poleconym za potwierdzeniem odbioru. Karty twierdzą, że on go

przeczyta, ale odpowiedzi nie mogę się spodziewać. No cóż, oni i tak nic lepszego nie wymyślili. Zobaczymy. Listy będą wysyłane co miesiąc, dokładnie tego samego dnia, na przykład ósmego każdego miesiąca, żeby było w tym trochę magii. Osiem listów, wysyłanych ósmego.

*Witam! Mam na imię Emilia, choć to i tak bez znaczenia, bo nie znamy się przecież. Nigdy się nie spotkaliśmy, nie rozmawialiśmy, nie wiesz, jak wyglądam ani kim jestem. Ja o Tobie wiem sporo. Wiem, że jesteś wysoki, masz niebieskie oczy i nosisz okulary. Wiem, że lubisz hokej i risotto z kurkami. Wiem również, że najprawdopodobniej nigdy nie odpowiesz na żaden mój list. Po co więc piszę? Bo wiem, że przeczytasz. A to już dużo. Opowiem Ci osiem moich historii. Każda z nich będzie inna. Dlaczego to robię? Może dlatego, że dziś nikt już nie czyta listów napisanych odręcznie, bo nikt ich nie pisze. Nikt nie chciałby czekać kilka tygodni na odpowiedź i zastanawiać się, czy adresat w ogóle odpisze, czy nie. Będę mogła wyobrazić sobie, że moje historie Cię ciekawią i wypatrujesz listonosza z przesyłką. Przecież Twoje milczenie nie musi oznaczać dezaprobaty dla treści. Może po prostu wolisz słuchać, niż mówić i czytać, niż pisać.*

*Oto pierwsza z moich historii. Pewnego dnia była sobie kobieta. Mieszkała samotnie, jej ukochanym towarzyszem była papuga. Piękny kolorowy ptaszek, który niemiłosiernie skrzeczał co rano. Sąsiedzi skarżyli się na tę wątpliwą atrakcję, ale kobieta przepadała za swoim ptaszkiem. Przez wiele miesięcy przycinała mu lotki, żeby nie mógł latać. Nosila go na ramieniu, a gdy nie było jej w domu, ptaszek dreptał sobie po podłodze. Przyzwyczaił się do otwartych okien i drzwi. Jednak pewnej wiosny kobieta zapomniała sprawdzić długość lotek. Jak zwykle otworzyła balkon, usiadła w fotelu i zagłębiła się w lekturze. Papużka zasypiała na oparciu fotela. Wtem rozległ się klakson, który tak przestraszył ptaszka, że ten w popłochu zeskoczył z poręczy fotela wprost w przepaść ziejącą pod balkonem. Kobieta krzyknęła przeraźliwie, ptak pikował w dół. W ostatniej chwili zrobił to, co podpowiedział mu instynkt – rozłożył skrzydła. Poszybował przed siebie. Wkrótce zniknął za murem następnego budynku. Kobieta rzuciła się w pogoń. Rzecz jasna, nie przez balkon, bo było to trzecie piętro, ale schodami. Rozglądała się bezradnie, wołała, wszystko na nic. Zrozpaczona wróciła do domu.*

*Przez kolejne dwa dni przemierzała okolicę w poszukiwaniu swojego przyjaciela, pytała sąsiadów, bezskutecznie. Zapowiadano burzę. Od rana zbierały się chmury, kobieta powoli godziła się ze stratą. Ciężkie powietrze wywołało u niej zmęczenie i senność. Położyła się i zasnęła. Przyśniła jej się papużka, zamknięta w ciasnej klatce, smutna i bliska śmierci. Kobieta obudziła się, wstała i poszła do kuchni. Wyjęła mąkę, jajka, tłuszcz i upiekła cały talerz ciasteczek. Ułożyła je w koszyczku i wyszła na dwór. Pociemniało, duszne i parne powietrze stało w miejscu. Kobieta wiedziona tajemniczym głosem, który szeptał jej do ucha, podeszła do jednego z budynków i zaczęła nucić piosenkę. Większość okien była*

*otwarta z powodu wyjątkowej, przedburzowej duchoty. Tylko jedno okno pozostało zamknięte. Kobieta podeszła pod to właśnie okno i zaśpiewała głośniej. Ludzie wychodzili na balkony, wystawiali głowy, zaskoczeni koncertem o tak niezwyklej porze. A ona śpiewała dalej, nie zważając na nic. Nawet gdy pierwsze krople deszczu zrosiły jej twarz, wciąż śpiewała. I nagle rozległ się papuzi krzyk. Ten nieznośny i przenikliwy wrzask, który tak dobrze знаła. Ktoś z sąsiedniego okna podał numer mieszkania. Pobiegnęła tam. Długo jej nie otwierali, ale dobijała się niestrudzenie. Gdy wreszcie drzwi otworzyły się, wiedziała już, że znalazła swojego przyjaciela. Został złapany i zamknięty w klatce po kanarku, który niedawno zdechł. Kobieta weszła do środka, choć nikt jej nie zapraszał, i podała domownikom kosz z ciasteczkami. Gdy, zaskoczeni, zaczęli próbować, szybko uwolniła ptaszka i wybiegła z mieszkania. Od tamtej pory upłynęło już dużo czasu. Kobieta nigdy już nie przycięła papudze lotek, a papuga nigdy więcej nie zbliżyła się do otwartego okna.*

*Pozdrawiam. E.*

5 stycznia, sobota

Łukasz to fantastyczny facet. Rozmawiamy godzinami, choć częściej to ja słucham, gdy on mówi. Przywykłam już, że wszystko, co go dotyczy, musi być duże. Przygotowuję dla niego kawę w dużej filiżance oraz duży kawałek ciasta. Łukasz przeznacz na te spotkania dużo czasu, mówi dużo, z dużą ilością szczegółów. Gdy wczoraj odwiedziłam jego biuro, wcale nie byłam zaskoczona, że to przestronny loft z dużymi oknami. Łukasz pracuje, siedząc przy ogromnym biurku, na którym znajduje się ogromna popielniczka. Gdy zaistniała konieczność połączenia pliku dokumentów, Łukasz wyjął z przepastnej szafy olbrzymi zszywacz, przed tym podziurkował papier gigantycznym dziurkaczem, na koniec schował wszystko do teki – artyści noszą w takich wielkich prostokątach swoje prace. Mimo to polubiłam go bardzo – jest ciepły i serdeczny w obyciu. Mój pies go uwielbia, potrafi całymi godzinami wpatrywać się w niego, Bolek też nieco się już oswoił i tylko czasem stroszy się na jego widok. Wciąż korzystamy z formy „pan” i „pani”, bo tak jakoś bardziej pasuje. Łukasz jest zawsze schludnie ubrany w elegancką koszulę i krawat, pyta, czy może sobie pozwolić na nonszalancję w postaci zdjęcia marynarki. Traktuje mnie jak damę pierwszej wody, obawiam się tylko, że lata świetlne zajmie nam przejście z poziomu miłej znajomości do zbliżenia w postaci dotknięcia się koniuszkami palców. Zaczynam dostrzegać w sobie ogromną wadę: nie umiem być bezpośrednia, żeby nie powiedzieć obcesowa wobec niego. Nie potrafię wziąć krawata w swoje ręce! No i jestem podła, bo wciąż umawiam się z innymi!

6 stycznia, niedziela

Kandydat z portalu randkowego, Michał. Spotkałam się z nim w sobotę



o ósmej rano. Idiotyczna godzina, ale cała ta znajomość i tak od początku wydawała się nieszablonowa. Rozmawialiśmy może godzinę, a ja już wiedziałam, że zależy mi na nim. Nie umiem nazwać ani opisać tego, co się wydarzyło. Właściwie nic konkretnego, a ja wiem, że z tych wszystkich randkowych przygód ta właśnie interesuje mnie najbardziej. Kiwnie palcem i już jestem. Nie znam go prawie wcale i nawet nie chcę poznać, czuję do niego prawdziwie zwierzęcy pociąg. Nigdy tak się nie czułam. Zachowuję dystans, ale podczas spotkania mam ochotę rzucić mu się do gardła. Cudowny wprost brunet niebieskooki. Wystarczy. Michał spodobał mi się od pierwszego wejrzenia. Celowo nie piszę o miłości, bo przecież w pewnym wieku... Gdy zobaczyłam go na pierwszej randce, to pierwsze, co sobie o nim pomyślałam, to że ma piękne dłonie i że chciałabym, aby mnie te dłonie dotykały. Nasze pierwsze spotkanie stanowiło zachętę do kolejnych. Było miło, trochę niepewnie, ale bardzo erotycznie. Wiedziałam, że ja również zrobiłam na nim wrażenie, więc irytująca była dla mnie myśl, że nie wypada rzucać się człowiekowi na szyję tak od razu.

Druga randka została przeze mnie starannie obmyślana. Zasugerowałam klub, w którym tańczy się przy muzyce latynoamerykańskiej – to powinno rozgrzać nasze zmysły, potem lekka kolacja i... I tu pojawia się inicjatywa Michała, na którą ja się zgadzam, prezentując lekki opór, który on łagodnie, acz stanowczo łamie. Ciekawe, co powiedziałby na to ojciec, gdyby teraz mnie widział. Przecież w jego przekonaniu nawet nie całowałam się jeszcze z chłopakiem! Pierwszy problem, nad którym rozmyślałam pół dnia, to które buty założyć. W beżowych wspaniale mi się tańczy, są wygodne, ale to sandaalki, więc ze względu na pogodę odpadają. Nie będę szła przecież z butami w worku na zmianę, jak w szkole. Ciepłej mi będzie w tych czarnych botkach, ale one mają zbyt twardą podeszwę, nadają się do krakowiaka, nie do salsy. Czarne kozaki odpadają w ogóle, choć są najwygodniejsze. Może czerwone szpilki? Nie mam odpowiedniej sukienki do tych szpilek. Ta, którą kupiłam, jest za wąska do tańca. To może włożyć spodnie? Tylko które? Czarne są zbyt eleganckie, brązowe nie pasują do czerwonych szpilek, granatowe są za sztywne... No i coś na górę... Może golf? Nie, zgrzeję się. A ta biała bluzka z dekoltem? Do czerwonych szpilek?...

W końcu włożyłam beżową sukienkę z suwakiem przez całą długość, czerwone szpilki i poszłam. Akurat tego wieczoru klub był zamknięty. Postaliśmy z Michałem przez chwilę na chodniku, zastanawiając się, czy iść do restauracji na kolację, na którą żadne z nas nie miało jeszcze ochoty, szukać innego klubu czy pójść do niego. Oczywiście, poszliśmy do niego. W duchu cieszyłam się z takiego obrotu sprawy. Ojcu powiedziałam, że spędzę wieczór u Roksany. Mam nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy mnie sprawdzać. Liczę również na sąsiadkę, że w razie czego jakoś mnie wytłumaczy.

Mieszkanie Michała jest dość przytulne jak na mieszkanie samotnego

mężczyzny. Naprędce przygotował coś miniaturowego do zjedzenia, podczas gdy ja zastanawiałam się, jaką pozę przyjąć, aby było jak najbardziej romantycznie i zachęcająco. Usiadłam więc w dmuchanym fotelu. Fotel dmuchany w przeciwieństwie do standardowego jest mniej stabilny, więc gdy Michał stanął w drzwiach z talerzem kanapeczek w ręce, ja właśnie tkwiłam w pozycji na czworakach, zwrócona do niego tyłem.

– Tak jest ci wygodnie? – zapytał Michał.

Czym prędzej wygramoliłam się z klęczek i upadłam z wdziękiem na fotel, z którego wystrzelił korek, po czym powietrze uszło w towarzystwie bardzo charakterystycznego odgłosu. Już bardziej nie mogłam się skompromitować, pomyślałam z rozpaczą i wykonałam potężny zamach do przodu całą sobą, żeby wstać z upiornego fotela. W tej samej chwili Michał pochylił się nad stoliczkiem, który znajdował się między nami, aby postawić na nim talerz. Stuknęliśmy się głowami, aż echo poszło. Ja nabiłam sobie guza jak pięść, Michałowi połała się krew z nosa. Kanapki szlag trafił, a kolejne pół godziny spędziliśmy na szarpaniu się w jego łazience. Starłam się mu pomóc, wskutek czego zrzuciłam mu na głowę szafkę ścienną wraz z zawartością oraz prawie udało mi się wyrwać kran z umywalki. Na koniec podduśłam Michała jego własnym ręcznikiem. Taki przebieg miała randka z Michałem, z którym byłam już gotowa iść na całość. Wciąż jestem, ale trochę boję się, że on tego nie przeżyje. Umówiliśmy się na wtorek, najpierw kino, potem jego znajomi urządzają imieniny, więc mogłabym mu potowarzyszyć. Wprawdzie oczekiwałam, że po kinie powtórzymy szturm na jego mieszkanie, ale może jego nos wymaga dłuższej rekonwalescencji. No cóż, zobaczymy...

10 stycznia, czwartek

W czwartek napiszę o wtorku. Zastanawiałam się nad sobą przez dwa dni i jednak nie doszłam do innych wniosków. Ze mną stanowczo jest coś nie tak. We wtorek Michał i ja pojechaliśmy do kina. Seans w południe, oczywiście, ambitne kino albańskie. Byliśmy jedynymi widzami w sali, ale i tak przezornie zażądałam wykupienia miejsc w ostatnim rzędzie. Film nosił tytuł *Dzwon*. Usiedliśmy obok siebie. Michał wziął mnie za rękę, czyli zaczęło się bardzo dobrze. Czołówka filmu przedstawiała kołyszący się olbrzymi dzwon. Od razu skojarzyło mi się to z Łukaszem. Film bez dźwięku, ani jednej nutki. Siedzieliśmy bez ruchu, bo muchę było słychać, a ten dzwon tak się kołysał.

– Może się dalej rozkręci... – przerwał ciszę Michał.

– Nie jestem pewna. To bardzo ambitny film – odpowiedziałam cicho.

Na szczęście po kilkunastu minutach pojawiła się smutna muzyka i bohaterowie. Film był czarno-biały, na sali zrobił się przyjemny nastrój. Michał gładził mnie po ręce, przenosząc dłoń powoli coraz wyżej. Gdy doszedł do przedramienia, główna bohaterka filmu zaczęła się histerycznie śmiać. Akurat

moment sobie wybrała!

Gdy się to uspokoiło, położyłam głowę na ramieniu Michała. Znów zrobiło się miło, bo jego ręka zaczęła wędrówkę w bardziej zdecydowanym tempie. Wtedy, jak na złość, na ekranie coś zaczęło się dziać. Fabuła nas wciągnęła. Zwolnienie akcji na ekranie przekładaliśmy na naszą akcję, która nie posunęła się dalej niż do pocałunków. Wreszcie oboje siedzieliśmy z szeroko otwartymi buziami, gapiąc się w ekran. I taka to była grzeczna randka. A później u znajomych Michała rozmawialiśmy tylko o tym przekłętym filmie. Muszę kupić sobie jakiś poradnik, albo co...

11 stycznia, piątek

Wczoraj odebrałam cztery telefony. W gruncie rzeczy mogłabym siedzieć, patrzeć w sufit i odpowiadać. Jeśli pytania są rozsądne. Bo jak można pytać o to, czy się jest naładowanym pozytywną energią? Albo czy opętał kogoś diabeł, skoro ten ktoś stale krzyczy i jest agresywny? Zadzwoiła również pani, która zapytała, jak powiedzieć mężowi, że jest w ciąży, ale nie on jest ojcem. Potem jeszcze rozmowa z młodym mężczyzną, który jest nieszczęśliwy, bo nie kochał się jeszcze z dziewczyną. Karty mają mu coś doradzić? Kurczę, to jest chyba telefon zaufania, a nie wróżenie przez telefon! Jakie rozkłady są najlepsze? Zapytała mnie o to jedna z klientek. Nie mam na to jednoznacznej odpowiedzi. To zależy. Ogólnie mówiąc, karty pozytywne to w tarocie Kielichy i Denary, zaś w kartach klasycznych to kiery i karo. Karty negatywne to w tarocie Pałeczki i Miecze, zaś w kartach klasycznych – trefle i piki. Ale jak to w życiu, karty informują o smutkach i przeszkodach, co wcale nie musi być złą informacją, i o stabilizacji, co może właśnie kogoś rozczarować.

Na przykład czwórka Kielichów oznacza znudzenie, rozczarowanie, zastój, przesyt. Można ją także zinterpretować jako niedostrzeżenie szansy, spoczywanie na laurach, dzięki czemu mój rozmówca może zastanowić się nad swoją sytuacją osobistą i zweryfikować podjęte wcześniej decyzje. Trefle i piki w połączeniu niosą smutki, złe wieści, rozczarowania, żal. Lecz czasem może to być rozwikłanie trudnej sytuacji, wyzwanie, więcej pracy lub obowiązków. Ważne jest także położenie karty, np. czy występuje ona w tzw. pozycji prostej czy odwróconej (czyli do góry nogami) oraz jej miejsce w rozkładzie, kolejność wyłożenia z talii. Niektóre negatywne karty w połączeniu z innymi diametralnie zmieniają znaczenie. Na przykład taki rozkład: Słońce, Sprawiedliwość, Cesarzowa, dwójka Kielichów, Król Buław, czwórka Kielichów, Mag, Rycerz Mieczy, Kochankowie, Świat.

Przeważająca obecność Wielkich Arkanów, czyli kart z numerami od 0 do 22, oznacza, że problemy są dla osoby, która pyta, bardzo ważne. Wręcz fundamentalne. Karta Słońce mówi o tym, że w przeszłości zdarzył się jasny, przyjemny okres w życiu, lecz potencjał z tego czasu nie został do końca wykorzystany. Świadczy o tym karta Sprawiedliwość, która stanowi ocenę,

podsumowanie. Cesarzowa symbolizuje w tym rozkładzie kreatywność, kobietę pewną siebie, świadomą własnych potrzeb i oczekiwań, gotową na kolejną rolę w życiu. Jej największą niespełnioną potrzebą jest miłość, o czym mówi dwójka Kielichów. Tu można domniemywać lub wprost zapytać, czy kobieta spotyka się lub czy poznała już mężczyznę, którego symbolizuje karta Króla Buław. Buławy to żywioł ognia, można go zatem scharakteryzować jako kogoś spod znaku Barana, Lwa lub Strzelca, w wieku między trzydziestką a czterdziestką, raczej o ciemnych włosach, energicznego, z temperamentem, realistę, silnego, odważnego przywódcę, który zaraża innych swoimi celami i marzeniami. Ta karta może również symbolizować ideał mężczyzny, jakiego ta kobieta poszukuje. Czwórka Kielichów może sugerować, że kobieta nie wykorzystała danej jej szansy i po spotkaniu wybranka zrezygnowała z tej znajomości, czego teraz żałuje. Karta Mag pociesza. Nic nie jest jeszcze stracone. Na świecie dzieją się cuda. Mag to nadzieja, że wszystko jeszcze może się dobrze potoczyć. Rycerz Mieczy w tym ustawieniu niesie nadzieję, odwagę, jest zwiastunem zmian, zachętą, aby spojrzeć na życie jak na grę, która się toczy. Ostatnie dwie karty, czyli Kochankowie i Świat, to tchnienie w osobę pytającą radości i dobrej energii. Obie karty są bardzo pozytywne, a karta Świat to najlepsza karta z całej talii. Cały rozkład mówi o konieczności podjęcia działań, przemyślenia własnej postawy, własnej sytuacji, zrozumienia siebie. A gdy osoba zacznie już działać, to znajdzie, czego szuka.

Karty klasyczne mówią bardziej ogólnie. Moja babcia powtarzała, że należy traktować je z szacunkiem, bo to dobrzy przyjaciele: potrafią dostarczyć rozrywki i rady za jednym zamachem. Nie wolno pytać kart o głupie czy infantylne sprawy. Pokazują więcej osób i ich zamiarów oraz intencji wobec pytającego. Osoba, która zadaje pytanie o miłość, gdy jest w rozkładzie „połączona” z partnerem kartami kier i karo, może być pewna tego uczucia. Gdy padają pytania o sytuację finansową, dobrze, gdy pojawia się dużo kart karo, ale tutaj znaczenie mają też karty z numerami. Pary lub trójki tych samych numerów mogą znaczyć coś innego niż pojedyncze karty. Na przykład trzy ósemki to dobre wieści. Gdy rozkładałam karty tarota po raz pierwszy, sprawdzałam w książce znaczenie każdej karty z osobna i gdy są ułożone razem. Teraz już po pierwszych kartach „widzę”, co będzie dalej. Umiejętność interpretowania kart to nie jest czarna magia.

14 stycznia, poniedziałek

Dziś odpowiadałam na pytania ze wszystkich dziedzin. Czy dostanę pracę, o którą się staram? Jak mi pójdzie podczas pierwszego obiadu u teściów? Czy moje dziecko poradzi sobie w szkole? Czy wygram w lotto? Czy on się jeszcze do mnie uśmiechnie? Czy ona mnie zdradza? Czy podróż przebiegnie szczęśliwie? Czy czeka mnie w życiu coś ciekawego?

Jeden z klientów zapytał mnie, czy spełni się jego marzenie i zakocha się w dziewczynie z niebieskimi oczami. A ktoś inny chciał wiedzieć, czy odważy się

podjąć decyzję o zmianie pracy.

Gdy ostatnio przeanalizowałam pytania zadawane przez klientów podczas czatów, to zastanowiło mnie, że wiele osób wcale nie pytało o swoją przyszłość, lecz o samych siebie. Kiedy jakiś czas temu ktoś rozpoczynał rozmowę od słów „Co ja na ten temat myślę, czy podejmę właściwą decyzję?” – w ogóle nie rozumiałam, o co chodzi. To ja mam komuś mówić, co on czy ona myśli? Problemem naszych czasów jest brak odwagi do podejmowania decyzji. Lęk przed konsekwencjami złych decyzji. Zero spontaniczności i brak zaufania do samych siebie. Taką wystawiam diagnozę moim klientom. Często po kilku rozmowach z takimi pytaniami w tle zastanawiałam się, czy to ja zwariowałam, czy świat zwariował. A gdy pewnego razu zatelefonowała klientka i poprosiła, abym sprawdziła w kartach, kto siedzi u niej w domu w szafie, to natychmiast umówiłam się na fachową konsultację z Jackiem, który jest psychiatrą. Pracuje w szpitalu psychiatrycznym, częściej można go spotkać tam niż w jego domu. Pojechałam zatem do Jacka do pracy.

Widok ludzi chorych zawsze wywołuje przygnębienie. Przynajmniej u mnie. Jednak widok pacjentów psychiatrika podzielał na mnie dziwnie kojąco. Przyglądałam się z zainteresowaniem ludziom w piżamach i szlafrokach, którzy szurali kapciami po korytarzu. Uderzał mnie ich spokój i absolutnie idealna bezmyślność w oczach. Uspokajałam się i ja. Może nawet przybierałam równie bezmyślny wyraz twarzy. Tamtego dnia stałam oparta o parapet, czekałam na Jacka, który jeszcze przyjmował pacjentów w gabinecie. Wiedziałam od niego, że niektórzy pacjenci chodzą w zwyczajnych ubraniach, to jest element terapii – szlafrok źle im się kojarzy. Przechadzają się po szpitalnych korytarzach i sprawiają wrażenie zupełnie zdrowych. Mówią do rzeczy. Zdradzą ich szczegóły – brak powiązania z bieżącą rzeczywistością. W pewnej chwili podeszła do mnie kobieta ubrana zwyczajnie, stanęła obok i zapatrzyła się w okno.

– Niemcy zaraz tu będą, trzeba ich wypatrywać – powiedziała nagle.

Nie zareagowałam. Ona po chwili powtórzyła:

– Niemcy się zbliżają. Nie widziała ich pani?

– Niemców już nie ma, proszę pani, proszę się nie bać – odpowiedziałam spokojnie. – Poza tym lekarz tu idzie...

– Lekarz będzie potrzebny później, jak już przyjadą! Trzeba ich wypatrywać! Tych Niemców, nie lekarzy! – zirytowała się pacjentka.

Przestraszyłam się trochę, bo ja w ogóle boję się wariatów. Nerwowo zerkałam na bok, gdzież ten Jacek się podziewa!

– Niech pani uważa na Niemców! Czy już są! – zakomenderowała kobieta i odeszła stanowczym krokiem.

Odetchnęłam. Ani chybi obłąkana, czasy okupacji jej się przypomniały. Chwileczkę, przecież ona nie mogła mieć więcej niż pięćdziesiąt lat! To jaka

okupacja?

– Jacek, słuchaj, przed chwilą była tu jedna taka w golfie i bała się Niemców! – powitałam kolegę.

Jacek popatrzył na mnie uważnie.

– Jaka w golfie?

– Taka ruda. Przez okno patrzyła, czy się Niemcy zbliżają! Przestraszyłam się, że dostanie jakiegoś ataku albo co...

Jacek wybuchnął śmiechem.

– Ruda w golfie to nasza dyrektorka administracyjna. Dziś mieli do nas przyjechać w ramach wymiany psychiatry z Berlina. Denerwowała się, bo źle podali jej godziny przyjazdu pociągu i nikt od nas nie odebrał ich z dworca. Wsiadli do taksówki i tak już chyba godzinę jeżdżą po Warszawie!

Zrelacjonowałam Jackowi moje obserwacje, wnioski i przemyślenia i zadałam sakramentalne pytanie:

– Jacuchna, kochany, powiedz mi prawdę, czy ja już zupełnie zwariowałam?

Jacek przetarł okulary, niewątpliwym znak, że zwleka z odpowiedzią, po czym westchnął.

– Chała. Jesteś zupełnie zdrowa, niestety. Prawdziwy wariat nigdy nie ma wątpliwości, że jest normalny!

No cóż, przestałam więc roztrząsać, czy zadawane mi pytania mają sens, czy nie. Nie muszę wszystkiego rozumieć.

16 stycznia, środa

Dziś klientów było niewielu, zjrzałam więc na dawno nieodwiedzany portal randkowy. Znajomość z Piotrusiem wygasła, cicho, bez jednego wypowiedzianego słowa. Z Łukaszem jest wciąż nieznośnie poprawnie, a Michał...

Sporo nowych wiadomości, słoneczek, zachepek, buziek. Nie rozumiem, dlaczego pokutuje przekonanie, że mężczyźni są pozbawieni polotu i wyobraźni. A może to tylko ja mam takie niezwykle szczęście spotykać w życiu tych najbardziej oryginalnych.

Oto Wesoly Grześ pisze: *Jestem mężczyzną poszukującym szczupłej i pięknej kobiety, która nie byłaby zmienna jak pogoda. Kocham morze, jachty, zwierzęta, spacer, jazdę na rowerze, także i tę bez trzymanki, wschody i zachody słońca, deszcz, burzę z piorunami, śpiew ptaków, zapach kwiatów, ziół i kobiety, szum morza i wiatru oraz odgłosy palącego się drewna w kominku. Odezwij się, proszę...*

Z kolei Matteo14: *Wolny czas spędzam na marzeniach. Moje marzenia są pełne pięknych kobiet. W moich marzeniach jest gorąco i wieje wiatr. Potrafię wywołać wiatr, a czasem nawet burzę. Burzę pomiędzy Twoimi udami. Potrafię czekać, czekać, całując Cię... Potrafię cieszyć się Twoją rozkoszą.*

Dalej Mały Miki: *Nie, niczego nie oczekuję, nie wymagam, nie*

żadam. Czasem tylko sobie marzę... Żebyś ubrała się dla mnie w białą sukienkę, ale proszę, nie zakładaj nic więcej. Może tylko jeszcze pantofelki... Może tak być, że nie czujesz się dobrze w białych sukienkach. A jak się czujesz w pończoszkach? Takich wieszaczkami podpiętych do koronkowego pasa? Pani piersi wcale nie muszą być duże... Pani talia... Choć gdyby Pani piersi były jak grejpfruty, Pani tyłeczek jak dwa melony, brzuszek... no właśnie, jak co? O! Gdyby Pani była dżdżownicą, która połknęła te owoce, a one poustawiały się na właściwych miejscach... Tak, mam pewną wizję kobiety. Jeśli chodzi o powierzchowność, to wzbudzają we mnie pożądanie kobiety drobne, filigranowe. Zauważyłem, że unikam tych posągowych. Jakoś tak to działa, że unikam tych powyżej 170 cm wzrostu i pięćdziesięciu paru kilogramów wagi. Nawet tych zgrabnie ukształtowanych, z wklęsłym brzuchem i wyraźną talią. Na przykład, nie umiałbym pójść do łóżka z Justyną Kowalczyk, choć ma przecież ładną buzię i wysportowaną sylwetkę. Z drugiej strony, przecinały moją drogę kuliste bąbelki... Czy Pani składa się z kulistych bąbelków?

Albo Facet z Jajami: Hej, jestem facetem z pozamykaną przeszłością. Jedno dziecko już dorosłe, drugie – za kilka lat. Nie oglądam TV. Lubię i cenię rozmowę. Rozmawiam na tematy, na które mam coś do powiedzenia, choć nie zawsze muszę mieć rację. Dlatego nie rozmawiam o obróbce skrawaniem, nowoczesnym balecie, grzybicy stóp. Boję się rozmów o polityce i religii, bo na ogół ludzie reagują dość emocjonalnie, a nie merytorycznie. Czego bezwzględnie wymagam? Inteligencji. No i urody. A reszta do uzgodnienia:).

Teraz Jacunio42: Mam wszystkie te cechy, których szukasz u mężczyzny, a nawet więcej. Ciepły, czuły, wierny, wartościowy, wykształcony, inteligentny i przedsiębiorczy mężczyzna. Taki, z którego możesz być dumna. Czasem mówią, że takich facetów dziś nie ma..., a ja jestem. Marzę o tym, aby poznać Kobietę, która stworzy mi dom – Kobietę piękną, dobrą i mądrą – nie tą mądrością, która pochodzi z książek, ale tą płynącą z życia. Nie bardzo mam czas na dziesiątki maili. Jeśli zechcesz do mnie napisać, to może coś z tego będzie.

Ale wszystkich przebił Andrzej80. Zobaczyłam, że wysłał ponad 40 wiadomości. Zwykle zaczynam czytać od najstarszej do najnowszej, tym razem wyświetliłam najpierw wiadomość, która przyszła do mnie dziś rano. Brzmiała tak: *Trudno. To Ty zdecydowałaś o zakończeniu naszego związku, a przecież wiedziałaś, że jesteś i będziesz kobietą mojego życia. Przeżyję. Żegnaj, Andrzej.*

W pierwszej chwili nie zrozumiałam, co czytam. Jak żyję, żaden Andrzej nie powiedział mi, że jestem kobietą jego życia, zapamiętałabym. Przysiadłam i cierpliwie przeczytałam wszystkie wiadomości, które ułożyły się w najbardziej romantyczną i zarazem niezwykłą historię miłosną, jaką kiedykolwiek czytałam. I najkrótszą. Mimo to opiszę ją następnym razem, bo klienci właśnie sobie o mnie przypomnieli. Dodam tylko, że przytoczone wyżej wpisy pozbawiłam tych fragmentów, które były bardziej osobiste lub mogłyby doprowadzić do rozpoznania

ich autora. Reszta to autentyczna, najprawdziwsza prawda.

No więc tak: Andrzej80 na portalu przedstawił się następująco: *Poszukuję Ciebie... kobiety niespokojnej, potrafiącej zachwycać się życiem wciąż na nowo. Samotnej, bo ciężko o kogoś na Twoim poziomie, czyj błysk w oku rozświetli wieczór taki jak ten... Ale cały czas pod korporacyjnym kostiumem drzemie apetyt na więcej i więcej. Nie chcesz chodzić na kompromisy... To świetnie, chodźmy zatem na kawę...*

*Miej 35–50 lat. Szukam kobiety, która będzie moją inspiracją i wyzwaniem, szczupłej, opalonej, długowłosej, wysokiej, kobiety seksownej. Miłośniczki teatru, dobrej literatury, filharmonii, itp. Dbającej zarówno o swą efektowną urodę, jak i harmonijnie z nią rozwijającej swe wnętrze. Z własnym spojrzeniem na świat i odrobiną dystansu do rzeczywistości wokół. Z ugruntowaną hierarchią wartości i przekonaniem o szczerości jako jedynym środkiem do nawiązania prawdziwej przyjaźni.*

Umiem czytać ze zrozumieniem, dlatego – skoro nie jestem szczupłą, opaloną, długowłosą, wysoką miłośniczką teatru i filharmonii – nie nawiązywałam kontaktu z autorem tego tekstu. Lecz on usiłował nawiązać go ze mną. Przeanalizowanie całej paczki wiadomości, które do mnie wysłał na przestrzeni zaledwie kilku dni, wywołało we mnie smutek, a nawet początki depresji. Oto miłość mojego życia przeszła niezauważona, ponieważ ja bawiłam się na weselu, na poligonie i u kogoś w domu. Więc ku przestrodze!

Poniedziałek 10.15: *Witaj, masz przyjemny profil, poznamy się?*

Poniedziałek 10.18: *Hej, mam na imię Andrzej, poznamy się?*

Poniedziałek 10.45: *Nie wiem, czy ostatnia moja wiadomość do ciebie dotarła. Mam na imię Andrzej, poznamy się?*

Poniedziałek 11.13: *Pewnie to znasz? Kilka dni temu dowiedziałem się, że ktoś powiedział coś pewnej osobie, i ta miała do mnie żal, że ja jej nie powiedziałem tego jako pierwszy. Sprawa nieistotna, ale fakt, że ja nawet nie miałem pojęcia, że coś takiego komuś powiedziałem, i nie wiedziałem, że ona ma do mnie o to żal. Wyszło przypadkiem i zrobiła się wielka heca, bo ta, która nakapowała, prosiła pewnie o dyskrecję, więc ta, która usłyszała, nie powiedziała mi, skąd wie. Nawet konfrontacji nie mogę zrobić, bo ta, która dowiedziała się o moich rzekomych plotkach, powiedziała, że nie powie, skąd wie, ale wierzy tamtej osobie!!!*

Poniedziałek 14.35: *Nie odzywasz się, bo pewnie mnie nie znasz. Typ urody raczej męski niż metroseksualny. Niektórym kobietom się podobam, innym nie. Jeśli szukasz kogoś o urodzie modela, to nie ja. Z drugiej strony... nigdy nie uważałem się za przystojnego faceta, choć ostatnio dość często zdarza mi się słyszeć taki komplement.*

Wtorek 8.15: *Dlaczego milczysz, o bogini! Tęsknię za Tobą!*



Wtorek 16.30: *Jestem fajny, ciepły. Co chcesz wiedzieć więcej o mnie? Szukam kobiety, która ma podobne podejście do życia...*

Środa 19.40: *Dlaczego mnie odrzucasz?*

Środa 22.30: *Wybaczam Ci to milczenie, ale proszę, daj znać, czy też mnie kochasz?*

Środa 23.48: *Kocham Cię... Odpisz...*

Czwartek 7.15: *O ile oficjalnie mężczyźni nie plotkują (i nie depilują sobie nóg), o tyle kobiety powoli zaczynają grać w manipulację/wkręcanie. Na pograniczu manipulacji i plotkowania jest podkopywanie autorytetu i snucie intryg. Jeśli ktoś cię kiedyś publicznie obsmarował, a ty stałeś i jak milczący uczeń znosiłeś obelgi, to wziąłeś udział w sporcie biurowym. Niestety, po stronie przegranych. Dlaczego tak mnie dręczysz?.*

Czwartek 9.11: *Jestem miłośnikiem sztuki, wykwintnej kuchni, miejsc z ulotnym, niepowtarzalnym klimatem. Ciekawy ludzi. Zawsze uśmiechnięty i ufnie spoglądający w oczy nadchodzącym z naprzeciwka.*

Czwartek 11.15: *To kto się do kogo wprowadza?*

Czwartek 12.01: *Jestem miłośnikiem czerwonych paznokci, zmysłowej bielizny, butów na wysokim obcasie, pończoszek i kobiet posiadających wszystkie te atrybuty, skąpanych w ciepłym świetle świec. Marzę o pięknej luksusowej kochance, przy której ja będę czuł się wyjątkowo, a ona poczuje się jak księżniczka. Możesz wprowadzić się choćby jutro!.*

Czwartek 13.30: *W jednym nikt cię chyba nigdy nie pobije, ty jesteś taka okrutna! Bawisz się moimi uczuciami!!!*

Czwartek 16.00: *Dam Ci ostatnią szansę! Jeśli nie odezwiesz się do 20.00, to zrywam z Tobą na zawsze!*

Czwartek 18.17: *Kocham Cię, przepraszam, nie zrywaj ze mną! Proszę!!!*

Piątek 15.15: *Koniec z nami, definitywnie. I nie próbuj się do mnie odzywać, bo umieściłem Cię na swojej czarnej liście! Wszystkie kobiety są takie same! Wykorzystują sytuację, naciągają i oszukują! Są podłe!!!*

Z przyczyn oczywistych przytaczam tylko część tej korespondencji.

No cóż, a było tak blisko...

A co powiedzielibyście na taką wiadomość?

*Pociągają mnie prostytutki. Zależy mi na takiej osobie, która wybrała ten zawód przede wszystkim dlatego, że uwielbia uprawiać seks – często i ze zmieniającymi się partnerami. Pilnie poszukuję takiej osoby! Czy możemy się umówić?*

Odwiedziłam dziś dawno niewidzianych Ryszardów, czyli panią Zosię i jej męża Rysia. Pani Zosia przekonuje mnie, żebym odpuściła sobie te poszukiwania. Jej zdaniem, nie jest mi pisane przejść przez życie w samotności, ale ten ktoś pojawi się sam, bez potrzeby szukania. „Nic ci, kochana, nie brakuje, daj spokój,

nikogo dla siebie tam nie poznasz”.

Łatwo powiedzieć, już przyzwyczałam się do tego zainteresowania i ono mnie cieszy, nawet jeśli jest sztuczne. Pan Ryszard oświadczył, że gdyby chociaż ci kandydaci pisali list odręcznie, to od razu można byłoby skonfrontować treść z charakterem. Roześmialiśmy się wszyscy, bo przecież cała nasza trójka para się wrózeniem. Pani Zosia żaliła się, że klienci, którzy do niej przychodzą, często z poważnymi, zaawansowanymi schorzeniami, już są po kilku rozmowach telefonicznych z wrózkami. Okazuje się, że są tacy doradcy, którzy tym ludziom mówią, ile czasu im jeszcze pozostało do śmierci, sugerują przerwanie leczenia, zalecają zioła zamiast leków i chemioterapii. To straszne. Opowiedziała mi historię kobiety z zaawansowanym rakiem, której wróżbita oznajmił, że powinna pożegnać się z rodziną. „Ledwo odwiodłam ją od zamiaru popełnienia samobójstwa” – powiedziała. „Ludzie są tacy nieodpowiedzialni. Najgorsze, że wszystkich potem wrzuca się do jednego worka. I tych, którzy szkodzą, i tych, którzy mogą pomóc”.

To prawda. Moja rodzina przez miesiąc pielgrzymowała do mnie, na zmianę prosząc i grożąc, żebym spaliła karty i zaczęła znowu pracować w pralni. Dla nich już moje studia filozoficzne stanowiły wystarczającą fanaberię. Ojciec zabronił mi mówić jego znajomym, że jestem wrózką. Z drugiej strony, gdy w interesie idzie gorzej, nie przeszkadza mu, że to ja płacę rachunki z pieniędzy zarobionych na wrózeniu właśnie.

Pan Ryszard, jak zwykle pragmatyczny i bardzo praktyczny, podsumował:

– Nieważne, gdzie go spotka. Grunt, żeby był bogaty. Bo, jak wiadomo, bogaty to ładny!

Ja z kolei śmiałam się, że jestem kojarzona z papużką w charakterze czarnego kota. Boluś to bardzo poważny asystent. Gdy ktoś chce go potraktować jak maskotkę i wyciąga paluch, żeby go pogłaskać, dziób Bolka jest już na to przygotowany. Po dziobnięciu natychmiast pojawia się komunikat „Sio!”. Chyba że ktoś wie, iż nie należy głaskać ptaszka od razu po głowie. Klient, który zapamiętał, że wstępem do poufałości jest podrapanie pod dziobem i pod skrzydełkami, otrzymuje kod „Buzi” i może zadawać wróżce pytania. U pani Zosi jest wszystko jak trzeba, pięć kotów, w tym dwa syjamskie!

18 stycznia, piątek

Z Łukaszem bez zmian. Rozmowy, rozmowy, rozmowy... Wczoraj założyłam superseksowną sukienkę na spotkanie z nim. Zlustrował mnie od stóp do głów, a jakże, a potem już tylko rozmawialiśmy. Nie wiem, jak to przełamać. Cudownie się z nim rozmawia, ale nie jesteśmy przecież stuletnimi starszuchami, żeby się do tego ograniczać! Na dokładkę po południu umówiłam się z Majorem. Major mniej mówi, więcej robi. Zgonił mnie przez pół Warszawy, ponieważ każdy kolejny lokal był pod jakimś względem nieodpowiedni na randkę. Za mały, za duży, za głośny, za jasny... W końcu, powłócząc nogami, dotarliśmy

do przyjemnej restauracyjki usytuowanej na parterze biurowca.

Zamówienie przyjmował od nas kelner, który od razu zrobił na Majorze złe wrażenie, ponieważ się garbił. Major studiował kartę z uwagą i przepytywał chłopaka ze składu niemalże każdej proponowanej potrawy. Potem kosztował dań ze skupieniem znawcy przyznającego gwiazdki Michelin, ale jadł w takim tempie, że zanim zupa zdążyła lekko ostygnąć, to już jej nie było. Nigdy tak szybko nie połykałam mięsa. W ogóle nie gryzłam, nie było na to czasu. Chyba pobiliśmy jakiś rekord, na przykład w zjadaniu lodów na czas, albo w zawodach: komu uda się wypić szklankę wody jednym haustem. Major był oczywiście niepokonany. Ekspresowi klienci, kwadrans i po krzyku. Najlepsze zostało, niczym egzotyczny deser, na koniec. Gdyśmy wyszli do recepcji, postanowiliśmy skorzystać z toalety. Nie razem, oczywiście. Ja miałam bliżej, Major zniknął tuż za rogiem. Kobietom zwykle zajmuje to więcej czasu, przynajmniej tak dotąd uważałam. Gdy wróciłam do recepcji, Majora jeszcze nie było. No to czekałam. Czekałam i czekałam. Po dłuższej chwili poprosiłam pana z obsługi, żeby sprawdził w toalecie, czy przypadkiem mojemu znajomemu coś się nie stało, bo zniknął na tak długo...

– Jeśli uciekł przez okno, to głupek! – oszacował pan z obsługi. – Ja bym tam pani z łóżka nie wyrzucił!

Zlekceważyłam to ostatnie zdanie. Facet poszedł i za chwilę wrócił z komunikatem:

– Nie ma tego gościa, pusto. Jak pani chce, to ja się mogę z panią umówić. Kończę za pół godziny.

Jakoś nie chciałam. Zrobiło mi się cokolwiek nieswojo. Zawinęłam się i poszłam do domu. Wieczorem zatelefonował do mnie pan Przemek. Rozżalona, niepotrzebnie opowiedziałam mu, co zaszło. Wyśmiał mnie. Powiedział, że tak kończy się umawianie się z nieodpowiednimi mężczyznami. Tylko gdzie ja mam wyszukiwać tych odpowiednich, tego nie powiedział. Potem wyjaśniło się, że Major przez przypadek wszedł do toalety przeznaczonej dla pracowników biurowca. Ktoś, wychodząc, zamknął drzwi na klucz, a Major uznał, że to nieeleganckie walić w drzwi od ubikacji. I przesiedział tam ponad dwie godziny.

Na portalu z kolei zupełna monotonia. Większość panów od razu po dwóch, trzech wiadomościach zaczyna świntuszyć. Niestety, w większości tak samo, banalnie, wulgarnie lub nie, bez polotu i cienia wyobraźni. Jakbym czytała nudne pornosy. Zgroza!

19 stycznia, sobota

Moja sąsiadka zorganizowała dyskotekę. Razem z jakimś nowo poznanym fatygantem wynajęli salę bankietowo-weselną i zaprosili znajomych na bal, jedyne dziesięć złotych od łebka. Poszłam w towarzystwie Krzysztofa, który przepadł bez wieści zaraz po półgodzinie. Myślałam, że rozczarował go bal i ja, ale potem okazało się, że zatrzasnął się w toalecie i dopiero następnego dnia go uwolnili.

Zupełnie nie rozumiem, jak to jest. Gdy ja coś wymyślę i zaproponuję, to wszyscy, a zwłaszcza ojciec, od razu twierdzą, że to nie ma sensu i nawet szkoda rozważać. Gdy z jakimś pomysłem wyjedzie Roksana, od razu wszyscy padają na klęczki i jest cudnie.

Panie były, niestety, lekko rozczarowane, ponieważ panów przyszło zdecydowanie mniej, poza tym większość miała już właścicielkę, to jest chciałam napisać, partnerkę. Wiele z nich wzrostem przewyższało swojego towarzysza, nie rozumiem, po co zakładać buty na niebotycznych obcasach, skoro facet i tak sięga tylko do ramienia. Organizatorzy puścili muzykę z komputera. Najnowsze hity, ściągane z internetu, których nikt nie umiał tańczyć. Zresztą nawet nie próbowali, bo panie poprzebierały się w długie i obcisłe sukienki, w których niemożliwym stało się wykonanie jakiegokolwiek ruchu. Mogły tylko stać. Nawet nie dało się kiwać z boku na bok, bo takie dwunastocentymetrowe szpile niczym szczudła wymagają zachowania równowagi. Przeniesienie ciężaru ciała z jednej strony na drugą mogło doprowadzić do upadku. Te bezpieczne stały zwarte w jednej grupie, wrogo nastawionej do otoczenia, chociaż buziaki uśmiechnięte. Mrugać trudno przez rzęsy, dwieście złotych za parę. Miały wytrzymać kilka tygodni, ale klej puszcza i mruganie grozi opadnięciem powieki na cały wieczór. Dwóch panów trzyma się razem, przestępując z nogi na nogę, chyba tańczą. Pochłonięci rozmową, tak że nawet muzyka im nie przeszkadza. Nagle coś zaczęło strasznie śmierdzieć. Coś się zapaliło i dymi. Nie, to tak specjalnie, dla zrobienia nastroju.

Gatunek muzyczny disco polo nadaje się idealnie do jednoczenia ludzi. Wszyscy już podskakują w rytm piosenki *Patrzę na morze, kto mi pomoże, o mój Boże*. Jeden chłopak dostał jakiegoś ataku i ciągle się obraca. Jego partnerka nie nadąża z tym obracaniem się, ledwo zipie. Drugi znowu szarpie dziewczynę, mało jej rąk nie wyrwie ze stawów. Sam stoi w miejscu. Do mnie podszedł taki jeden, który strasznie seplenił. Nic nie mogłam zrozumieć. W dodatku wisiało mu coś brudnego pod nosem. Potem lepiej się przyjrzałam, że to wąsy. Nie mam pojęcia, czego chciał, ale na szczęście poszedł sobie. Potem stanął obok mnie inny gość, w czapce i za dużych spodniach. Ciągle zjeżdżały mu z tyłka, co spojrzałam, to widziałam ten jego przedziałek. Okropność, zapamiętałam faceta po przedziałku na tyłku, o twarzy nic nie umiem powiedzieć. Postął i poszedł. Razem ze swoim przedziałkiem. Usiadłam na krześle pod ścianą i patrzę. Moja sąsiadka płąsa sobie z o głowę niższym facetem. Aby mu coś powiedzieć, muszą się zatrzymać, i ona wtedy pochyla się do niego. Rozmawiałam z tym gościem przed zabawą, ma szparę w zębach i jak mówi, to świszczce. Gdy się śpieszy przy mówieniu, w ogóle nic nie słysząc, tylko taki wizg. Staram się podsłuchać, o czym ludzie rozmawiają. Patrzę na buziaka w różowej sukience, który uśmiecha się do tego w czapce.

Buziak: „A od czego zaczynasz znajomość? Na co wpierw patrzysz? Co widzisz, gdy patrzysz?”.

Ten w czapce: „No wiesz, to jest różnie, bo jak się patrzy na człowieka, to z jego twarzy wiele wynika i można sporo wyczytać. Widzę różne rzeczy, na przykład, czy jest ktoś taki, że można z nim porozmawiać, czy nie”.

Buziak: „A mnie jak widzisz?”.

Ten w czapce: „Nos masz ładny. Nos jest bardzo ważny, bo przedtem to wołałem dziewczyny, które miały takie półprzymknięte oczy, ale teraz lubię nos”.

Buziak: „A jak myślisz, co my, dziewczyny, najbardziej lubimy?”.

Ten w czapce: „Przebojowość i kasę! (śmiej). Bo to jest tak, jak się coś komuś podoba, to wy chcecie, żeby było przebojowo. Bo wiesz, każdy chłopak tutaj jest przebojowy. Na stówkę. Każdy jest ekstra. Sam bym ich wszystkich wybrał. No kurczę, ciężko się zdecydować!”.

Buziak: „Ja to bardzo dużo sportu uprawiam. No wiesz, lekkoatletyka, pływanie, bieganie, karate. I przez trzy lata strzelałam. Bardzo dużo strzelałam. Aż mi koledzy zazdrościli. Ale karate to nie dla mnie, bo sam układ uczy ruchów i ja nie umiałabym bić się na ulicy”.

Nie mogę już tego słuchać, ani na to patrzeć. Ona przewraca oczami, on trzyma ręce w spodniach, z przodu, nasuwa mi się przypuszczenie, że musi się trzymać za... Bo też mu opadnie.

Po drugiej stronie sali stoi druga para i rozmawia. On w koszuli drwała, w czerwoną kratę, ona w sukni z trenem, który co chwila ktoś przydeptuje. Patrzą gdzieś w przestrzeń, gdy do siebie mówią. Idę podsłuchać.

Ona: „Na co patrzysz na początku znajomości?”.

On: „Jak zaczepiam dziewczynę na ulicy, to przez pierwsze dziesięć minut na co patrzę, tak?”.

Ona: „Nie, w ogóle. Nie przez dziesięć minut”.

On: „Ale sprecyzuj czas”.

Ona: „Bez czasu, ogólnie”.

On: „To na otwartość dziewczyny. Żeby była otwarta. Na ludzi, tak ogólnie”.

Ona: „Skromna?”.

On: „No nie taka »ą« i »ę«, ale ma być otwarta. No bo jak miss świata podejdzie na przystanku do takiego faceta jak ja, to żeby była otwarta”.

Ona: „Ale dlaczego tak o sobie mówisz?”.

On: „Bo ja wiem. Wszystkie dziewczyny lecą na kasę. Ja mam trzydzieści lat. Ja wiem, że to widać”.

Tych dwóch cały czas trzyma się razem. Ciekawe, o czym oni rozmawiają. Nie mam jak podejść, bo głupio mi samej tańczyć na środku parkietu i to akurat blisko nich. Okej, ktoś mnie prosi do tańca. Strasznie mu śmierdzi z ust, ale pozwala się zaciągnąć blisko tej pary. Też drepczemy, zakotwiczeni w jednym miejscu.

Jeden z pary: „Ten akt jest dziełem subtelnej osobowości. Bo nie chodzi w nim o nagość, takie gołe cycki, na przykład, ale o przekrój twarzy. Bo nie interesuje go kobieta jako całość. On w ogóle nie chce kobiety. Na rysunku te cycki to jest kawałek ucha i kawałek nosa, i to jest piękne”.

Drugi z pary: „To jest wzniosłe, bo on to pokazał, jak widzi”.

Jeden z pary: „Świetnie się z tobą rozmawiało”.

Drugi z pary: „Oczywiście, musimy się częściej spotykać”.

Jeden z pary: „No właśnie, szkoda, że wcześniej nie rozmawialiśmy”.

Drugi z pary: „Będą różne takie okazje”.

Po zabawie Roksana oświadczyła, że nie da się na coś takiego więcej namówić, bo ją to strasznie dużo kosztowało. Zdaje się, że ten jej facet odwiózł do domu inną wysoką kobietę. Pan Przemek później oświadczył, że on – gdybym go oczywiście zaprosiła – nie wystawiłby mnie jak ten cały Major. Wprawdzie nie bawiłby się dobrze w towarzystwie moich znajomych, bo to bardzo podejrzane grono, jednak on jeden jest mężczyzną z klasą!

20 stycznia, niedziela

Roksana poznała mnie na balu z pewną dziewczyną. Strasznie dziwna osoba. Słowa „straszenie” i „dziwna” zestawiam celowo, bo nie umiem się zdecydować, co mnie w niej bardziej przeraża, a co intryguje. Ona chyba nie jest człowiekiem. Gdyby okazało się, że spadła z Księżycy, uznałabym to za całkiem wiarygodne wytłumaczenie. Jest w niej coś tajemniczego, niedopowiedzianego, kuszącego, ale raczej w tym mrocznym znaczeniu. Takim spojrzeniem pewnie syreny obdarzały marynarzy, zanim wciągnęły ich w otchłań oceanu. Ma na imię Klaudia. Klaudia o słodkim głosie, który każe mieć się na baczności. Włosy jak płomień, niewinne niebieskie oczy, słodkie usta i eteryczność w ruchach. Sam erotyzm. Gdybym była mężczyzną, musiałabym ją codziennie mieć. Oczywiście, natychmiast wyraziłam chęć i ochotę spotkania się i porozmawiania, w końcu nie od dziś lubię wkładać palce między drzwi.

21 stycznia, poniedziałek

Moja nowa znajoma, Klaudia, zaprosiła mnie do siebie na herbatę. Mieszkanie jak z obrazka, czysto w nim jak w muzeum, od razu poczułam się gorsza i bardziej leniwa. Przygotowała herbatę, usiadła i cały czas patrząc mi w oczy, opowiedziała jedną z najbardziej wzruszających historii, jakie w życiu słyszałam. Pojawiło się tam wszystko, trudne dzieciństwo z nieporadnymi rodzicami, którzy umierają, osierocając ośmioro dzieci, tułaczka po domach dziecka, rodzinach zastępczych i wycieranie kątów u dalszej rodziny, pierwsza niskopłatna praca w charakterze sprzątaczk, gdzie strach i poniżenie szły ze sobą w parze, nieudana relacja z mężczyzną, który wykorzystał i porzucił, utracone nienarodzone dziecko, bieda, płacz i rozpacz. Klaudia przeszła przez wszystko, przez co tylko może przejść człowiek. Nie rozumiałam do końca historii

z kredytem, który musi teraz spłacać, ale zdaje się, że pieniądze były potrzebne na sfinansowanie jakiejś operacji bardzo biednej osoby. Aż trudno uwierzyć, że trzydziestoletnia kobieta tyle w życiu wycierpiała a w jej oczach pozostała ta niewinność dziecka, ta słodka dobroć, która charakteryzuje ludzi wybranych. Tych, którzy swoim przykładem uczą nas, jak hartować ducha. Nie rozumiem, dlaczego wyrobiłam sobie na jej temat takie niepochlebne zdanie, to anioł nie kobieta, choć karty twierdzą co innego...

22 stycznia, wtorek

Klaudia przysłała mi dziś powitalnego SMS-a. Życzyła mi udanego dnia i wielu łask Bożych. Miłe. Jestem grubo ciosana, bo odpisałam tylko „Nawzajem”, na nic więcej nie było mnie stać. Jakoś czuję się przy niej gorsza.

Po południu

Klaudia życzyła mi opieki Przewodników Duchowych wiedzionych Boską Ręką Miłosierdzia. Cóż miałam odpowiedzieć? Odpisałam „Nawzajem”.

Wieczorem

Kolejny SMS od Klaudii: „Oby Cię Stwórca kołysał w Swych ramionach podczas tej nocy”. Boże, jaka ze mnie ciemna masa. Znów zdobyłam się tylko na „Nawzajem”.

23 stycznia, środa

Pobudka na roraty? *Poranne słońce to uśmiech Naszej Boskiej Matki, którym obdarza Cię, Dziecię Swe Najukochańsze.* Gdy ponownie włączyłam telefon, od razu zadzwoniła Klaudia. Powiedziała mi, że Bóg, Stwórca Wszechświata, na mnie patrzy i mnie kocha. Co ja mam, na litość boską, robić z takimi informacjami?! Zaproponowała spotkanie przy kawce. Nie na rękę mi, że dziś, ale zgodziłam się, skoro Stwórca patrzy...?

Wieczorem

Klaudia powiedziała mi, że należy pomagać wszystkim ludziom, bo każdy jest dobry, nawet jeśli jest zły. Należy ich wspierać i kochać ich. Staram się, choć niektórych trudno kochać, ale zdaniem Klaudii, na tym polega plan Boży. Nasze życie nie powinno się w ogóle składać z przyjemności. Powinniśmy przyjemności eliminować, bo tylko w ten sposób mamy szansę poznać własne ograniczenia i dotrzeć do jądra swojego człowieczeństwa.

– Widzisz, wszystko, co miłe, przychodzi od złego – tłumaczyła mi cierpliwie, jak dziecku. – To zło włada całym światem i wielkimi instytucjami. To zło pomaga się ludziom wybić, by potem nimi kierować. To dlatego ludzie stają się sławni i bogaci. Nie dzięki sobie, ale dzięki złu.

– To znaczy, że człowiek nie ma szans zdobyć majątku tylko własną pracą i zasługami?

– Może, ale i tak zło go dopadnie i wszystko mu odbierze. Dlatego należy doświadczyć zła, aby zrozumieć Boga. Tylko ludzie opętani mają w sobie

prawdziwą wiarę.

– Mam się dać opętać, żeby prawdziwie wierzyć? – zapytałam z przerażeniem.

– Tak, niestety – pokiwała głową Klaudia. – Nie bój się. Ja już tego doświadczyłam i teraz jestem szczęśliwa.

– Pozwalasz sobie zatem na przyjemności?

– Nie. – Klaudia dobrotliwie się uśmiechnęła. Poczulałam się wtedy jak ćwierćinteligentka. – Doświadczenie przyjemności to oznaka słabej duszy. Ja każdą przyjemność traktuję jak doświadczenie odwróconego zła. Nie cieszę się tym, nie daję po sobie nic poznać, wtedy zło nie ma nade mną władzy. Wyzbyłam się oczekiwań związanych z dobrą stroną życia. Na nic nie czekam i wszystko do mnie samo przychodzi. A ja nic nie czuję i dzięki temu jestem wolna. Powinnaś pomedytować, moja droga.

Wieczorem

*Pamiętaj, że Oko Boga widzi wszystko. Śpij snem sprawiedliwego.*

Spałam snem zmęczonego. I to bardzo.

24 stycznia, czwartek

*Słuchaj Głosu Boga, który woła, abyś wpuściła Jego Miłość do swego serca.*

Dziś nie obudził mnie żaden SMS, za to Klaudia zatelefonowała i zaproponowała spotkanie na kawkę, tym razem na mieście. Jutro. Chce mnie zapoznać ze swoimi znajomymi, niezwykle ubogaconymi duchowo ludźmi. Zgodziłam się. Dzień odpoczynku. Nie pracuję. W pralni też spokojnie, ojciec martwi się, że cały styczeń kiepski, i mało zarabiamy. Nie wiem, jak można zareklamować pralnię. Zaproponowałam ojcu, żeby zastanowić się nad zainstalowaniem pralek samoobsługowych, może to przyciągnie samotnie żyjących klientów i brać studencką, która zamiast zawozić pranie do domu, będzie wołała zapłacić pięć złotych i uprać u nas. Ojciec jak zwykle marudzi i jest sceptycznie nastawiony. Chyba poproszę Roksanę, żeby go przekonała, on ma do niej słabość. Roksana teraz spotyka się z takim jednym łysym. Poznała go poprzez portal randkowy. Facet niemowa, bo nie odezwał się, nawet kiedy powiedziałam do niego „dzień dobry”.

Obiecałam sobie, że dziś i jutro nic nie będę robić. Ostatni raz zaznam takiej grzesznej przyjemności, bo potem rozpocznie się intensywna praca nad sobą i swoimi słabościami pod okiem nieziemskiej Klaudii. Nie przyznałam jej się, że jestem wróżką, ona ma bardzo złe zdanie na temat takich osób. Ciekawe, co ojciec powiedziałby na temat Klaudii, może od razu by ją adoptował? Następnie posadził w pralni i ustanowił swoją dziedziczką.

25 stycznia, piątek

Na tę okoliczność ubrałam się specjalnie w mało twarzowy sweter, by wyglądało, że nie przywiązuję wagi do tak przyziemnych spraw jak ubranie. Nie



czesalam się od rana i nie pomalowałam nawet ust. Przywdziałam niewinno-męczeńską minę i pojechałam.

Klaudia wyłapała mnie przed wejściem. Dostrzegłam przebłyśki złości w jej oczach, choć może mi się wydawało. Ale i tak nie zdążyła nic już powiedzieć, bo niebiańscy towarzysze dołączyli do nas. Nie byli ubrani w zgrzebne wory pokutne ani sandały ze słomy. Przeciwnie, drogie garnitury i zegarki na przegubach świadczyły raczej o poważnej stabilizacji finansowej. Klaudia w mgnieniu oka przeistoczyła się w słodką kocicę, łaszącą się do nich. A im się to podobało. Stałam tam jak głupia i patrzyłam z niedowierzaniem. Gdzie tamta natchniona osobka, która zasypywała mnie biblijnymi SMS-ami? Czy ta kobieta, która pożądliwie spogląda na wystawę biżuterii, i tamta subtelna, pokrzywdzona przez los dziewczyna, to ta sama osoba?

Wkrótce wszystko się wyjaśniło. Ma to więc wyglądać tak: pracujemy na zmianę w wynajętym mieszkaniu. Koszt wynajmu ponosimy po połowie. Podobnie z opłatami. Dzień wcześniej mam zawiadomić ją SMS-em, od której godziny zajmuję lokal, ona zrobi podobnie. Po wszystkim mam posprzątać, pościel wrzucić do pralki. „Ubogacone duchowo” grono, o którym mówiła Klaudia, to czterech facetów po czterdziestce. Przypadłam im do gustu, bo gdy przyszłam, od razu chcieli „skonsumować” znajomość. Podobało im się, że jestem taka „surowa i przaśna”. Nie mam nawet ochoty tego komentować. Moje karty pewnie wyśmiałyby mnie, gdybym tylko je rozłożyła...

30 stycznia, środa

Spotykam się równolegle z Arturem, którego poznałam na balu, i z Łukaszem. Major Krzysztof nie odbiera telefonów ode mnie. Łukasz to kopalnia wiedzy, człowiek niezwykle inteligentny, a rozmowy z nim stale rozwijają mnie intelektualnie. Co więc sprawia, że jestem nieszczęśliwa? Chyba fakt, że wciąż mam potrzebę doświadczania kontaktu z mężczyzną także inaczej, nie tylko w rozmowie. A między nami nie ma flirtu, że o romansie nie wspomnę. Zachowujemy się jak dobrzy znajomi miło spędzający czas. Ugrzęźliśmy w formule, która była bardzo bezpieczna i zachowawcza, ale stała się utrapieniem. Bo my nie jesteśmy tylko znajomymi. Tylko znajomi nie spędzają ze sobą codziennie po kilka godzin i nie odwołują stale ważnych spotkań z kimś innym. Nie patrzą na siebie maślanymi oczami i nie starają się wspiąć na wyżyny elokwencji, żeby wypaść jak najlepiej. Nie jestem nastawiona na szybkie i wściekłe randki, które w kwadrans po podaniu sobie rąk kończą się w łóżku, ale wielogodzinne rozmowy też do niczego nie prowadzą. Może do frustracji i początków depresji. Nie umiem być erotycznie agresywna i na tym chyba polega mój problem. Rozmawiałam przelotnie z Jackiem. Jego zdaniem, jestem zbyt zachowawcza. „Powinnaś stać się bardziej otwarta, bardziej spontaniczna. Poza tym nie mów, że jesteś wróżką, bo każdy się wtedy boi, że zaraz przejrzysz go

na wylot. Ja też nie zdradzam od razu swojej profesji, bo jakoś ludzie od razu się ode mnie odsuwają”.

Z Arturem też jest coś nie tak. Gdy byłam u niego w sobotę, gotowa pójść na całość, to tak długo rozmawialiśmy, że potem oboje zapadliśmy w sen. Gdy obudziłam się około piątej rano i stwierdziłam, że najwyższa pora wracać do domu, Artur zaofiarował się, że mnie podwiezie. Jego auto stało przed domem, wsiedliśmy, ruszyliśmy. Sto metrów dalej inny samochód wymusił pierwszeństwo i doprowadził do kolizji. Chyba Artur nie będzie chciał się już więcej ze mną umawiać. Za drogo mu wychodzi.

5 lutego, wtorek

Z Arturem spotkałam się jeszcze dwa razy. U niego w domu. Szykowaliśmy wspólną kolację i niechcący podpaliłam mu tapetę na ścianie. Na szczęście udało się w porę ugasić ogień, zanim na dobre zajęły się firanki i drewniane meble robione na zamówienie, ale i tak remont kuchni będzie konieczny. Następnego dnia postanowiłam zrobić mu niespodziankę, żeby się zrehabilitować. Kupiłam więc piwo, porcję golonki w pobliskiej restauracji i pogalopowałam do niego. Przewróciłam się na klatce schodowej i jedna z butelek piwa roztrzaskała się. Piwna smuga ciągnęła się od parteru do samych drzwi, ponieważ te zastałam zamknięte. Torba mi ciążyła, postawiłam ją więc na wycieraczce. Zupełnie nie pomyślałam, że resztki piwa wsiąkną w szorstką tkaninę. Gdy usłyszałam ruch za drzwiami, pochyliłam się, by podnieść torbę. W tej samej chwili drzwi się otworzyły. Stała w nich nieznana mi starsza kobieta. Nastawiona na to, że otworzy mi Artur, nie patrząc, ruszyłam do przodu i wpychając torbę w ramiona kobiety, rzuciłam wesoło:

– Cześć, Misiu, dzisiejszego wieczoru ze mną na pewno nie zapomnisz!

Kobieta zachwiała się i omal nie przewróciła pod naporem torby, mnie, a chyba najbardziej moich słów. Z pokoju wyjrzał Artur. Wyjrzał i zamarł.

– Mamo... poznaj, proszę...

Mrocзки stanęły mi przed oczami. Ubrana byłam na tę okoliczność w płaszcz i szpilki. Właściwie tylko w płaszcz i w szpilki. Te nędzne fragmenty bielizny nie zasługiwały na miano ubioru. W mieszkaniu było bardzo ciepło, a ja uparcie odmawiałam zdjęcia z siebie płaszcza, co wypadło bardzo niegrzecznie. Matka Artura dyskretnie powąchała mnie i przyniesioną przeze mnie torbę, po czym spojrzała wrogo na syna. Przez dłuższą chwilę nie rozumiałam, w czym rzecz. Potem okazało się, że Artur pochodzi z rodziny zdeklarowanych abstynentów i jaroszy. Zaczęłam rozmyślać, czy wypada już teraz powiedzieć, że zostawiłam w domu włączone żelazko, i wycofać się dyplomatycznie, czy też odczekać, aż położą się spać, tkwiąc twardo na kanapie, zgrzana, w zapiętym pod szyję płaszczu. Po moich wcześniejszych wyczynach wszystko już było oczywiste. Niezręczną sytuację przerwał telefon, który szczęśliwie zabrzączał w maminiej torebce.

– Wiesz, moja mama... tego... raczej dziś... – bąkał Artur.

Ależ rozumiem, wiem wszystko, jestem kochana, wyrozumiała, dobra. Podeszłam, żeby pocałować go na pożegnanie, po czym dyskretnie wymknąć się z tej jaskini lwa. Chciałam objąć go za szyję. Przytulić. A skończyło się na tym, że naprawdę niechcący wybiłam mu ząb. Łokciem. Jedynekę. Uciekłam stamtąd. Wciąż stoi mi w oczach ta zakrwawiona, pełna zdumienia gębusia niebieskookiego bruneta z moich snów.

7 lutego, czwartek

Pozostał mi Łukasz Żelazny Krawat i powrót na portal randkowy. Dawno tam nie zaglądałam, trochę nowych znajomych przybyło. Już się tym tak bardzo nie ekscytuję, zwykle mężczyźni, którzy zasypywali mnie komplementami, bardzo szybko rezygnowali z dłuższej znajomości. Zawsze po moim oświadczeniu, że ciastko w kawiarni nie stanowi elementu gry wstępnej. Pozwoliłam sobie nawet na pewien perwersyjny zabieg w postaci informowania każdego kolejnego „zakochanego” we mnie randkowicza, że oczekuję niewielkiego sponsoringu w zamian za... Odzew był natychmiastowy. Padały pytania o kwotę, oczekiwania (moje!), czy możemy spotkać się już (jeden taki był gotów przyjechać z Białegostoku!) oraz zapanowało ogólne rozluźnienie. Zaczęłam czytać pochwały i podziękowania za to, że jestem taka konkretna, do rzeczy, taka bezpośrednia. Że nie udaję hipokrytki, bo – jak napisał mi pewien czterdziestolatek – związek partnerski to też jest rodzaj umowy sponsorowanej, gdzie nie ma żadnych paragrafów, tylko same haczyki.

A rozmowy z klientami? Zdominowane były przez kobiety, które koniecznie chciały zrozumieć, dlaczego ich mężowie znaleźli sobie kochanki, narzeczeni nie chcą się żenić, ich partnerzy oglądają się za najlepszą przyjaciółką. No i oczywiście pytania samotnych kobiet, dlaczego wciąż są same. No właśnie. Dlaczego ja wciąż jestem sama? Przecież opędzić się nie mogę od mężczyzn, a jednak stale nie ma wśród nich tego jednego jedyne. Co do tych kobiet, to odpowiedzi padały różne, tak jak różne były one same. Trudno mieć pretensje do kart, gdy podawały odpowiedź: „Ta kobieta nikogo na dłużej nie zatrzyma przy sobie, bo jest zbyt zaborcza, wszystko chciałaby wiedzieć, wszystko robić wspólnie z nim, we wszystko być wtajemniczoną; każdy człowiek się przy niej udusi”. Tylko ja miałam problem, jak jej to delikatnie przekazać. A co do mnie? Sama nie wiem. Nie mam odwagi postawić sobie kart. Chyba wybiorę się do jakiejś wróżki...

8 lutego, piątek

Dziś wysyłam kolejny list.

*Witaj!*

*Czy Ty także miewasz momenty wątplenia, kiedy wydaje Ci się, że życie to tylko kiepski serial, w którym zapowiedzi brzmiały najbardziej ekscytująco? Wstajemy rano, wychodzimy z domu, coś do kogoś mówimy, coś robimy, wracamy,*

zasypiamy. Powtarzanie całego tego cyklu wydaje nam się sednem naszego życia. Podążaniem w kierunku realizacji wyższych celów, bo przecież praca ubogaca. I zewnętrznie, i duchowo. A jeśli na końcu tej drogi nie ma nic? Jeśli nie czeka nas nic poza rozczarowaniem? Może rację mają ci, którzy czerpią z życia na całego, żyją dla siebie, tu i teraz, doskonałą się w manipulacji, aby na koniec znaleźć się w tym samym miejscu, co my, czasem trochę dalej? Bez wysiłku osiągają to, co nam przychodzi z takim trudem. Może to oni mają rację?

Dziś druga historia, oto ona. Pewnego razu była sobie dziewczynka. Miła, grzeczna, przeciętna. Słuchała rodziców, pilnie uczyła się w szkole, zawsze mówiła prawdę. Od dziecka uczono ją, że tylko pokorni i cisi dochodzą w życiu do prawdziwie wielkich rzeczy, a w dziewczynce zaległo się pewnego dnia przekonanie, że to właśnie ona jest stworzona do rzeczy wielkich. Była więc jeszcze bardziej cicha, spokojna, usłużna i przezroczysta. Wszystko znosiła cierpliwie i w milczeniu. Nigdy o nic nie prosiła, zawsze za wszystko dziękowała. Niczego więcej nie pragnęła, tylko jak najszybciej stać się dorosłą i móc wreszcie wykonywać owe wielkie rzeczy, do których przecież została stworzona. Uczyła się więc i uczyła, zdobywała wiedzę i doświadczenie, czekając cierpliwie, aż nadejdzie wymarzony moment, gdy świat odkryje, jaką jest niezwykłą duszą. Lata mijały, dziewczynka zmieniła się w młodą kobietę, potem w trochę starszą kobietę. Wciąż szła przez życie w pokorze i ciszy, czekała. Świat wokół niej stale się zmieniał, rówieśnicy przeżywali wzloty i upadki, a jej życie, zupełnie spokojne i bezbarwne, dojrzało do mierzenia się wyłącznie z wielkimi sprawami.

Pewnego dnia kobieta spotkała na jarmarku wróżkę. Przeświadczona o swojej wyjątkowości postanowiła wysłuchać wróżby, która potwierdziłaby jej przekonanie. Jeszcze zanim wróżka rozłożyła karty, kobieta poczuła się rozczarowana. Przecież medium powinno rozpoznać blask osoby niezwyklej bez potrzeby zaglądania w karty. Osobom takim jak ona nie mówi się o małżeństwie, dzieciach i pieniądzech. Dla niej Niebo przeznaczyło misję niedostępną innym. Kobieta wyszła od wróżki rozczarowana. Zdezorientowana stała w miejscu, zastanawiając się, kiedy i w jakich okolicznościach jej nieprzeciętna osobowość zostanie ujawniona światu, i właśnie wtedy dostrzegła długą kolejkę oczekujących, którzy chcieli wejść i posłuchać prelekcji jakiejś osoby. Kobieta zapytała, kto to. „To zwyczajna żona i matka” – padła odpowiedź. To dlaczego jest taka interesująca?

Zaczęłam dziś rozważać, czym właściwie jest grzech? Sprzeniewierzeniem wobec Stwórcy czy siebie? Wśród znacznych siedmiu grzechów głównych najwyżej stoi pycha. Pycha to wysokie mniemanie o sobie, duma, wyniosłość, zarozumiałość, zadufanie, arogancja, zuchwałość, hardość, buta, ale i wiara w siebie, i godność. Pycha lubi podszywać się pod dumę, wyrasta z poczucia własnej wartości, rodzi się z oceniania, porównywania i wartościowania. Jest zawsze skoncentrowana

*na sobie, każe nam siebie stawiać wyżej od innych. Pycha ubiera się na wiele sposobów. Można ją zauważyć przybraną w fałszywą skromność, przesadną filantropię, kiedy ktoś chce tylko dawać, nie przyjmując nic w zamian. Nie umie przegrywać. Pycha objawia się w obżarstwie, rozwiązłości, będących brakiem umiaru i szacunku dla dóbr oraz innych ludzi. Przejawia się wreszcie w lenistwie, które zapewnia nas, że nie musimy się wysilać, bo nic nie umniejsza naszej wielkości. Także niepunktualność może wypływać z lenistwa lub, jako lekceważenie czekającego, wprost z pychy. Pycha wkrada się we wszystkie zakamarki stosunków międzyludzkich, niweczy porozumienie w przyjaźni, nie pozwala przyjąć rady, przyznać się do błędu i do niewiedzy. Z pychą wiąże się też wybujała potrzeba niezależności.*

*Ambicja zrodzona z pychy oznacza nadmierny apetyt na honory, chociaż zaszczyt sam w sobie jest dobrem i stanowi nagrodę za cnotę. Nie grzeszy przecież ktoś, kto oczekuje uznania dla swych dobrych czynów. Pragnienie sławy nie jest wadą. Sława powinna jednak przyświecać człowiekowi tylko wtedy, gdy jest do czegoś przydatna, a nie służyć samozadowoleniu. Pycha lubi być dostojna, nieprzystępna, woli samotność i skupienie na sobie, w dzisiejszych czasach zbliżyła się ona do cnoty wiary w siebie. Złe pojętej miłości własnej. W zadowoleniu nie ma nic złego, jeśli nie jest to zwykła pogoń za przyjemnością w oderwaniu od sensu i własnej roli w świecie. Za szybko staramy się zostać świętymi. Im więcej podejmujemy trudnych postanowień, tym częściej upadamy. Wtedy jesteśmy źli na siebie, pojawia się niepotrzebna irytacja. Jeśli za bardzo sobie ufamy – brak nam pokory. Człowiek działający pod wpływem pokory nie potrzebuje pochlebstw, nie porusza go ani obraza, ani cudze lekceważenie. Nie wstydzi się swojego pochodzenia, pozycji społecznej ani uczciwego zawodu. Człowiek skromny nie jest przewrażliwiony, nie tkwi ciągle w defensywie, potrafi ustąpić. Ma w sobie radość i pokój wewnętrzny – owoce pokory.*

*Pozdrawiam. E.*

9 lutego, sobota

Po odczytaniu kilkunastu wiadomości na portalu, z których większość brzmiała:

- *No to co? Wspólne śniadanko?*
- *Gdzie mam po Ciebie przyjechać?*
- *Leżę nago i czekam...*
- *Masz ochotę na chwileczkę zapomnienia??*

...postanowiłam, że z tym koniec. To całe targowisko próżności z przelewającym się wszechobecnym seksem nie jest dla mnie. Ponieważ jednak nie mam zwyczaju odchodzić bez pożegnania, napisałam na swoim profilu notkę w okienku „napisz coś o sobie”. Brzmiała ona tak:

*Dziękuję wszystkim, którzy zechcieli się do mnie odezwać. Było mi miło czytać komplementy i zabawne sformułowania. Jednak uznałam, że nie jest to miejsce, gdzie mogłabym znaleźć kogoś, kto by odpowiedział na moje oczekiwania. Pozostawiam profil jeszcze przez chwilę przed usunięciem, żeby istniała możliwość przeczytania tych słów. Szkoda, że coś tak przyjemnego jak seks zostało sprowadzone do mechanicznego zaliczania, choć każdy pisze o przyjemności. Pozdrawiam.*

Oczywiście posypały się wiadomości. Nigdy nie byłam tak popularna. No i ja głupia, naiwna osoba odezwałam się do autorów niektórych z nich. Głupia i naiwna, bo większość z nich i tak potraktowała mnie jak potencjalny materac, a notkę uznali za świetny materiał reklamowy. Odezwał się jednak ktoś jeszcze. Mężczyzna o nicku Jack Frost był jednym z pierwszych, z którymi wcześniej nawiązałam kontakt. Sprawiał wrażenie miłego, samotnego, skrzywdzonego przez los. Rozmowy z nim były kulturalne, dowcipne i intrygujące. Wszystko zapowiadało bardzo miłą znajomość. Do czasu. Gdy się spotkaliśmy, zaproponował zbliżenie w sposób tak bezczelny, że aż ujmujący „Żadna kobieta mi nie odmawia, zawsze jest im mnie żal...” Istotnie, było w nim coś takiego, co mogło zmiękczyć najtwardsze kobiece serce. Potem okazało się, że nic z tego, co mówił, nie było prawdą. Nic nie obiecywał, do niczego się nie zobowiązywał, a jednak zręcznie zaplatał swoją sieć... jak pająk.

Teraz odezwał się znów i znów uderzył w moją czułą stronę. Nic nie obiecuje, ale przywiązuje do siebie, stwarza pozory ważnej relacji, wspólnej przyszłości, oplata jak wąż i pożera...

Wtedy się wycofałam, teraz znów odpowiedziałam na wiadomość, znów padła propozycja spotkania, znów było miło, znów były ciepłe słowa... spróbujmy raz jeszcze, dajmy sobie szansę, łączy nas coś magicznego, ja przeżywam trudny czas w moim życiu... zrozum mnie, przecież jesteś taka dobra, taka wrażliwa... staram się...

W pierwszej chwili chciałam do niego biec, choćby boso. Potem ogarnęła mnie rozpacz, bo przecież wtedy na zakończenie powiedział „Oczekiwania nas ograniczają, poszukujemy całkowitej niezależności, życia bez obietnic i zobowiązań. Wtedy będziemy czyści”. Chciałam skasować... Ale na szczęście przeczytałam również wiadomość od pewnego Mariusza, który napisał i tak:

*Też jestem nieco sfrustrowany tym miejscem, i to po niecałej dobie. Nigdy nie korzystałem z takich portali i dopiero rozpoznaję, o co tu chodzi. Patrę jeszcze świeżym okiem i uderza mnie, że tak mało osób zadaje sobie trud, aby jakkolwiek się tu wstępnie pokazać. Nie chodzi mi o autoreklamę, tylko o jakieś podstawowe informacje dające szansę na odczytanie, wyobrażenie sobie chociaż najbardziej ulotnego obrazu, z kim mogę mieć do czynienia. Wzrost? Kolor oczu? Wyższe wykształcenie? Dla kogo takie informacje? Chyba właśnie dla różnego rodzaju*

*zaliczaczy i manipulantów. „O! Z wysoką brunetką o niebieskich oczach, co lubi biegać rano po rosie, jeszcze nie spałem! Niech sprawdzę”. Rozumiem, że osoby o nastawieniu seksoholicznym podają takie dane i nic więcej. W końcu chodzi o statystykę, może jakaś fotka w dalszej kolejności coś przybliży. Ale przecież większość zdjęć przedstawia osobę w kominiarce, ogromnych, ciemnych okularach, tyłem, bokiem, w cieniu... A to, co lubi, czego oczekuje, kogo szuka? Każdy chce być bardziej oryginalny od innego, a nie – prawdziwy. Dlaczego? Bo mniej odstępów? Bo na półce z towarem KOBIEĆ/MĘŻCZYŹNA będzie gorzej pozycjonowany, bo nie napisze, że uwielbia jogę i jada żaby na śniadanie?*

*Natrafiłem w ostatnich godzinach na szereg pań rozczarowanych brakiem bardziej subtelnego zainteresowania, jednocześnie nie mam pojęcia, jak powinienem odnieść się do kogoś, kto pisze, że nikogo nie szuka, ale mam próbować, nie pali, nie chce dzieci i lubi wszystkie gatunki muzyki i filmu?*

*Pozdrawiam, i – choć oczywiście większość mężczyzn na świecie jest dość mało złożona – życzę jednak chwili refleksji nad tym, jak Pani prezentuje się wobec tej części populacji i jak może zwiększyć szanse na bycie odnalezioną przez tych nielicznych, którzy nie czynią z mechanicznego bzykania sensu swej egzystencji.*

Ta wiadomość mnie natchnęła. Święta racja, ja też opisałam się jak towar na półce. Zmieniłam profil. Dopisałam więcej istotnych – moim zdaniem – informacji, w tym m.in.:

*Wszystkim osobom, które po wysłaniu do mnie kilku wiadomości oczekują, że pojawię się u nich w domu na kolację ze śniadaniem, dziękuję za zainteresowanie. Nie jestem nimfomanką, zdesperowaną erotomanką ani nie uprawiam profesji, w której osobowość partnerów ma znikome znaczenie. Sponsora także nie szukam.*

Zaświtała mi w głowie jeszcze jedna myśl. Mężczyźni pokroju Jacka Frosta nie powinni pozostać bezkarni. To, że ktoś nie werbalizuje zobowiązań, nie znaczy, że ich nie składa. Swoim zachowaniem, spojrzeniem, uśmiechem, dotykiem...

I tak na profilu pojawiła się jeszcze jedna postać. Demoniczna Freya.

10 lutego, niedziela

Dokładnie przemyślałam, jak powinien wyglądać profil Frei. Kierowałam się upodobaniami Jacka Frosta i jemu podobnych, czyli: dziewczyna szczupła, średniego wzrostu, o długich prostych czarnych włosach i niebieskich oczach. Spokojna, elegancka, delikatna trzydziestolatka, szukająca prawdziwej miłości. Taka, która kocha komedie romantyczne i kolacje przy świecach. Partnerka dla odpowiedzialnych mężczyzn z klasą. Dodałam zdjęcie, żeby było bardziej wiarygodnie – swoje własne. To zdjęcie zostało zrobione na plaży, wieczorem, gdy

nosiłam jeszcze długie włosy. Twarz jest nimi do połowy przesłonięta, bo wiał wiatr. Jako motto napisałam:

*Uskrzydłone koty mój rydwan ciągną,*

*a ja sama, niczym sokół, wypatruję tego, który będzie mi uległy...*

*Odezwij się do mnie, jeśli masz odwagę!*

Właściwie to powinnam była powołać Freyę do życia w piątek. No cóż, zobaczymy, co się stanie za kilka dni. Aby zaś intryga była intrygą, odezwałam się już jako ja do Jacka Frosta z zapytaniem, czy możemy się zobaczyć.

12 lutego, wtorek

Oto subiektywna (moja!) ocena mężczyzn na podstawie naprawdę sporej liczby spotkań. Nie liczyłam randek (tych z kandydatami poznanymi na portalu), ale było ich wystarczająco dużo, aby obsługa restauracji, w której zazwyczaj się umawiam, doskonale mnie rozpoznawała. Ciekawe, swoją drogą, co takiego myśleli sobie o mnie, gdy prawie co dzień, a czasem nawet dwa razy dziennie pojawiałam się w lokalu, zajmowałam to samo miejsce przy dwuosobowym stoliku, zamawiałam herbatę i deser i czekałam...

Oto kilka luźnych refleksji powiązanych z bardzo subiektywną charakterystyką i oceną:

1. Pytanie mężczyzny o zdjęcie jest pozbawione sensu. Panowie przysyłają zdjęcia nie swoje, swoje, ale w czapce z daszkiem, który rzuca cień na twarz, zdjęcia ze studniówki, kiedy byli piękni i młodzi, albo zdjęcia pokazujące ich w całej krasie, od pasa w dół. Tak czy owak, na spotkaniu często pojawiał się nie ten, którego się spodziewałam.

2. Pytanie mężczyzny o oczekiwania jest pozbawione sensu. Panowie najczęściej pragną bowiem poznać kobietę swoich marzeń, przyszłą partnerkę, matkę dzieciom i idealną kochankę w jednym, przy czym nie przeszkadza im wcale fakt, że już posiadają żonę lub partnerkę, troje dzieci, a na kochankę ich nie stać. Oczywiście trafiają się wyjątki, czyli panowie bardzo konkretni, którzy od razu mówią, jak wyobrażają sobie randkowanie poza portalem, i tych szanuję najbardziej – za szczerść.

3. Pytanie mężczyzny o ich pasje i zainteresowania jest ryzykowne. Panowie, których spotykałam, albo nie mieli żadnych innych zainteresowań poza wędkarstwem i piłką nożną, albo posiadali ich tak wiele, że konieczne było zamówienie kolejnego imbryczka z herbatą, żeby tego wysłuchać. Monologu, oczywiście.

4. Oczekiwanie, że mężczyzna, który adorował i obsypywał komplementami podczas bytności na portalu, okaże się romantykiem także w rzeczywistości,



to mrzonka. Panowie zazwyczaj uważali, że grę wstępną mamy już za sobą, teraz przyszła pora na uzgadnianie konkretów. Kwiatek lub opłacenie rachunku za herbatę uznawali za inwestycję i spodziewali się szybkiego zysku.

5. Mężczyźni, którzy bronili się przed przysłaniem zdjęcia, podaniem prawdziwego imienia lub numeru telefonu, zawsze mieli coś do ukrycia. Najczęściej urodę, której nie widać, ale też żonę, o której przypominali sobie, gdy pytałam, czy ta obrączka na palcu to dla ozdoby, czy dla odstraszenia nachalnych kobiet.

6. Mężczyźni, którzy już w procesie umawiania się drogą mailową sugerują najtańszy lokal, zastrzegają, że w ramach równouprawnienia kobiet i mężczyzn pozwolą kobiecie zapłacić rachunek, względnie zapłacą, ale wyłącznie za siebie, po czym zamawiają wodę mineralną – nie są wari zachodu. Wstyd związany z uczestnictwem w przykrej i żenującej scenie przekomarzania się w kwestii, kto za co płaci, dlaczego na rachunku jest kwota o 3,70 wyższa, niż to wynika z cennika w menu, i wreszcie proszenie o resztę 1,80 z 10 złotych nie jest doświadczeniem, które polecam.

7. Mężczyzna, który na spotkanie przychodzi brudny, śmierdzący, wymiętolony, ubrany tak, jakby przed chwilą wrócił z działki, także nie jest wart zachodu. Wstyd – czytaj jak wyżej.

8. Wreszcie kontynuowanie rozmowy z mężczyzną, który podczas spotkania nieustannie odbiera telefon i gada, albo z takim, co patrząc na mnie, rozgląda się na boki i bardziej interesuje tym, co dzieje się przy sąsiednim stoliku, lub, co gorsza, podrywa kelnerki, jest stratą czasu. Takiego gościa trzeba zostawić przy stoliku i pójść sobie. I tak nie zauważy. Chyba weszło mi to w krew. Spotykam się zaczęłam traktować jak pracę. Szkoda, że nie jestem socjologiem, miałabym świetny materiał na książkę.

14 lutego, czwartek

Freya zaistniała na portalu i w pierwszej kolejności przyciągnęła chętnych do służenia jej. Mężczyźni w różnym wieku literalnie odczytali motto i przeróżnej maści niewolnicy oraz oddani słudzy masowo zgłosili swoje kandydatury. W pierwszym odruchu wykasowałam wszystkie, bez szczegółowego czytania, ale potem przyszedł mi do głowy inny pomysł. Odważyłam się na innym portalu, na którym nie jest żadnym uchybieniem łamanie tabu seksu, a propozycje randek z erotyką w tle to norma. Postanowiłam sprawdzić, czy takie miejsce to internetowy dom schadzek, czy wyzuta z hipokryzji platforma do prowadzenia bardziej szczerych rozmów. I tak zaistniałam internetowo w trzech różnych odsłonach. Freya oczywiście została powołana do życia w konkretnym celu, ale ciekawym było dowiedzieć się czegoś nowego o sobie. Przecież jako ja nie mogłam już zmienić swojego wizerunku. Wbrew pozorom, na portalach randkowych pojawiają się chyba wciąż te same osoby, jest to dość ograniczona

liczebnie grupa, co mogłam zaobserwować, dopiero występując jako ktoś inny.

Freya, w moim przekonaniu kobieta dość prymitywna, bardzo bezpośrednia i nastawiona na osiągnięcie konkretnego celu, wzbudziła szalenie zainteresowanie. Nawet ja nie cieszyłam się taką popularnością. Różnica na niekorzyść Frei polegała na tym, że panowie od razu proponowali spotkanie intymne, nie bawiąc się w żadne podchody. Na portalu erotycznym było podobnie. Czułam się tam jak zwierzyna łowna, za którą podąża sfora. Najgorsze było to, że prawie nikt nie silił się na oryginalność, która mogłaby zwrócić moją uwagę, co sprowadzało ten typ kontaktu do ustaleń handlowych, ale bez ponoszenia jakichkolwiek kosztów.

Czy naprawdę istnieją dziewczyny gotowe w pięć minut zjawić się u takiego delikwenta, spędzić z nim dwie godziny i niczego, absolutnie niczego nie oczekiwać w zamian? I nie mam na myśli pieniędzy. Chyba tylko zdesperowane nimfomanki, ale po co w takim razie logować się na takim portalu? Jest znacznie więcej mniej jednoznacznych okazji. Jestem kontrowersyjną duszą, zaczęło mnie zatem kusić, aby przejrzeć ogłoszenia już bardzo jednoznaczne i porównać ich autorów z ludźmi z portali oraz skonfrontować ich oczekiwania. Ale to jeszcze zostawiam przyszłości.

Na razie skupiałam się na roli Frei. Pierwszy sukces odniosłam, gdy odezwał się do niej pewien Jarek, lat 32. Ów dżentelmen umówił się wcześniej ze mną, zrobił na mnie bardzo pozytywne wrażenie, gdy rozmawialiśmy przez internet. Nie sprawdzałam go w kartach. Tymczasem on na pierwsze spotkanie nie przyszedł, na drugie pojawił się z półgodzinnym opóźnieniem. Nic nie zamawialiśmy, ponieważ zaraz po zdawkowym „Dzień dobry” padło „To ile za godzinę?”. Nie zrozumiałam w pierwszej chwili. „Ile? Czego ile?” „Oj, daj spokój, przecież wiem, że na tych portalach randkowych pojawiają się wyłącznie kobiety szukające finansowych opiekunów. Ty masz jeszcze dużo do zaproponowania, ale też bez przesady. A więc ile i od razu mówię, że nie jestem milionerem!”. Pożegnałam się z gościem. Potem zasypywał mnie inwektywami i obelgami tak długo, dopóki nie zgłosiłam tego faktu administratorowi portalu.

Freya nie jest grzeczną dziewczynką. Zgodziła się z nim spotkać, ale zażądała, aby na spotkanie przyniósł jej bukiet tulipanów. Koniecznie różowych. Pan Jarosław zgodził się, spotkanie zostało umówione. Tym razem Jarek nie spóźnił się, kwiaty ścisnął w łapie. Obserwowałam go z bezpiecznej odległości, siedząc pod ścianą, w cieniu, w tej samej restauracji. Po dwudziestu minutach Freya poinformowała SMS-em, że paznokieć jej się złamał i nie przyjdzie. Gdy padło pytanie, to kiedy, bo kwiaty więdną, odpisała: „Za tydzień. Kup nowe”. Jarosław ze złością rzucił bukiet na stół i odszedł.

Na spotkanie z Jackiem Frostem umówiłam się na jutro. Tak zwana rozmowa ostatniej szansy. Frost zdążył zauważyć profil Frei. Pierwsze „cześć” już

padło. Ciekawa jestem, co mi jutro powie. Na portalu erotycznym uczę się, jak wywoływać największe zainteresowanie kobietą. Zwykle świntuszenie to za mało. Stałam się bardziej wyrafinowana. Ta wiedza przyda mi się później.

Na koniec smutna refleksja: czy w ogóle istnieją mężczyźni, którzy realnie i szczerze szukają właściwej partnerki? Do tej pory nie znalazłam potwierdzenia. Może moje kryteria poszukiwań są niewłaściwe? Może nie mam pojęcia, czego oczekują mężczyźni? Stawiam sobie zatem nowe wyzwanie: będę umawiać się z różnymi panami, rozmawiać z nimi i na tej podstawie wykreuję obraz mężczyzny, którego przyciągam. Dopiero wtedy skonfrontuję to z własnymi oczekiwaniami i postanowię, co dalej. Karty mi w tym pomogą. Każdego kandydata sprawdzę przed spotkaniem, potem porównam przepowiednię z wrażeniami ze spotkania. Może spotkam w końcu tego jednego jedyne...

16 lutego, sobota

Spotkanie z Jackiem Frostem przebiegło spokojnie. Najpierw chwilę porozmawialiśmy o niczym, potem ja patrzyłam w okno, on w sufit. Wreszcie uznałam, że nadszedł właściwy moment na podjęcie tematu. Usiadłam wygodniej w fotelu i zapytałam:

– Słuchaj, chciałabym, żebyśmy coś sobie wyjaśnili. Przyjechałam dziś nie dlatego, że chcę znowu zaczynać, ale dlatego, że czuję się źle przez ciebie potraktowana. Powiedz mi, ale szczerze, po co się ze mną umawiałeś? Chodziło tylko o seks?

Na to Jack Frost spojrział przelotnie na mnie i odparł:

– No nie... nie tylko... wiesz, ja szukałem... wciąż szukam kobiety swojego życia i myślałem, że ty nią jesteś, i w zasadzie nie wiem, dlaczego tak uważasz. Nie potraktowałem cię źle, sama chciałaś. Ja nic ci nie obiecywałem. Wiesz... to powinno być spontaniczne...

– Co powinno być spontaniczne? – parłam uparcie do przodu.

– Noo... takie relacje na dłużej. Przecież wszystkie ustalenia to i tak tylko nasze subiektywne wyobrażenie rzeczywistości. Myślałem, że to rozumiesz. Człowiek nie jest z natury przyzwyczajony do ograniczeń, wolność, oto do czego powinien dążyć.

Gdy rozmawialiśmy, ja patrzyłam mu prosto w oczy, on przed tym spojrzeniem uciekał.

– No dobrze – powiedziałam spokojnie, choć gula podchodziła mi do gardła.

– To twoim zdaniem, jakie było to subiektywne wyobrażenie naszej znajomości? Jak je nazwiesz?

Gdy obserwowałam, jak wije się podczas tej rozmowy, gruntowało się we mnie przekonanie, że powinien dostać porządną nauczkę.

– Fajny seks i już – wypalił Jack Frost. – Nie spodziewałaś się chyba nic więcej....

Spodziewałam się. Niestety. Dostałam tymi słowami jak butem w twarz. Nie powiedziałam nic więcej, wstałam i ruszyłam w stronę drzwi.

– Słuchaj, ale może nie zrywajmy tej znajomości! – dobiegł mnie jeszcze głos Frosta. – Mój pies cię uwielbia! Może wyskoczymy jeszcze kiedyś razem do parku pobiegać?

21 lutego, czwartek

Coś we mnie pękło. Uciekło, zniknęło. Stałam się bardziej zimna, wyrachowana, bardziej kalkulująca. Ojciec ma rację, trzeba szukać partnera, który przede wszystkim zapewni mi byt, materialne poczucie bezpieczeństwa, a miłość przyjdzie sama, a jeśli nie przyjdzie, to też nic się nie stanie.

Łukasz zaprosił mnie na elegancki bankiet zorganizowany w jego firmie. Jak zwykle musiałam ubrać się w szcudła zamiast butów. Łukasz zaproponował, abyśmy udali się na bankiet autobusem. Mój dom od przystanku dzieliło mniej więcej 30 metrów chodnika. Co ja przeżyłam, to moje. Chyba jakiś zdecydowany antyfeminista zaprojektował ten chodnik, pełen nierówności i przerw między płytami. Drobiłam jak gejsza, a Łukasz zrobił dwa kroki i już był na miejscu. Zobaczyłam nadjeżdżający autobus i przyśpieszyłam kroku. Zaczęłam nawet biec, co groziło połamaniem nóg. W ostatniej chwili wpadłam do autobusu, ten od razu ruszył, a ja siłą rozpędu przeleciałam jak pocisk przez cały pojazd, zatrzymując się dopiero przy ścianie oddzielającej stanowisko kierowcy. Ten bez słowa otworzył maleńkie okienko i podał mi bilet. Nie miałam przy sobie drobnych, Łukasz podszedł i uregulował, w tej samej chwili rozpoczęła się kontrola. Widziałam podziw dla mojej przewidywalności w oczach Łukasza, on ma kartę miejską i nie musi myśleć na co dzień o kupowaniu biletów.

Autobus zatrzymał się parę metrów od przystanku, ja stałam akurat przy tych drzwiach, z których po wyjściu wpadało się w sporą kałużę. Nie było czasu, żeby przebiegać do innych. Łukasz podał mi rękę, ale i tak musiałam zrobić szpagat, żeby nie wylądować w błocie. Usłyszałam trzask, to moja spódnica zyskała znacznie większy rozporek. Gdy weszliśmy do budynku, jeszcze tu nie była, zauważyłam, że posadzka wyłożona jest marmurem, złośliwie wypolerowanym na wysoki połysk. Miałam serdecznie dość wszelkich bankietów, ale skoro już przyszłam... W większym pokoju stały stoły zastawione doskonałym jedzeniem, w mniejszym ustawiono małe stoliczki dla gości. Oba pokoje są ze sobą połączone, ale też wyposażone w niezależne wyjścia, które teraz były otwarte. Prezes firmy stanął w drzwiach łączących oba pokoje i wygłosił przemówienie powitalne. Gdy tak mówił i mówił, ludzie, którzy stali obok mnie, stopniowo znikali. I nie mam tu na myśli dematerializacji – oni po prostu wymykali się do sali z cateringiem. Na koniec oklaski biłam ja, pani sekretarka i Łukasz.

Panowie w garniturach za ciężkie pieniądze i panie w sukienkach tak drogich, że nawet do głowy by mi nie przyszło, że można tyle pieniędzy wydać

naraz (o ile nie kupuje się domu z garażem), tłoczyli się przy zastawionych stołach, cisnęli jedni na drugich, przepychali łokciami, żeby tylko zdobyć kawałek kurczaka w curry i łyżkę ryżu z warzywami. A o serdelki w sosie pomidorowym rozpętała się prawdziwa wojna. Ponieważ ekstremalne obcasy pozbawiają mnie poczucia bezpieczeństwa, postanowiłam zacząć od deseru i owoców, tam nikt nie podchodził. Gdy napełniłam talerzyk, musiałam zmierzyć się z kolejną zgorą takich spotkań – brakiem miejsca do jedzenia. Nie umiem jeść w powietrzu, mój wzrost stałby się tutaj atutem, bo spokojnie mogłabym jeść, stawiając talerzyk na parapecie, ale byłoby to niegrzeczne wobec Łukasza. Żal mi się go zrobiło. Nawet gdyby zajął cały stoliczek, to i tak zmieściłyby się na nim tylko jego pięści.

Ponieważ jestem z natury osobą bardzo komunikatywną, nawiązałam niezobowiązującą konwersację z pewną dystyngowaną parą. Oboje elegancyści, po sześćdziesiątce. Już po kilku zdawkowych zdaniach wstępnych zaczęli mnie instruować, jak można wygodnie i oszczędnie żyć. Nie chodzi oczywiście o gospodarowanie z ołówkiem w ręku. Owa dystyngowana para żyła wedle grafiku spotkań oficjalnych i nieoficjalnych. Rano przeważnie pojawiali się w hotelach, wyłuskując konferencje i seminaria. Serwuje się wówczas kawę i coś do kawy. Potem kanapeczki na drugie śniadanie. Następnie obiad, bo trzeba przecież zjeść coś ciepłego, a więc jakieś warsztaty. Na koniec kolacja w postaci bankietu lub poczęstunku po prelekcji. Najgorsze, ich zdaniem, były niedziele, bo wtedy poza śniadaniem rzadko trafia się coś konkretnego.

Łukasz przedstawiał mnie swoim znajomym guliwerom. Czułam się jak dziecko, które przyszło z rodzicem do jego pracy. Przypomniałam sobie, że tego etapu w moim życiu nigdy nie lubiłam. Na koniec Łukasz włożył na mnie cudzy płaszcz, przez dłuższą chwilę szukaliśmy się, przechodząc przez niezliczoną liczbę drzwi – ja w prawo, on w lewo, ja w lewo, on w prawo, ja w prawo, on w prawo, ale wolniej, kiedy ja szybciej. Gdyby nie to, że ktoś zderzył się ze mną podczas kolejnej rundy i w ten sposób spowolnił mój ruch, pewnie dotąd byśmy się tam ganieli. Potem Łukasz skierował się w stronę przystanku, a mnie łzy napłynęły do oczu. Ledwo stałam, od dziś bardzo, ale to bardzo szanuję pracę baletnic. Złego słowa nie dam na nie powiedzieć, tyle godzin na palcach. Nie wytrzymam dłużej tej znajomości, tych poświęceń, nogi zaraz będę miała do wymiany, od zadzierania głowy do góry szyja wydłużyła mi się z jednej strony.

22 lutego, piątek

Rozpoczęłam grę z Jackiem Frostem. Nie do końca sprecyzowałam, co właściwie chcę osiągnąć, ale postanowiłam, że nie zostawię tego tak po prostu. Tyle razy wycofywałam się z różnych relacji, ustępowałam pola, bo trwałam w przekonaniu, że tak będzie lepiej. Gdy ktoś mnie nie chce, nie będę się narzucać. Owszem, ale tym razem zdałam sobie sprawę, że to jest kolejna z podobnych, powtarzających się historii. Świętą w końcu zostanę. Bardzo nieszczęśliwą świętą.

Klientom zalecam kończyć niezakończone, a sama kładę uszy po sobie i uciekam. Fakt, miała to być forma zemsty, ale przecież jak nikt znam się na manipulacji i ludzkich reakcjach. Mam przewagę w postaci karcianego podglądu, dlaczego miałabym tego nie wykorzystać, aby utrzyć mu nosa!

To było dla mnie jak przyoblekanie się w obcą skórę. I tylko skórę – emocje i uczucia pozostawały na zewnątrz. Musiałam na chłodno kalkulować i oceniać sytuację. Nie mogłam zdradzić, że wiem więcej, niż wiem. Ale i tak Jack Frost był nadzwyczaj wylewny. Opisywał Frei swoje przygody z kobietami, rozwodził się nad tęsknotą za żoną, która go porzuciła, kochanką, która wybrała bogatszego, i przyjaciółką, która wyjechała daleko. Ja jako ja nie pojawiłam się w żadnej z tych historii. Nawet gdy Freya zapytała, czy spotykał się z kimś ostatnio, odpowiedź była przecząca. A jakieś luźne znajomości? Ot, taka przelotna, oparta na seksie, nie warto nawet wspominać! (to chyba chodziło o mnie?..).

Bolały mnie te słowa, paliły jak rozżarzone węgle kładzione prosto na serce i duszę, tym bardziej że wczoraj Jack Frost zadzwonił do mnie, pół godziny przeproszał, przez kolejną godzinę opowiadał trudną historię swojego życia, której nikt nie zna (Freya poznała ją już po tygodniu mailowej znajomości!), a wszystko zakończył błagalnym „Dajmy sobie szansę!”.

Oczywiście, ja jestem kryształem bez skazy, zgodziłam się. Umówiliśmy się na wieczór. Postanowiłam, że właśnie dziś Jack Frost pozna moje drugie oblicze, trochę podobne do tego, które prezentuje Freya. Powinno mu się spodobać, prowokacyjne, kuszące i nieprzewidywalne. Freya również przystąpi do działania, padną zdecydowane propozycje. Którą opcję wybierze Jack Frost, jak się zachowa? Po swojemu piszę: zobaczmy.

23 lutego, sobota

Spotkałam się z Jackiem Frostem i rozmowa (podkreślam, rozmowa!) była frywolna i pełna polotu jak nigdy. Erotyzm wisiał w powietrzu i nie opadał. Kusiłam go i prowokowałam, aż padło „Czy zostaniesz na noc?” „Nie, nie mogę, już późno”...

Umówiliśmy się na piątek. Na osiemnastą. Ja oczywiście już wiem, że akurat w piątek o osiemnastej coś mi wypadnie i zaproponuję dwudziestą. Ciekawa jestem, co zrobi Jack Frost, bo Freya właśnie zaczęła sugerować, że powinni się spotkać. Ona oczywiście będzie mogła tylko w piątek wieczorem. Jutro to rozegram. Mam plan.

24 lutego, niedziela

Jack Frost koresponduje z Freyą jak natchniony. Opisuje jej swoje fantazje erotyczne, które są uderzająco podobne do tych, o których ja mu opowiadałam. Freya idzie na całość i proponuje seks w trójkacie, seks w miejscach publicznych, seks typu BDSM, cockold, itp. Wszystko mu się podoba. Wszystkiego chciałby doświadczyć, najchętniej od razu. Freya zapytała, czy Jack Frost spotyka się z kimś

aktualnie. Owszem, z jedną taką. Padła wymijająca odpowiedź. No, to Freya proponuje trójkącik. Frost się waha, może później, teraz ona chyba się nie zgodzi... Zaproponuj, kusi Freya, będzie fajnie. No i czekam, aż mi pan Jack Frost zaproponuje trójkącik z Freyą. Na pierwszym spotkaniu wyraźnie podkreśliłam, że nienawidzę tłumów, zwłaszcza w łóżku. Komunikat był wielokrotnie ponawiany. Na razie cisza.

25 lutego, poniedziałek

Poznałam ciekawego faceta. Przyszedł sobie powróżyć. To rozwodnik po czterdziestce z niedużym brzuszkiem, policjant. Taki sobie przeciętniak. Miło mi się z nim gawędziło, kiedyś tam kurtuazyjnie zaprosił mnie na „kawę”. Mogłabym sobie rękę dać uciąć, że gdy tylko wyszedł, to już o mnie zapomniał i obracał w myślach tylko to, co karty mu powiedziały. Tymczasem wysłał mi rano SMS-a, potem kolejnego i jeszcze następnego. Prawdziwy sekstelefon. Nigdy się tak nie bawiłam z nikim i trochę byłam zdezorientowana na początku, ale potem mnie wciągnęło. Przy okazji zastanawiałam się, czy pan policjant w tym czasie przesłuchuje podejrzanego, pisząc gdzieś pod biurkiem świńskie SMS-y, albo może jest na obserwacji i nic się nie dzieje, więc sobie pisze...

26 lutego, wtorek

Dziś pracowałam z bardzo specyficzną klientką. Wykształcona, jej mąż zarabia na dom, ona pracuje okazjonalnie. Ludzie bardzo zamożni. Z roku na rok dochodzili do większego majątku, przy czym pracował głównie mąż. Pewnego dnia zastał w domu zamiast żony i dzieci karteczkę z informacją, że się wyprowadzili. Zabrali prawie cały dobytek. Mężczyzna przestraszył się, że to porwanie, i zgłosił sprawę na policji. W odwecie żona oskarżyła go o psychiczne i ekonomiczne znęcanie się nad rodziną. Wniosła pozew o rozwód z jego winy. Przez godzinę starałam się dowiedzieć, o co mam zapytać moje karty. Ona twierdziła, że nie chce mieć z nim nic wspólnego, a jednocześnie oczekuje, że mąż będzie troszczył się o nią i dzieci, uczestniczył w życiu domowym, mniej pracował, częściej bywał w domu. W kontekście owej wyprowadzki brzmiało to jak żywy absurd. Pytała, czy ją kocha, czy zrezygnuje z pracy, a gdy okazało się, że jest to możliwe, wtedy stanowczo zaprotestowała, bo przecież nie może sobie pozwolić na obniżenie standardu życia dzieci. Nie przekonało jej, że karty nie mają mocy sprawczej i nie mogą nikomu niczego kazać. Z ciekawości zapytałam o ten standard, tasując karty. Dowiedziałam się, że każdy odpowiedzialny rodzic powinien zapewnić dziecku: transport do szkoły w postaci auta z kierowcą, osobistą nianię, kilku korepetytorów (każdy z innej dziedziny) bez względu na osiągnięte wyniki, zajęcia z jogi, pływania, jazdy konnej, gry na fortepianie, tańca towarzyskiego, lepienia z gliny, z szachów i może jeszcze warsztaty aktorskie. Przestrzeń osobista optymalna dla nastolatka to przynajmniej trzydzieści metrów kwadratowych pokoju, przez okno powinien on widzieć zieleń. Dieta bogata w białko i wartości odżywcze znajdujące się

na przykład w owocach morza, kawiorze, szparagach i truflach. Wakacje koniecznie poza Europą, bo to bardziej rozwija. Średni koszt miesięcznego utrzymania jednego dziecka pani oszacowała na około 50 tysięcy złotych. Pan podobno uznał tę kwotę za zawyżoną i gotów był płacić tylko 30.

Najciekawsze w tym wszystkim, że ofiara przemocy psychicznej była niezwykle agresywna i napastliwa, często wypowiedzi pani stały ze sobą w sprzeczności. Na koniec spotkania wyszło nam bowiem, że pani chce, aby pan spędzał siedem dni w tygodniu w domu, razem z rodziną, ale żeby to nie był ten dom, w którym teraz przebywa ona z dziećmi, żeby nie zbliżał się do nich, jednocześnie utrzymując stały kontakt z dziećmi, żeby przelewał pieniądze na konto, którego ona mu nigdy nie ujawni, bo boi się podstępu z jego strony, i żeby milczał, kiedy do niej mówi. Cokolwiek jej powiedziałam, to nie było to, czego oczekiwała. Gdy wyszła, położyłam się spać. Pies i papuga zastygły przy drzwiach pokoju niczym dwa sfinksy pilnujące dostępu do mnie. Zanim zasnęłam, pomyślałam jeszcze, że to zwierzęta zapewniają mi w sensie emocjonalnym to właśnie, czego najbardziej potrzebuję – psychiczne wsparcie.

27 lutego, środa

Pani z wczoraj zatelefonowała do mnie i oświadczyła, że po naszym spotkaniu była zmuszona skorzystać z pomocy terapeuty, 550 złotych za godzinę. Terapeuta uznał, że rozmowa ze mną jej szkodzi, i należy to jak najszybciej przerwać, co niniejszym pani czyni. Oświadczyła jeszcze, że wyjeżdża do Tybetu medytować w klasztorze mnichów. Rozłączyła się. Dziwny dzień. Pod znakiem samych niespodzianek. Na portalu randkowym odbyłam kilka niezwykle interesujących rozmów, oto one:

- *Jesteś taką drapieżną kocicą! Nie widziałem cię jeszcze, a już nie mogę przestać o tobie myśleć! Spać nie mogę, a jutro na piątą do pracy!*

- *Jesteś jak czarodziejka, nimfa, wróżka, syrena, diabełek i aniołek w jednym... Cieszę się, że cię poznałem, choć wiem, że nigdy mnie nie pokochasz. Ale dzięki tobie czuję się spełniony jako mężczyzna, dziękuję... masz jakieś swoje nagie zdjęcia?*

- *Nie odzywasz się do mnie?! Jesteś podłą suką, która puszcza się z każdym, kto na nią skinie! Z kim się teraz gonisz? Myślisz, że mi na tobie zależy? Nigdy mi się nie podobałaś! Z litości do ciebie pisałem! Masz nieproporcjonalne rysy twarzy, oczy za blisko osadzone i takie diabelskie, kartoflany nos i nieforemne czoło i w ogóle jesteś genetycznie upośledzona, powinni cię ukatrupić po urodzeniu. Rozmnożyłaś się już? Mam nadzieję, że nie, bo wtedy twój pomiot też należałoby zmasakrować. Jesteś potworkiem.*



*Mogę zadzwonić? Umówisz się ze mną?*

*• No właśnie... a może chociaż jesteś dewiantem, zboczeńcem, pedofilem?*  
:-)

*• Niestety, nuda, nuda, nuda,*

*Kiedyś to skakałem z kwiatka na kwiatek, a teraz taaaka nuda :-).*

*I po co się zmieniałem... to nie pociąga kobiet... normalność i stabilizacja :-)*

*• Powiało nudą... normalny? Zdrowo myślący? Nie dla mnie...*

*• Jesteś jak porcelanowa laleczka, malutka, ultra-krucha i delikatna :-)*

*• Tak, musisz bardzo uważać, bo coś mogłoby mi odpaść przy niedelikatnym obchodzeniu się...*

*• Nawet ustami?*

*• To zależy, czego mocniej dotkniesz...*

*• Pięknie powiedziane. A pozwalasz się kochać fizycznie?*

*• Do tego bardziej się nadaje szmaciana lalka, mnie się raczej ogląda i podziwia :-)*

*• Bywasz taką szmacianką?*

1 marca, piątek

Przez ostatnich kilka dni funkcjonowałam w trzech osobach. Jako ja, jako Freya i jako jeszcze jedna osoba, która zaistniała na kolejnych portalach randkowych. Nie znalazłam w sobie dowcipu i używałam pseudonimu Syrenka. Odpowiedziałam na kilka ogłoszeń z gatunku „pan szuka pani, którą z przyjemnością wesprze”... Nie były to ogłoszenia z rubryk towarzyskich, bo te uznałam za bardzo oczywiste. Skoro na erotycznym portalu randkowym proponowano mi spotkania w celu uprawiania seksu bez zobowiązań, to po co ktoś zamieszcza ogłoszenia, w których sugeruje to samo, ale z wkładką materialną?

No cóż, poczekam i zobaczę, czy i kto się odezwie. Nie, to nie obsesja czy uzależnienie. Nic z tych rzeczy. Przeciwnie, jestem już trochę zmęczona i zniechęcona. Odnoszę wrażenie, że wiele osób pojawia się na kilku portalach,

czasem pod tym samym nickiem, czasem pod innym. Przypomina to zabawę określonej grupy ludzi, którzy zostali zamknięci w jednym pomieszczeniu. Z początku ekscytacja, potem znudzenie, wreszcie frustracja, bo wciąż te same gęby dookoła. Dlatego wpadłam na pomysł, żeby zbadać wszystkie chyba dostępne portale randkowe. Postanowiłam, że wrażenia będę opisywać na bieżąco, co jakiś czas czyniąc podsumowania lub refleksyjne wpisy. Może na coś się to przyda, może nie, ale teraz to prawie moje hobby. Karty przepowiedziały mi, że poznam właściwego mężczyznę w najmniej oczekiwanych okolicznościach. A więc: do dzieła! Przyznaję rację panu Przemkowi: jestem trochę nienormalna i mocno nieprzewidywalna. Trudno. Taka już jestem. Nie mam nic do stracenia!

Odpowiedziałam na prawie trzydzieści ogłoszeń w mniej lub bardziej dosłowny sposób oferujących sponsoring za seks. Ciekawi mnie, kto się za nimi kryje. Wybrałam ogłoszenia mężczyzn w wieku od 34–48 lat. Bez żadnych specjalnych wymagań lub oczekiwań. W niektórych pojawiały się hasła, że sponsoring to tylko dodatek do ewentualnej przyjaźni, miłości. Ciekawa jestem, jak to funkcjonuje. Przygotowałam sobie atrakcyjne zdjęcie, ale oczywiście bez nagości, i czekam. Jutro sprawdzę pocztę.

Na „tradycyjnym” portalu kilka zaproszeń na randki. Umówiłam się dziś i spotkałam z pewnym osobnikiem, który utrzymywał, że jest wysokim, zadbanym, kulturalnym i zamożnym biznesmenem. Pojawił się człekokształtny potwór w dżinsach wypchanych na kolanach i starym zmechaconym swetrze. Od razu postanowił, że nic nie zamawiamy, bo zapomniał portfela. Najgorsze były te jego włosy w nosie. One żyły i rosły cały czas. Nie mogłam na to patrzeć. W końcu zaprzyjaźniony kelner wybawił mnie z opresji i stanowczo poinformował nas, że musimy niezwłocznie opuścić lokal, bo zaraz przyjadą weselnicy. Puścił przy tym do mnie oko. Jestem mu ogromnie wdzięczna. Facecisko oczywiście się obruszyło i wyszło pierwsze, informując mnie kulturalnie, że to koniec spotkania, bo on musi jeszcze skoczyć do kibla. On skoczył, ja uciekłam.

2 marca, sobota

Cały dzień przed komputerem. Zarówno odpowiadałam na pytania klientów, jak i na pytania potencjalnych kandydatów na randkowiczów. Znalazłam w skrzynce kilkanaście wiadomości od autorów ogłoszeń dotyczących sponsoringu. Wszystkie o podobnej treści: ile mam lat, jakie wymiary, czym się zajmuję, co lubię i oczywiście prośba o zdjęcie. Na razie nie ma mowy wprost o kwestiach finansowych, to pewnie pojawi się później, gdy zostanę zweryfikowana pozytywnie na podstawie zdjęcia. Dziś podrywał mnie policjant. Uwielbiam policjantów w mundurach. Może dlatego mam do nich takie szczęście. Wszystko rozegrało się przez przypadek. Gdy wysiadłam z samochodu, wrzuciłam kluczyki byle jak do torebki i poszłam na pocztę. Wracałam z ogromną paczką, którą trzymałam jedną ręką, torebkę niosłam w drugiej. Nagle zaczął dzwonić telefon.

Oczywiście gdzieś na samym dnie. Stałam przy samochodzie, ale kluczyki też znajdowały się gdzieś w torebce. Paczka była duża i nieporęczna, zsuwała się z maski auta. Więc wywaliłam zawartość torby na chodnik, wygrzebałam telefon i zaczęłam rozmawiać, stojąc przy tym stosiku. W tym samym czasie przejeżdżał obok radiowóz. Panowie policjanci uznali, że zostałam napadnięta i wzywam pomocy. W ten sposób niejaki Mariusz otrzymał mój numer telefonu, a ja zostałam zaproszona na kawę.

7 marca, czwartek

Czwartkowy wieczór poświęciłam na gorące esemesowanie z Jackiem Frostem. Kolejny list wysyłam dziś, bo jutro pierwsze starcie.

*Drogi Czytelniku Moich Listów!*

*Dziś przeżyłam przezabawną historię, która jednocześnie skłoniła mnie do refleksji i zadania sobie bardzo ważnych pytań. Ciekawa jestem również Twoich odpowiedzi i żałuję, że prawdopodobnie nigdy ich nie poznam.*

*Oto, co się wydarzyło: jechałam autobusem, do którego na jednym z przystanków wsiadło dwóch młodych ludzi. Jeden z nich był wysoki i dobrze zbudowany, drugi niski i drobny. Zachowywali się bardzo hałaśliwie, zaczepiali pasażerów, głównie kobiety. W autobusie jechało kilku mężczyzn i to bynajmniej nie stuletnich starców na wózkach inwalidzkich. Jednak żaden z nich nie zareagował, odwracali głowy do okna. Gdy ten karłowaty zaczął szarpać się z młodą dziewczyną, bliską płaczu, wstała kobieta słusznej postury, podeszła do napastnika i podniosła go do góry za pachy. Zawodnik był tak zaskoczony, że ani drgnął. Kobieta przeniosła go na czoło autobusu, kierowca zatrzymał pojazd, otworzył drzwi i agresor został wypchnięty wprost na stertę śmieci. Drzwi się zamknęły, autobus odjechał.*

*Kiedy indziej w tramwaju rozegrała się inna scena: młody chłopak stał oparty o poręcz, na wprost otwartych drzwi. Motorniczy czekał na zmianę świateł. Na wprost wejścia znalazło się przejście dla pieszych. Biegła po nim kobieta objuczona siatkami pełnymi zakupów. W ostatniej chwili dopadła tramwaju, który już miał odjechać. Potknęła się, gdy tramwaj ruszył i upadła na kolana przed stojącym chłopakiem. Jej nos znalazł się dokładnie na wysokości jego rozporka. Podniosła głowę i wykrzyknęła na cały tramwaj: „Chciałam zdążyć, kiedy jeszcze stał!”. Chłopak zaczerwienił się, ominął kobietę i uciekł na koniec wagonu, co i tak nie pomogło, bo wszyscy pasażerowie płakali ze śmiechu. Kobieta podniosła się i rzekła: „Cóż, ci młodzi są dziś tacy płochliwi”.*

*Na koniec historia rozciągnięta w czasie, ale też dająca do myślenia. Oto pewien młody człowiek zaczął zaczepiać dziewczynę, przesyłając jej wiadomości różnej maści, przeważnie erotyczne. Proponował wyuzdany seks we wszystkich możliwych pozycjach i miejscach. W końcu ją skusił. Zgodziła się spotkać z nim w jednym z centrów handlowych, udać się tam do sklepowej przebieralni i dać wykorzystać*

*seksualnie. Poszli, centrum handlowe było zatłoczone jak zwykle. Wybrali jeden z droższych sklepów, licząc na mniejszą frekwencję wewnątrz. Gdy znaleźli się w przebieralni, mężczyznę strach obleciał. Tak się biedak zestresował podczas rozpinania rozporka, że upadł na lustro, które potłukło się w drobny mak. Dziewczyna zdążyła już się do połowy rozebrać, niestety, jej garderobę pokryły kawałki szkła. Zaniepokojona hałasem obsługa sklepu wtargnęła do przebieralni, na to pan zemdlął, upadając na szkło.*

*Co wynika z tych historii? Ano pytanie: gdzie się podzieli ci prawdziwi mężczyźni, odważni, pomysłowi, nieustraszeni? Ratujący z opresji, zasłaniający własną pierś, niezwyknięci, niezłomni w każdej sytuacji... Po prostu mężczy... A może prawdziwych kobiet też już nie ma?... Tych subtelnych, delikatnych, wrażliwych, obdarzonych wdziękiem motyla?... Po prostu kobiecych...*

*Pozdrawiam. E.*

8 marca, piątek

Piątkowe spotkanie zostało zaplanowane w najdrobniejszych szczegółach. Truskawki w czekoladzie, krewetki, winogrona w karmelu, szampan i kąpiel w płatkach róż. Wszystko w romantycznym mieszkanku Frosta. Ja miałam zadbać wyłącznie o własny *entourage*. W piątek po południu przystąpiłam do działania. Frost nie mógł się powstrzymać i zajrzał – ku mojej satysfakcji – do skrzynki pocztowej na profilu randkowym. Czekają już na niego soczyste informacje od Frei. Kusicielka proponowała spotkanie w piątek wieczorem, może nawet w towarzystwie równie gorącej koleżanki. Frost nie byłby sobą, gdyby nie zareagował. Tłumacząc się ważnymi obowiązkami służbowymi, sugerował spotkanie w sobotę, dopytywał się, jak wygląda koleżanka i co potrafi. Freya domagała się jednak piątku. Przydało mi się doświadczenie zdobyte na erotycznych portalach randkowych, puściłam wodze fantazji i zadziwiłam samą siebie. Było gorąco, namiętne i bardzo perwersyjnie. Chyba rozważę podjęcie pracy w charakterze seks-telefonistki.

Freya okazała się doskonałą kusicielką. Frost umówił się z nią na dwudziestą pierwszą. U niej w domu. Niedługo po siedemnastej wysłałam do amanta wiadomość, że się spóźnię. Frost w tym czasie uzgadniał z Freyą szczegóły pikantnego spotkania. Mieszkanie, do którego go zapraszała, znajdowało się dość blisko mojego. Frost ustalił, że przyjedzie około dwudziestej pierwszej. Gdy nie pojawiłam się u niego o dziewiętnastej, zaczął się denerwować. Oczywiście, wciąż słałam informacje, że już wychodzę z domu, że już jadę, że zaraz będę. Dotarłam na miejsce na kwadrans przed ósmą. Zanim wysiadłam z samochodu, wysłałam w imieniu Frei ostatnią wiadomość do Frosta, że obie z gorącą Samantą czekają na niego w samych pończoszkach. Trzeba przyznać, że Jack Frost umie zadbać o oprawę wieczoru. Na niewielkim stoliczku w pokoju stały talerzyki

z truskawkami, winogronami, czekoladą, krewetkami i innymi smakołykami. Dobry szampan, dwa kieliszki, świece, delikatny zapach i dyskretne światelko lampki. Wodę w wannie wymieniał trzy razy, ale wspomniał o tym tylko raz. Weszłam, usiadłam na fotelu i zaczęłam zalotnie bawić się rąbkiem sukienki.

„To co? Może zaczniemy od...?” – zamruczał Jack Frost i zamknął mnie w ramionach. Poczułam na policzku szorstki zarost i cudowny zapach jego wody po goleniu. Przez ułamek sekundy chciałam zrezygnować z intrygi i poddać się chwili i emocjom, które jej towarzyszyły. Ogarnęły mnie wątpliwości, może to ja jestem wredna, nieuczciwa, zła, bo on się tak postarał, a ja go źle oceniam. W końcu Freya to też ja, jestem w tym dobra, skusiłam go, każdy mężczyzna by się skusił. Frost całował namiętnie moją szyję, a mnie miękkie kolana. I pewnie cały misternie uknuty plan spaliłby na panewce, gdyby nie fakt, że Frost zaczął się śpieszyć. Pocałunkom towarzyszyły szybkie ruchy rąk. Bardzo sprawnie rozpiął wszystkie guziki i suwak i pozbawił mnie garderoby. Jeszcze szybciej rozebrał się sam. Potem ciach i znaleźliśmy się w łóżku jak na filmie puszczoneym w przyśpieszonym tempie. To mogło mi się nie spodobać, zaczęłam więc przekornie „uciekać” przed nim, śmiejąc się przy tym w głos. Frost też się roześmiał, ale gdy po kilkunastu minutach wciąż bawiliśmy się w łóżku w ciuciubabkę, nie było mu już do śmiechu. Zauważyłam, że zaczął coraz częściej nerwowo zerkać na zegar wiszący na ścianie. Zbliżała się bowiem dwudziesta pierwsza.

– Wiesz, przygotowałem ci kąpiel w pianie i płatkach róż... – zaczął Frost.  
– Wiem, że lubisz się moczyć... A ja w tym czasie...

– Och, cudownie... – Uśmiechnęłam się i sięgnęłam do talerzyka z winogronami. – A ty w tym czasie pomoczysz się razem ze mną – wyszeptalam mu do ucha. – Zabierzemy do wanny szampana i truskawki...

Frost wzdrygnął się nieco, zawahał, po czym powiedział:

– Dobrze, to idź pierwsza, ja zaraz dołączę.

Komputer był włączony, wiedziałam, że chce powiadomić Freyę o nieoczekiwanych przeszkodach.

– Nie, chodź ze mną, weź mnie na ręce i zanieś do wanny! – Zarzuciłam mu ręce na szyję i przyssałam się do ust. Frost nie miał wyjścia. Podniósł mnie i poniósł do łazienki. Tam, stojąc nad wanną, pochylił się, żeby mnie do niej włożyć. W ostatniej chwili uczepliłam się go znowu, krzycząc, że woda jest zimna. Frost stracił równowagę i oboje wylądowaliśmy w pianie. Nie czekając, szybko uruchomiłam prysznic. Frost nie był rozradowany, bo oto leżał teraz ze mną w wannie, cały mokry, a tam przecież Freya czeka... W pończoszkach...

– Wyskoczę po tego szampana... – wymamrotał.

Pozwoliłam mu pójść. Gdy gmerał przy komputerze, szybkoitko udałam się do przedpokoju, gdzie zostawiłam torebkę. W telefonie sprawdziłam, co napisał.

Tłumaczył, że w biurze dłużej go zatrzymano i może już dziś nie dotrzeć na harce. Proponował sobotę wieczorem. Freya nie odpisała, bo nie zdążyła, musiałam przecież wrócić do wanny. Frost także do mnie dołączył. Gdy usiadł w pianie, ja wstałam.

– Wiesz, muszę wracać do domu – zaczęłam, a on patrzył na mnie ze zdumieniem. – Sąsiadka zatelefonowała, że pali się mieszkanie w moim budynku i lepiej będzie, jeśli przyjadę, bo nie wiadomo, co się wydarzy. Wybacz.

Wytarłam się, ubrałam i wyszłam. Frost pozostał sam, osłupiały. W samochodzie sprawdziłam skrzynkę wiadomości. Co było do przewidzenia, natychmiast poinformował Freyę, że nieprzewidziane wcześniej trudności już ustąpiły i jeszcze może przyjechać. Freya nic mu nie odpisała.

Ja natomiast wysłałam SMS, czy możemy skosztować zakąski jutro wieczorem, czyli w sobotę. Frost odpisał, że musi pilnie z samego rana pojechać do Krakowa. Ważny interes. A więc, do soboty, Jacku Froście!

9 marca, sobota

Od samego rana przychodziły wiadomości od Jacka Frosta. Gotów był przyjechać rano, w południe, po południu, wieczorem, w nocy. Freya nie odzywała się do czternastej. Wyraziła najpierw swoje niezadowolenie i złość na kogoś, kto wzgardził nią i jej koleżanką. Gdy Frost ukorzył się wystarczająco nisko, tłumacząc się nieprzewidzianymi komplikacjami w postaci najazdu rodziny z prowincji, awarii telefonu i zastawionego samochodu na parkingu, Freya łaskawie wyraziła chęć spotkania się dziś wieczorem. Tym razem bez Samanty, za to z Justyną. Justyna tym się różni od Samanty, że uwielbia podkreślić zabawę, wprowadzając elementy dominacji i sado-maso. Freya poinformowała Jacka Frosta, że być może dołączy do nich jeszcze jeden mężczyzna, co go trochę zbiło z pantałyku, ale się nie wycofał. Spotkanie miało rozpocząć się o dwudziestą drugą. Freya zażądała, aby Frost przyjechał nieogolony, ubrany w czarną skórę i w pirackiej chustce na głowie. Wskazała, że w charakterze wstępnego obowiązku przyniesienie z sobą całej zgrzewki piwa – wszak zabawa miała trwać do rana. Tymczasem ja, słodka i kochana, wysyłałam SMS-y, w których z troską pytałam, jak przebiegła podróż, czy dojechał szczęśliwie, czy kochany Jack jest bardzo zmęczony. Przeczytałam, że warunki na drodze trudne, duży ruch, że biedaczek pada z nóg i gdyby nie ta wyjątkowa konieczność, to wcale by nie pojechał, tylko konsumował truskawki ze mną. Współczułam mu gorąco i pocieszałam, jak mogłam. Obiecaliśmy sobie spotkanie zaraz w poniedziałek, bo przecież w niedzielę będzie kochaneczek sterany. Adres, który Freya podała, istniał naprawdę. Numer telefonu również. Moją nieocenioną sąsiadkę Roksanę wtajemniczyłam w intrygę, która ogromnie jej się spodobała. To był jej pomysł, żeby podać numer mieszkania naszej sąsiadki, pewnej starszej pani, bardzo wrogo nastawionej do mężczyzn, a mieszkającej po drugiej stronie korytarza. Genialnym zbiegiem okoliczności mieszkanie

Roksany miało numer 12, tej pani 11, ale numer domu 12, więc mogła łatwo wyjaśnić pomyłkę.

Zresztą taka pomyłka – niezamierzona – już się Roksanie przytrafiła. Ktoś podał niewłaściwy adres lub też dyspozytorka w pogotowiu ratunkowym źle zapytała, dość że lekarz zamiast na Słoneczną 12 mieszkania 11 zapukał do niej: Słoneczna 12 mieszkania 12. Było to w poniedziałek o szóstej rano. Zaspana otworzyła drzwi, patrzy, a w nich stoi lekarz i pyta, jak się czuje. Poprzedniego dnia trochę zabalowała, więc czuła się nieszczególnie. Lekarz zbadał Roksanę, wydał polecenia profilaktyczne i pojechał. Gdy tego samego dnia zatelefonował ankieter i zapytał ją o ocenę poziomu wykonywanych publicznych usług medycznych, z przekonaniem odpowiedziała, że absolutnie najwyższy.

Od godziny dwudziestej byłam już zadekowana u Roksany. Starszą panią spotkałyśmy na schodach, jak zwykle wyraziła obawę przed potencjalnymi gwałcicielami, którzy snują się po ulicach i nieustannie dybią na uczciwe kobiety, żeby pozbawić je czci i godności. Nie mogło ułożyć się lepiej. Jack Frost, punktualny jak nigdy, stawiał się o dwudziestej drugiej ubrany w czarną, wysadzaną ćwiekami skórę i w kretyńskiej chustce na głowie. Nacisnął guzik domofonu, na wszelki wypadek otworzyła mu Roksana. Przez wizjer obserwowałyśmy, co się stanie. Frost niósł pod pachą piwo. Wolną ręką zapukał do drzwi. Pani sąsiadka zapytała: „Kto tam?”. „To ja, Jack Frost, otwórz! Mam piwo”...

Wtedy wydarzenia potoczyły się szybko. Starsza pani otworzyła drzwi i z impetem rzuciła się na przybysza. Okładała go pięściami i krzyczała na całe gardło:

– Będzie gwałcił! Gwałcił i poniewierał!

Ludzie, zaalarmowani jej krzykiem, powypadali na klatkę. Frost próbował uwolnić się z żelaznego uścisku staruszki, ale piwo mu przeszkadzało. Uznałyśmy, z Roksaną, że pora dołączyć do widowni. Mina Jacka Frosta, który mnie zobaczył, mówiła sama za siebie. Nigdy nie czułam tak dużej satysfakcji. I kto powiedział, że zemsta nie może być słodka?

Jako *post scriptum* wyjaśniam, że to jeszcze nie koniec. Jack Frost bowiem zadzwonił do Frei. Odebrała oczywiście Roksana, która z rozbijającą lekkością przyznała się do pomyłki. Słoneczna 11 mieszkania 12? Sorry, źle mi się napisało. To kiedy wpadniesz na orgietkę, Jacku Froście?

10 marca, niedziela

Jack Frost się do mnie nie odezwał. Ja natomiast wysłałam SMS-a z pytaniem: „Czy nie uważasz, że powinniśmy porozmawiać?”.

Tymczasem Frei wybaczył pomyłkę i nawet wesoło opowiedział, co mu się przytrafiło. Oświadczył, że cała ta sytuacja jeszcze bardziej go nakręciła, Freya jednak uznała, że znudziło jej się czekanie na nierozgarniętego potencjalnego kochanka i znalazła sobie kogoś nowego do ekscytujących spotkań. Dość brutalnie

go potraktowała. Jack Frost chyba uwielbia takie klimaty, bo błagał ją o kolejną szansę. Nigdy nie czytałam takich słów pisanych przez niego. Opisywał jej trudne dzieciństwo, przykre doświadczenia z kobietami, skamlał o niespełnieniu w miłości, itd. Zastanawiam się, czy naprawdę oczekiwał od kogoś, kto w ciągu jednego dnia potrafi umówić się na seksrandkę z innym mężczyzną, zrozumienia, ciepła i zaangażowania, czy to tylko taka gra. Ale strategii też nie rozumiem, bo przecież Freya daje mu cały czas do zrozumienia, że jego uczucia nic jej nie obchodzą, więc o co mu chodzi?

Roksana wpadła na pomysł, że przejmie rolę Frei i da mu nauczkę. Czemu nie? Ona ma większe doświadczenie z mężczyznami, lubi takie akcje... Zobaczymy. Zatelefonowała więc do niego i porozmawiali przez chwilę. Przedtem ujawniłam całą korespondencję z Frostem i pokazałam jej profil Frei. W mojej przytomności umówili się na bliżej nieokreślony termin, czyli tzw. zdzwonimy się. Ja natomiast postanowiłam ukoić żal i rozgoryczenie, włączając komputer. Na profilu randkowym kolejne zamieszanie chochłą w firmowym kotle, czyli te same zaczepki od tych samych panów. Nic ciekawego. Za to skrzynka mailowa, założona przez kobietę zainteresowaną układem sponsorowanym, przepełniona. Zaniedbałam ostatnio ten temat, zajęta realizowaniem zemsty na Jacku Froście. Zabieram zatem się do lektury. Jestem ogromnie ciekawa...

11 marca, poniedziałek

No cóż, oddałam Jacka Frosta w ręce demonicznej Roksany. Pewnie zostaną z niego tylko wióry i popiół. Powróciłam do zaniedbanego tematu randek, w tym randek sponsorowanych. Z pierwszego źródła wyłuskałam pewnego Rafała, który podczas spotkania każde zdanie zaczynał od: „Jak to mówią...”.

Pojawiła mi się w głowie pewna refleksja, a mianowicie, że zaczynam traktować to jak pracę. Rutynowe powitania, już nie stresuję się przed wyjściem, szybko oceniam sytuację i kandydata, jeszcze szybciej o nim zapominam. Mam już ulubiony stolik w restauracji, wydeptaną do niej ścieżkę, obsługa traktuje mnie jak stałego bywalca, skosztowałam już wszystkiego, co podają w menu, z wyjątkiem krewetek na ostro, bo tego nie cierpię. Potem krótka notatka i następny kandydat. To smutna refleksja. Pan Przemek uważa, że jestem pasożytem. Odżywiam się na koszt tych nieszczęśników. Może i ma trochę racji, ale przecież on sam, gdy zaprosił mnie na przysłowiowego grilla, podtykał mi pod nos przyrządzone przez siebie jedzenie i to w takich ilościach, że musiałam go uświadomić, iż nie mam dwóch żołądków.

Moi sponsorzy dopisali. Do wyboru, do koloru. Młodzi i starzy. I tutaj również, jak się okazało, obowiązuje zasada, że nie należy pisać prawdy, bo można nie przejść wstępnej selekcji. Kolejne sito to tzw. oczekiwania. Czego to ludzie nie wymyślą? Jeden chciał, żebym go biła różgą po tyłku, aż będzie skamlał o litość, drugi chciał, żebym malowała przy nim paznokcie (przez dwie godziny?!), inny,



żebym lżyła go, na czym świat stoi, jeszcze inny chciał mnie tylko wachać, a znowu taki jeden z Ochoty chciał mnie lizać pod pachami. Nie będę opisywać skrajnych dewiantów, bo nie warto. Za żadne pieniądze nie zgodziłabym się na coś takiego.

Niektóre z oczekiwań były dość intrygujące i korespondencję z ich autorami postanowiłam kontynuować. Wyselekcjonowałam sześciu panów. Pierwszy, który korzystał z pseudonimu Pinokio, a naprawdę nazywa się Bartek, chciał zatrudnić mnie na umowę o pracę w swojej firmie. Na pełny etat. W charakterze bardzo, ale to bardzo osobistej sekretarki. Poprosiłam go o szczegółowy zakres obowiązków. Jego zdaniem, posiadam odpowiednie kwalifikacje, co stwierdził po tym, gdy napisałam, jaki noszę rozmiar biustonosza. Drugi z panów, który podawał się za radcę prawnego, zaproponował mi z kolei umowę o dzieło. Rękodzielo raczej, ale na bardzo korzystnych warunkach. Dzieło dokonywałoby się w jego biurze, późnym popołudniem. Trzeci z potencjalnych pracodawców również proponował umowę, a jakże, przecież żał nie skorzystać z możliwości wliczenia sobie takiej pracownicy w koszty. Tym razem chodziło o sprzątanie, pranie, prasowanie, gotowanie i obróbkę erotyczną na koniec.

Pozostali panowie woleli rozliczać się bardziej dyskretnie. Jeden z nich, Stanisław, lat 43, chciał, żebym dwa razy w tygodniu rozmawiała z nim przez dwie godziny, a seks jak zdążymy, to będzie. Chciał rozliczać się za każdą taką sesję z osobna. Inny z panów, Kamil, lat 39, pytał, czy mam w domu gorset i czarne pończochy. Jeśli tak, to zaraz będzie, z gotówką w dłoni. No i wreszcie Arkadiusz, lat 48, który chciał mnie używać w charakterze talerza. Propozycja była konkretna: razem gotujemy, z produktów, które on dostarczy, oczywiście robimy to na golasa, potem ja się kładę na stole i on konsumuje posiłek, który jest rozłożony na moim ciele. Wystygły, mam nadzieję. Również konkretna gratyfikacja. Wszystkich zaprosiłam na spotkanie *face to face* w mojej ulubionej restauracji, oczywiście nie jednocześnie. Na pierwszy ogień pójdzie radca prawny, w środę wieczorem. Ciekawa jestem, jak będzie brzmiała ta umowa o dzieło...

13 marca, środa

Jest taka dziewczyna, która nieustannie zadaje mi to samo pytanie za pośrednictwem portalu ezoterycznego. A mianowicie: czy powinna zakochać się w.... Tu padają imiona różnych mężczyzn. Karty nie udzielają odpowiedzi na takie pytania, więc i wróżka tego nie robi. Miłość, podobnie jak cała paleta innych uczuć, mieści się w sferze objętej wolną wolą człowieka, więc nie można nigdzie podpatrzeć „scenariusza” na życie. Niestety, zarówno jej, jak i wielu innym kobietom (mężczyźni nie zadają takich pytań!) nie udało mi się dotąd skutecznie tego wytłumaczyć. Dziś molestował mnie telefonicznie pewien pan. Twierdził, że posiadam niezwykle erotyczny głos i powinnam pracować w seks-telefonie. Jego zdaniem, zarobiłabym znacznie więcej, chociażby rozmawiając z nim. Może kiedyś

o tym pomyśle.

Ktoś mógłby zapytać mnie, czy nie boję się chodzić na te wszystkie randki, spotykać z tymi mężczyznami, których przecież zupełnie nie znam. No cóż, jestem wróżką. Przed każdym spotkaniem stawiam sobie karty, a jedno z pytań, które zadaję, brzmi: czego mogę spodziewać się po tym człowieku? A co robię, gdy karty mnie ostrzegają? Chowam je do szuflady...

Dziś także sobie powróżyłam. Odpowiedź kart była intrygująca: ten człowiek cię zaskoczy. No, to jak miałam nie pójść? Poszłam. Ulubiona restauracja była przepełniona, więc szybko powiadomiłam telefonicznie mojego gościa, że niedaleko jest położona druga, równie przyjemna i tam miejsce się znajdzie. Wysłałam mu SMS-a, bo nie odbierał telefonu. Przyszedł z czterdziestominutowym opóźnieniem. Na zdjęciu prezentował się dość okazale, mężczyzna niczego sobie. Tymczasem do stolika doszedł patykowaty, zasuszony mol, z haczykowatym nosem, łysy jak kolano. Oczywiście, już byłam zaskoczona. Potem zaskoczenie tylko rosło. Pan stanął nade mną niczym kat nad dobrą duszą i wyryczał na całe gardło:

– Noo, idziemy do mnie! Szkoda czasu i pieniędzy na takie tam! Idziemy, bo zaparkowałem na przystanku!

Zaprotestowałam niepewnie, bo ludzie przy sąsiednich stolikach nam się przyglądali. Że może najpierw jednak porozmawiajmy, poznajmy się...

– Poznamy się w trakcie pracy, no już, jedziemy! – nie ustępował łysol i złapał mnie za ramię.

Tym razem bardziej stanowczo zareagowałam. Powiedziałam panu, że się rozmyśliłam, i nigdzie z nim nie pójde. Podszedł do nas kelner, a ja złożyłam zamówienie, by przypieczętować swoją decyzję. Wtedy pan krzyknął na odchodnym, że się niepotrzebnie wydatkował, przyjeżdżając, bo jak widać jestem niekulturalna, niesłowna i w ogóle – ciemna masa z prowincji. W dodatku zamiast grzecznie zatelefonować, to ja mu wiadomości krótkie wysyłam! Szczyt chamstwa! Pokrzyczał, zawinął się i poszedł. I tyle go widziałam. I nawet nie wiem, ile chciał mi zaproponować za tę pracę biurową po nocach.

Istotnie, wprawił mnie w osłupienie. Ale cóż, to dopiero początek. Z niektórymi osobami prowadzę bardzo ożywioną korespondencję. Najwięcej piszą ci, którzy na wstępie zaznaczali, że nie cierpią mailowania w nieskończoność. Treść tych wiadomości jest do siebie zbliżona, erotomani-gawędziarze, którzy chcieliby już mnie oglądać, pod lupą, na odległość, za darmo, choć każdy jeden mieni się krezusem, a najlepiej, gdybym udzielała darmowych pokazów *prepaid*, nago i z wyszukaniem. Niektórym opisuję co ciekawsze momenty w nagrodę za ciekawe, nietuzinkowe pytanie. Oczywiście nie widzą mnie i tego, co naprawdę w danej chwili robię. Skrobanie marchewki może i jest trochę erotyczne, klepanie mięsa może też, ale szorowanie garów już chyba nie. Potęga internetu!

Jutro dwóch panów: ten od gotowania i ten od sprzątanía. Tak mi się fajnie skojarzyli.

14 marca, czwartek

Spotkałam się więc przed południem z panem, który szukał gosposi do zadań specjalnych. Zakres obowiązków: sprzątanie 60-metrowego mieszkania (dość szczegółowe), pranie, prasowanie, mycie okien, gotowanie obiadu z dwóch dań (zupa i drugie). Miałabym przychodzić co drugi dzień, w ciągu dnia obrobić się z obowiązkami, pan domu zamierzał wracać z pracy około siedemnastej. Do moich obowiązków należałoby: podać mu obiad (czasem mogłabym zjeść z nim), posprzątać i później – w zależności od nastroju pana – zadowolić go erotycznie. Ten zakres obowiązków również został bardzo dokładnie sprecyzowany. Oczywiście umowa o pracę, wynagrodzenie miesięczne brutto: dwa tysiące złotych. Pan zadawał mi pytania jak na przesłuchaniu: ile mam lat, czy jestem zdrowa, ilu miałam wcześniej partnerów seksualnych, czy posiadam seksowną bieliznę, czy myję ręce po wyjściu z toalety, ile centymetrów mierzą obcasy moich butów. Odpowiedziałam na wszystkie pytania, ale i tak pewnie nie dostanę tej pracy. Takie przeczucie.

Większość mężczyzn, których tu opisuję, jest felerna pod jakimś względem. Ale to wcale nie oznacza, że wśród panów rejestrujących się na portalach randkowych nie ma fajnych osób. Są. Nawet ich poznałam i zamierzam też opisać. Nie ma wśród nich na razie tego jednego jedyne go, ale nie ustaję w poszukiwaniach.

Jedną z przyjemniejszych niespodzianek okazał się Filip, miłośnik jada nia z damskiego ciała. Nie ukrywam, że poszłam na spotkanie z nim raczej z ciekawości, zaplanowałam sobie pół godziny na ten epizod. Tymczasem pojawił się szalenie ujmujący gość, trochę rubaszny, bardzo bezpośredni, z brzuszkiem, który tylko podkreślał jego urok i cudowne poczucie humoru. Dawno już się tak nie śmiałam. Filip opowiadał mi, jak to umawiał się z różnymi kobietami. Po kilku tygodniach znajomości, gdy uznał, że poznali się z partnerką wystarczająco dobrze, wyjawiał jej swój fetysz. Reakcje bab były zazwyczaj histeryczne. Jedna z nich uznała, że powinien się leczyć, i ona mu w tym pomo że. Zapisala go do seksuologa, psychologa, psychiatry, urologa, dietetyka. On potulnie poszedł, czemu nie, takie miał szczęście, że za każdym razem trafiał na mężczyznę. Żaden nie uznał, że Filip jest chory, a urolog nawet zainteresował się, jak to przebiega. Niestety, za każdym razem kobiety, które mu się podobały, nie uznawały tej formy zabawy erotycznej. A te, które wyrażały zainteresowanie, nie podobały się Filipowi. Doszedł w końcu do wniosku, że taniej mu wyjdzie, jeśli zapłaci jakiejś kobiecie za tego typu atrakcję dla siebie, a może przy okazji pozna wreszcie tę właściwą.

Rozmowa z Filipem uświadomiła mi, że poddałam się stereotypowemu

myśleniu i z niezdrowej ciekawości wyszukiwałam ogłoszenia, na które i tak nie zamierzałam realnie odpowiedzieć, spodziewając się, że przyjdą obleśni, perfidni wyzyskiwacze kobiecych wdzięków. Jednak za ogłoszeniami typu „pan zasponsoruje panią” nie zawsze kryją się mężczyźni, którzy chcą pozbawić kobietę czci i godności, czasem zwyczajnie są to ci, którzy nie mają odwagi udać się do agencji towarzyskiej. Wyrażam tu ogromną pretensję do autorek i autorów różnych artykułów na temat sponsoringu. Jest to oczywiście odmiana prostytucji, ale taka opinia zbyt spłaszcza temat. W publikacjach, które znalazłam, nacisk zawsze kładzie się na aspekt finansowy, a często jest to tylko jeden z elementów, wcale nie najistotniejszy. Muszę inaczej podejść do ogłoszeń i kryjących się za nimi panów. Uczciwie wyznałam Filipowi, po co tak naprawdę chciałam się z nim spotkać. Nie obraził się, nie poczuł oszukany. Wyraził rozczarowanie, że to znów nie to, czego szuka, ale obiecaliśmy sobie, że podtrzymamy kontakt. A może kiedyś skuszę się na wspólne gotowanie na golasa? Na pewno byłoby to niezwykle doświadczenie, bardzo erotyczne, choć niekoniecznie intymne...

16 marca, sobota

Internet to wiele udogodnień, ale i wiele niebezpieczeństw. Właśnie doświadczyłam jednego z nich, tym razem w pełni swojej obrzydliwości. Postanowiłam na samym początku, że będę odpowiadać na ogłoszenia tak, jakbym była nimi realnie zainteresowana. Podawałam prawdziwy wzrost, wagę, przysyłałam własne zdjęcie, podawałam nawet proponowane warunki „współpracy”. Ryzykowne? Na pewno, ale inaczej nie można uzyskać prawdziwych informacji. Osoby umieszczające ogłoszenia, nawet na portalach randkowych, rzadko mówią prawdę. Fikcyjne imiona, historie życia, czasem tylko oczekiwania są prawdziwe, o ile w ogóle są. Taka maskarada, żeby w razie czego nie dać się ośmieszyć, być sprytniejszym od innych. Wydaje im się, że jeśli „wyciągną” więcej informacji od tej drugiej strony, to mogą się czuć bezpiecznie. Ale poczucie bezpieczeństwa usypia czujność. Czy dziennikarz śledczy od razu ujawnia, kim jest, gdy zdobywa utajnione informacje?

Na portalach randkowych spotykałam moich klientów spod znaku wróżb, którzy szukali nowych partnerek, choć oficjalnie deklarowali wierność i gotowość pracy nad związkiem. Wśród tych dających ogłoszenia sponsoringu również wielu było takich, którzy prowadzili podwójne życie, choć siebie stawiali wyżej w hierarchii moralności, ponieważ ich społeczeństwo oceni co najwyżej jako niewiernych mężów, zaś kobiety, z którymi się umawiali, jako prostytutki, niezależnie od tego, czy przyjmowały od nich pieniądze, upominki, kwiaty, czy liczyły tylko na szybki rozwód partnera i potem małżeństwo z nimi. Fakt, że to mężczyzna ma pieniądze i płaci, zdaniem tych mężczyzn dawał im przewagę, także prawo do oceniania tych kobiet. Sponsoring daje poczucie władzy. To bardzo silny afrodyzjak.

Weszłam na kruchy lód. Ryzyko, którego nigdy się nie bałam, teraz okazało się realne. Dlaczego? Nie uniknęłam szantażu, straszenia, że będę przedstawiana jako prostytutka, nimfomanka, itp. Oczywiście, ceną za nieszantażowanie mnie było spotkanie intymne, bez zobowiązań. Szantażyści nigdy nie są moralistami. Właściwie to powinnam chyba czuć się dowartościowana, że gość nie zażądał pieniędzy, tylko seksu.

Szantażysta zakłada, że ugnę się, ponieważ mam wiele do stracenia: reputację, opinię wśród przyjaciół, rodziny, itp. Tak, to jest wartość, którą należy chronić. Lecz jeśli można obrzucić człowieka błotem bez względu na to, czy jest dobry, czy zły, to jak można uchronić się przed szantażem? Co tak naprawdę miałabym do stracenia? Ulegając, udowodniłabym tylko tyle, że naprawdę robię coś złego, coś, co nie powinno ujrzyć dziennego światła. Złodzieje przychodzą do tych, którzy coś posiadają i zazdrośnie tego strzegą. U mnie przewaga polega na tym, że prawdziwymi klejnotami są relacje z innymi, a tego mi nikt nie ukradnie. Jeśli ktoś, kto mnie doskonale zna, uwierzyłby w treść anonimowego donosu (bo nie sądzę, by szantażysta pofatygował się osobiście z taką rewelacją), to znaczy, że ja tego kogoś wcale nie znam. I nie chcę znać. Nie zależy mi na tym, aby cały świat mnie kochał i pochwalał. Najlepsi nauczyciele to ci, którzy zajadłe krytykują i wkładają energię w znalezienie moich słabych punktów po to, aby mi dokuczyć, wyeliminować mnie, nastraszyć. Jeśli komuś tak bardzo na tym zależy, to coś się za tym kryje. To znaczy, że jestem dla kogoś niebezpieczna pod jakimś względem. Odbieram mu pracę, a może prestiż – bo odsłaniam jego braki, albo pokazuję jak w lustrze, kim jest naprawdę, bo jestem bezkompromisowa.

Ktoś, z kim nie chciałam się spotkać w wiadomym celu, ktoś, kto dowiedział się, jaki był mój realny cel wysłania odpowiedzi na ogłoszenie, które przecież sam sformułował i opublikował, zadał sobie trud, żeby ustalić moje prawdziwe dane, ale nie zadał sobie trudu, by odpowiedzieć na pytanie: Czy to nie dziwne, że tak łatwo można się dowiedzieć, jak się nazywam, gdzie mieszkam i gdzie pracuję? Dlaczego jest to takie oczywiste i łatwo dostępne? Czy nie boję się ujawnienia, zdyskredytowania? A może z innymi kobietami łatwo mu szło? Może jego sposób na życie jest właśnie taki? Nie boję się, bo nie mam nic do ukrycia.

Ktoś naprawdę sprytny w ogóle by się ze mną nie spotkał po ustaleniu tych informacji. To dopiero byłoby dla niego ryzyko. Zdaje się, że dotknęłam sedna sprawy. Dotarłam do doświadczenia, którego szukałam. Gigantycznej hipokryzji zawartej w postawie osób deklarujących szczerą, uczciwą i bezpośrednią, bo przecież dają czytelne ogłoszenie. Czym różni się obecność na portalach randkowych od obecności na portalach sponsoringowych? Brakiem hipokryzji na tych drugich? Mówieniem o pewnych sprawach wprost? Większym ryzykiem związanym z pojawieniem się na tych drugich? Właściwie niczym. Tu i tu można spotkać wyjątkowych ludzi, zarówno w znaczeniu pozytywnym, jak i negatywnym.

Tu i tu pojawiają się konkretne propozycje. Tu i tu temat seksu wypływa wcześniej czy później. Tu i tu czynnik fizyczności stanowi podstawowe kryterium. Tu i tu odmowa jest często traktowana jak odrzucenie i spotyka się z agresywnym zachowaniem. Tu i tu można do woli manipulować faktami, bo internet to morze możliwości.

17 marca, niedziela

Dziś przedostatni kandydat-sponsor. Umówiliśmy się w restauracji, która – jak wynikało z szyldu – serwuje wyłącznie polską kuchnię. Przy wejściu powitała nas choinka przystrojona kwiatami lotosu. Kolorystycznie nawet ładnie to wyglądało. Kelner posadził nas przy stoliku w samym przejściu. Gdy stwierdziłam, że wolę usiąść przy oknie, skrzywił się, mimo że w tym czasie byliśmy jedynymi gośćmi. Ale tego dnia byłam uparta, więc niechętnie, ale podał nam menu. Od razu można się było zorientować, że serwują polską kuchnię. Na przystawkę: zupa cebulowo-truflowa, danie główne to stek z polędwicy argentyńskiej, a na deser jakże polskie tiramisu. W tle śącyły się świąteczne przeboje w wykonaniu Sinatry. Tym razem nie było łatwo. Krystian to bardzo przystojny mężczyzna, wysoki, dobrze zbudowany, elokwentny i nieskąpy. Czas płynął, a ja wcale nie miałam ochoty się z nim rozstawać. W dodatku nie poruszaliśmy w ogóle powodu naszego spotkania. Wreszcie, gdy kelner przyniósł rachunek, Krystian delikatnie napomknął:

– No cóż, pora porozmawiać o sprawie...

Nie miałam innego wyjścia, jak powiedzieć mu prawdę. Szczerze mówiąc, dopiero w tym momencie poczułam się niezręcznie i głupio. Przeczuwałam, że będzie to nasze pierwsze i ostatnie spotkanie. Krystiana moje wyznanie zaskoczyło i lekko zbiło z tropu. Pożegnał się jednak ze mną słowami:

– Wiesz, to dla mnie niezwykła sytuacja, pozwól mi się z tym oswoić...  
Odezwę się.

Za wszystko trzeba zapłacić cenę. Rozpoczęłam tę grę, aby znaleźć kogoś wartościowego, kto mnie zainteresuje i kogo ja zainteresuję. Gdy na horyzoncie pojawiła się szansa, okoliczności całej sprawy ją zaprzepaściły. Źle się z tym czuję. Coś mi umknęło.

Ostatni kandydat – już po świętach. Na portalu randkowym Syrenka i Freya wciąż otrzymują zaproszenia od mężczyzn. Uśmiechy, słoneczka, wirtualne prezenty. Wszystko to jakoś zbladło na tle dzisiejszego dnia. Jestem smutna...

19 marca, wtorek

Dziś było dużo zapytań internetowych. Takie lubię najbardziej. W spokoju i skupieniu rozkładam karty i piszę odpowiedzi. Boluś drzemie wówczas na moim ramieniu, Kornelia chrapie pod stołem, herbata w filiżance paruje, a ja sobie piszę...

*Czy znajdę wkrótce pracę i partnerkę? Arkadiusz.*

W ogóle znajdzie Pan partnerkę, bo karty pokazały Pana jako bardzo fajnego faceta. Stanie się to wtedy, gdy odpowie Pan sobie na pytanie: Czego Pan konkretnie szuka. Namiętności czy miłości? Jedno z drugim jest do pogodzenia, ale gdy szuka się dziewczyny, która ma się przede wszystkim podobać, można ominąć tę, która jest mniej atrakcyjna, ale bardziej właściwa. Życie seksualne rozpocznie się, gdy tylko przewartościuje Pan priorytety (zakładam, że nie chodzi o przypadkowe kontakty). Pracę znajdzie Pan na wiosnę. Będzie to zajęcie polegające na mierzeniu się z trudnymi klientami, umowami, kłopotami w ogóle. Praca z ludźmi i pieniędzmi, wykorzysta Pan tam swój urok osobisty i umiejętność łatwego nawiązywania kontaktów z ludźmi. W tej pracy nauczy się Pan pewności siebie, ale proszę nie zatracić wrodzonej wrażliwości, bo choć Pan tego nie docenia, to ta cecha jest Pana największą zaletą.

*Czy los postawi na mojej drodze Dominika? Nie znam daty jego urodzenia oprócz roku 1980. Rozmawiałam z nim raz krótko, dawno temu, nawet nie w sensie towarzyskim. Poczulałam, że to ktoś wyjątkowy, i jakoś o tym spotkaniu nie zapomniałam, ale los już nie sprzyjał. Nie wiem, czy by mnie polubił, nie wiem, czy chciałby mnie poznać, gdyby miał okazję. Dziwne to wszystko, ale chciałabym wiedzieć, czy los przewidział dla nas jakąkolwiek znajomość, czy też nie...*  
Agnieszka

Witam. To jest relacja karmiczna, pamięta go Pani z poprzednich wcieleń, gdy był Pani ojcem lub partnerem. Obecnie pan Dominik jest zdystansowany i ten dystans utrzyma się, dopóki w nim samym nie nastąpią zmiany, które pozwolą mu inaczej spojrzeć na sprawy związku. To jest człowiek, który waha się pomiędzy „tak” i „nie” dla jakichkolwiek bliższych relacji, ponieważ stale „obrywa” od życia, inwestując w relacje z niewłaściwymi osobami. Pani zainteresowanie z jednej strony odbierze jako coś pozytywnego, jednak z drugiej strony, tak właśnie zaczynały się poprzednie znajomości i to go zniechęca. Pani zależy na tym, aby wszystko wydarzyło się już, bo Pani jest gotowa, a z jego strony wystarczy przecież powiedzieć „tak”. Tymczasem to nie o Panią tutaj chodzi. To on przeżywa huśtawki nastrojów, bo przechodzi ważną dla siebie w życiu lekcję. Karty to nie szklana kula, pokazują intencje i zamiary, ale proszę pamiętać, że wola człowieka jest poza czyjąkolwiek władzą, dlatego pomimo określonego zamiaru, który jest przewidywalny, każdy w ostatniej chwili może zmienić decyzję i do tej zmienności należy się przyzwyczaić. Gdy tego Pani nie opanuje, nie będzie Pani szczęśliwa w żadnym związku. Proszę pozwolić rzeczom dziać się, a samej czekać, obserwować i nie zmieniać się w fatum, które ten bieg przyśpiesza, bo nic dobrego z tego nie wyniknie. E.

*Witam. Moje imię Asia, on Paweł. Ja singielka po nieudanym rozsądkowym związku, on mieszkający nie w Polsce, z bagażem rodzinnym. Uciekłam, zerwałam z nim kontakt, bo nie umiem rozbić rodziny. Myślałam, że jak się od niego odetnę,*

*to mi przejdzie, a tu, niestety, jest inaczej. Ostatnio się do niego odezwałam, tak żeby wy badać teren, a on pisze, jak to on, że już się dobrze czuje, itd. A ja zamiast też czuć się dobrze, no bo osiągnęłam swój cel, zraziłam go do siebie, dając mu kosza, to mam jeszcze większego doła. No i jak tu sobie z tym poradzić? Może Pani sprawdzić, czy nasze drogi jeszcze się zejdą i będziemy mieli coś ze sobą wspólnego? Nie wiem, co mam robić, może zamknąć rozdział i tyle? Pozdrawiam, Asia*

Pani Asiu. Ta relacja byłaby oparta na fałszu, ponieważ pan Paweł nie był z Panią uczciwy, jemu zależało na zaspokojeniu swoich potrzeb, niekoniecznie na głębszej relacji, w dłuższej perspektywie skrzywdziłby Panią, dlatego sędzę, że nie ma czego żałować. Dobrze Pani zrobiła, kończąc tę znajomość. Żal, który się w Pani odezwał, to lęk przed samotnością, niezaspokojona potrzeba spotkania kogoś, kto ten lęk zagłuszy lub zniweluje, nieważne, jak i jakim kosztem. Jest Pani jednak osobą o dobrej duszy, nie ma Pani skłonności do manipulacji i oszustw, dlatego nie zniosłaby Pani takiego zafałszowania wobec samej siebie na dłuższą metę. Gdy rozprawi się Pani ze swoim lękiem, na Pani drodze stanie odpowiedni mężczyzna.

*Witam, tu Iwona. Chciałabym zapytać Panią o to, czy pojawi się w moim życiu mężczyzna, z którym stworzę stabilny związek oparty na uczuciach. Obecnie jestem na etapie kończenia jednego związku z Wiesławem. W międzyczasie trwała relacja z Jerzym. Generalnie nie została ona zakończona, ale w tej chwili ma formę bardziej koleżeńsko-przyjacielską i nie mogę jej nazwać relacją perspektywiczną. Reasumując, czy przy wyłączeniu tych dwóch osób jest szansa na poznanie innego mężczyzny, zakładając, że obydwie związki będą zakończone? A jeżeli tak, to jaki to będzie mężczyzna, gdzie mam szansę go poznać, czym się będzie zajmował, jak będzie wyglądał i jakie będą najważniejsze cechy jego charakteru? Będę zobowiązana, jeśli dodatkowo wskaże mi Pani czas, w jakim go poznam. Wybrałam Panią jako eksperta, gdyż wizualnie wzbudza Pani wielkie zaufanie. Pokładam w Pani wróżbie nadzieję na przyszłość. Pozdrawiam serdecznie, Iwona*

Pani Iwono, złamanego serca nie leczy się inną relacją, dlatego jeśli Pani chce, aby nowy partner nie powielał wad swoich poprzedników, należy zastanowić się i wyciągnąć wnioski z tego, dlaczego kiedyś oni właśnie Panią zainteresowali i dlaczego to się skończyło. Gdy w ten sposób „przygotuje się” Pani, to kolejna relacja nie zakończy się jak poprzednie. Ten ktoś pojawi się w Pani życiu w ciągu kolejnych 10 miesięcy. Będzie to domator, ale i dusza towarzystwa, człowiek z temperamentem i wyobraźnią w sprawach intymnych, ale nie typ przepychający się łokciami. W sytuacjach trudnych raczej szybko ustępujący pola, poddający się pesymizmowi, wymagający wsparcia. Skoncentrowany na jednej relacji, nieszukający przygód. Raczej mało wylewny, prezentujący dystans uczuciowy, ale stabilny w relacji. Człowiek młody duchem – co do wyglądu, karty odmówiły



odpowiedzi, ponieważ nie tym powinna się Pani kierować. Bez względu na wszystko i tak stanie on na Pani drodze. To on zainicjuje znajomość, okoliczności wskazują na podróż, przemieszczanie się, zatem możecie Państwo spotkać się w drodze dokądś lub to on przyjedzie. Spotkanie będzie miłe, będzie flirtował i od razu zasygnalizuje, że chce podtrzymać znajomość. Zrobi na Pani wrażenie człowieka bardzo konkretnego, wręcz dominującego, co wywoła u Pani lekki dystans, ale ogólnie odbierze go Pani pozytywnie.

*Witam Pani Emilio, pytałam się ostatnio Pani o pójście w tej mojej pracy na L4 i powiem Pani, że jeszcze mam mętlik. Obawiam się, że firma zacznie kombinować, aby mi nie zapłacić za ten miesiąc pracy, że narażę się na złośliwość i brak pieniędzy, jakieś szarpaniny sądowe, itd. Wiem, do czego są zdolni, niejedna osoba już tam walczy o swoje, więc pewnie i ja tak będę potraktowana. Nie wiem, co zrobić, co jest korzystniejsze dla mnie. Pozostawanie tam nadal jest dla mnie nie do pomyślenia i nie do wytrzymania, znowu wizja ucieczki w zwolnienie nasili lęki, czy mi zapłacą i czy nie zaczną kombinować. Ale jak zostaną i tak mogą chcieć mnie oszukać w różny sposób. Sama już nie wiem, co zrobić. Może Pani coś mi doradzi z pomocą kart? Z góry dziękuję.*

Co do Pani sytuacji, to proszę rozważyć to w sposób następujący: czy Pani pójdzie, czy nie, to i tak mogą Panią oszukać, na to nie ma Pani wpływu. Zyskuje Pani natomiast, pozostając w domu, bo przynajmniej upokorzeń doświadczy Pani mniej. Karty twierdzą, że problemy mogą raczej wyniknąć takie, że zechcą skontrolować, czy istotnie jest Pani chora, i na tym oprzeć odmowę wypłaty wynagrodzenia. Pieniądze Pani dostanie, więc chyba nie ma się nad czym zastanawiać. Gdyby przyszło Pani z nimi wojować, to lepiej być wypoczętym. Ale wojny nie będzie. Proszę więc się nie zadręczać, tylko z podniesioną głową walczyć o swój honor. E.

*Piszę dzisiaj do Pani w sprawach moich uczuć. Jestem nieco zagubiona, powiem szczerze. W moim życiu aktualnie nie ma mężczyzny na stałe. Wplątałam się w romans z jednym facetem, który nie wiąże ze mną przyszłości (ja zresztą z nim też nie wiąże), chyba spotykam się z nim tylko w ramach substytutu bliskości i potrzeb czysto cielesnych. Chyba też traktuję to jako lekarstwo na moje zranione serce (latem przeżyłam rozczarowanie pewnym facetem, który nie wiedział sam, czego chce, aż w końcu przestał się do mnie odzywać). A więc do sedna. Chciałabym spotkać mężczyznę na stałe, kogoś naprawdę wartościowego. Gdzie mogę takiego mężczyznę spotkać? Jak pomóc szczęściu? Gdzie bywać, aby go poznać? Co zrobić, aby go przyciągnąć do siebie? Jestem trochę zmieszana. Wiem, że on sam nie zapuka do moich drzwi, muszę gdzieś bywać, aby mieć szansę go spotkać. Wiem, że pewnych spraw nie przyspieszę, ale z drugiej strony, nie chcę jakimiś działaniami opóźniać tego faktu. Pozdrawiam!*

Jest Pani bardzo zamknięta i przyblokowana. Te przykre przeżycia

spowodowały wybudowanie ogromnej liczby barier, które bronią do Pani dostępu niczym w bajce o śpiącej królownie. Proszę ją sobie przypomnieć. Królowna spała, czekając na księcia, ale wieść o niej rozniosła się po okolicy. Wielu próbowało się dostać, żaden nie mógł, lecz znalazł się ten, któremu się to udało. Dlaczego? Bo królowna odespała swoje, czyli nadszedł jej czas. Dla Pani też czas nadejdzie. Wszystko, co dzieje się wokół Pani, ma sens i znaczenie. Relacja czysto cielesna ujawniła Pani potrzeby na jednym pułapie i brak zaspokojenia potrzeb na innym pułapie. Píše Pani, że on nie wiedział, czego chce, a czy Pani to wiedziała? Proszę przywołać moment poznania się, na co Pani wówczas liczyła? Na sam seks? Co zmieniło się po drodze? Dlaczego nie kontynuuje Pani zaspokajania tej potrzeby? Jest przecież tak samo ważna. Dlatego, że wciąż Pani „śpi” i nie chce się obudzić. Paradoks – przestajemy szukać, to znajdujemy – polega na odblokowaniu pewnych poziomów podświadomości. Pani szuka, żeby nie znaleźć. Teraz trzeba przestać szukać, by znaleźć. Samo przyjdzie. Nie przeszkodzi Pani temu, przyjdzie, i to szybciej, niż się Pani zdaje. Moja rada: proszę nie czynić z siebie sekutnicy. Po prostu księżę, który ma Panią obudzić, jeszcze nie dotarł do zarośli, a Pani stuletni sen nie dobiegł końca. Wszystko musi się wypełnić. E.

Wielkanoc

Rodzinne spotkania to doskonała okazja do poczynienia pewnych obserwacji. W tym roku zjechała się do nas rodzina bliższa i dalsza, ponieważ zmarł jeden wujek, a pogrzeb ustalono na wtorek, po świętach. Dlatego wszyscy przyjezdni ubrani byli na czarno. Gdy udaliśmy się ze święconką w sobotę, wyglądaliśmy jak żałobnicy w kondukcji, co zresztą miało wiele wspólnego z prawdą. Z koszyczkiem poszła prawie cała rodzina, bo nie mogliśmy dojść do porozumienia, kto zostanie, a kto pójdzie. Gdy chciała iść ciotka, to musiał jej towarzyszyć wujek, skoro wujek, to i drugi wujek, a skoro drugi wujek, to i druga ciotka. Skoro szli wujkowie, to chciała z nimi iść babcia, bo dawno nie chodzili nigdzie razem. Babcia potrzebowała pomocy przy wchodzeniu po schodach, więc od razu należało liczyć obu wnuczków. Ich narzeczone nie chciały zostać same, a skoro szły narzeczone, to i rodzice, ponieważ nie wypada inaczej. Reszta gości dołączyła do pozostałych, bo niezręcznie jest zostać w pustym domu, gdy wszyscy wychodzą.

Wokół stołu, na którym w kościele stawia się święconki, zgromadziła się nasza gromadka i wyglądało to jak zlot rodziny Adamsów. Ksiądz czuł się cokolwiek nieswojo, gdyż wszyscy, łącznie z nim, byliśmy ubrani na czarno. Po powrocie do domu nadszedł czas, aby usiąść do stołu. Przez dłuższą chwilę nikt nic nie jadł, bo okazało się, że zapomnieliśmy o sztućcach. Potem ktoś się zorientował, że nie ma babci. Najprawdopodobniej została w kościele. Dwóch wujków i dwóch wnuczków poderwało się na równe nogi i zderzając się w drzwiach, popędzili do samochodu. Pojechali do kościoła. Babcia siedziała przed

wejściem i gawędziła z jakimś staruszką, który został przez nią zaproszony na wielkanocne śniadanie. Gdy oboje zapakowali się do auta, zabrakło miejsca dla wszystkich wujków. Przez dłuższą chwilę trwały przepychanki, kto pojedzie, a kto pójdzie pieszo. Jeden drugiemu ustępował miejsca i doszło do tego, że w fotelu kierowcy usiadł ten, który nie umiał prowadzić. Babcia i jej nowo poznany przyjaciel zaczęli się niecierpliwić. W końcu towarzystwo jakoś się pogodziło i auto ruszyło, zostawiając dwie osoby pod kościołem. Dopiero w domu dotarło do nas, że obaj są tutaj pierwszy raz i raczej wątpliwe jest, by wiedzieli, jak trafić do domu. Wysłano więc jednego z wujków na poszukiwania.

Ponieważ wszystko trwało dość długo, a nie wypadało jeść, dopóki wszyscy biesiadnicy nie dotrą, większość osób skrycie podjadała, żeby zagłuszyć najgorszy głód. Największą torturą było siedzieć przy zastawionym stole i tylko patrzeć na jedzenie. Z czasem zrobiło się przy nim zupełnie cicho, bo prawie każdy ukradkiem coś przeżuwał. Ciszę oczekiwania przerwał nagle dzwonek u drzwi.

„No, nareszcie!” Mój ojciec, mocno już poirytowany, poszedł otworzyć drzwi. W progu stało dwóch krępych facecików, z których jeden był łysy, a drugi miał złoty ząb. Wszyscy oniemieliśmy. Przybysze stali zdezorientowani, wpatrując się w grupę ubranych na czarno bladych postaci siedzących wokół nietkniętego, suto zastawionego stołu.

– Odszczurzam, odmyszam... – wyjąkał niepewnie facecik z zębem. Urwał natychmiast, bo towarzystwo przy stole zaczęło mu się przyglądać z wyraźnym zainteresowaniem, a jedna ciocia założyła nawet okulary.

– Co? – zapytał mój ojciec.

– No te... gryzonie... tępię... – wystękał facet, a pot perlisty wystąpił mu na czoło.

– Jak nie za tłusty, to się nadaje – przerwał ciszę starszy pan, gość mojej babci. – Głodny jestem. Dawać go tutaj i po krzyku.

Facecik z zębem i jego towarzysze jakby nagle dostali skrzydeł. Po chwili nie było już po nich śladu.

– Rosół nigdy nie jest za tłusty – orzekła moja babcia.

– Już są! – krzyknęła ciotka, gdy po chwili rozległo się pukanie. – Przynieś szybko nowe talerze!

– Ach to tak! – podskoczyła jedna z obecnych bab. – Dla specjalnych gości to są nowe talerze, a dla nas stare skorupy!

Talerzyki spoczęły przed gośćmi. Nikt jednak nie zaczął jeść, ponieważ ciocia ze wsi natychmiast rozpoczęła przestawianie tych talerzy. Moja ciotka i jej siostra przestawiały talerze z powrotem na poprzednie miejsce, twierdząc, że skoro same je tam postawiły, to musi być dobrze. O sztucach wciąż nikt nie pamiętał.

Jednak atmosfera po chwili wyraźnie się rozluźniła. Goście śmiali się i rozmawiali. Prawie zapomniano, że wciąż na kogoś czekamy. Rozmowy toczyły

się w podgrupach – naprzeciw, na ukos lub z osobami z końca stołu. Rozmawiano parami, trójkami, w wersji wszyscy mówią jednocześnie, nie brakowało też amatorów rozmów sam ze sobą.

Tematy wymiany zdań też były rozmaite. Od błahych:

– Jeżeli wrzucisz kości do gorącej wody, to nie będą potem trzeszczały!

Przez praktyczne:

– Szambo trzeba oczyszczać co roku, bo potem zgęstnieje i będą musieli specjalnie w nim grzebać widelcem. Doskonale te śledziki! I najlepiej wymieszać przed wybraniem, bo wtedy rura lepiej ciągnie! Poproszę jeszcze tej sałatki!

Kontrowersyjne:

– Grób wujka był po prawej stronie!

– Ale co ty opowiadasz! Po lewej!

– Nieprawda! Grób wujka był przed samymi drzwiami, na wprost! Wiem, bo do niego wpadłem!

Wzruszające:

– Jak umierał mój ojciec, to był do końca przytomny i kłócił się z lekarzem, że jest zdrow. Trwało to dość długo, a że była już noc, lekarz się zdenerwował i nakrzyczał na ojca, że ten nie potrafi umrzeć jak mężczyzna i się stawia. Na to ojciec się obraził i zaraz umarł. Na złość temu lekarzowi!

Po praktyczne:

– Nie można zrobić grobu na jedną stronę, bo trumna z babcią nie wejdzie!

– Wejdzie, wejdzie. Babcia nie jest znowu taka wielka. Ustawi się jedną na drugiej i będzie dobrze. Prawda, mamu, że woli mama być na górze, a nie obok?

Gdy rozległo się kolejne pukanie do drzwi, nikt nie otworzył, bo wszyscy byli zajęci sobą.

– Henryku, zjedz coś! – grzmiała jedna ciotka na jednego z wujków. – Nic nie jesz! – Wujek nie odpowiadał, bo usta wypełniał mu pasztet.

– Nie, dziękuję, jadłem w domu...

– Ale pomidorków jeszcze nie spróbowałaś!

– Ależ spróbowałam! Wyśmienite!

Nieświeże pomidorki skisły na półmisku, jakby za chwilę miały wybuchnąć, i każdy z gości starał się nie patrzeć w ich stronę. Jedno spojrzenie mogło wywołać eksplozję. Moja ciotka nieustępliwie zachęcała do konsumpcji. Inna z ciotek trąciła swojego męża łokciem.

– Przestań wydziwiał! Masz w tej chwili otworzyć usta i zjeść te pomidory! Od tego się nie umiera!

Jej mąż miał ogromne wątpliwości, jednak przełknął ślinę i z determinacją w oczach wziął do ust jednego pomidora prosto z półmiska. Połknął go w całości i przegryzł takim kawałem chleba, że oczy wyszły mu na wierzch.

– Na waszym miejscu nie kładłabym w domu klepki, paneli ani żadnej innej

podłogi, bo się zarysuje. I nie kładłabym glazury nigdzie tam, gdzie biegną rury. Zwłaszcza w kuchni i w łazience. Jak przyjdą wymieniać armaturę, to wam wszystko zniszczą!

– Ależ ta armatura jest nowa! Jeśli przyjdą zmieniać, to najwcześniej za trzydzieści lat!

– Tym gorzej! Za trzydzieści lat to klej zeschnie się na mur i trzeba będzie kilofami orać!

– Znaliśmy fachowca, który najpierw chciał wstawiać okna, a potem dopiero ściany murować... Uparł się, że tak, i nie było na niego siły. Ustawili okno, zawiął wiatr, okno spadło i potłukło się w drobny mak. Kiedy wyjechał na dwa dni po materiały, szybko wymurowali ścianę, potem wymierzili i wykuli otwór na okno. Ale zaprawa nie związała i połowa się zawaliła, więc znów murowali. Tym razem wszystkie ściany naraz, bez otworów na drzwi i okna, i następnego dnia okazało się, że zamurowali majstra. Znów trzeba było kuć. Ile tego gruzu było! Cztery ciężarówki!

– A nie wpadli na to, że należy najpierw wmurować tylko framugę, a oszklone okna potem wstawiać? Tak się chyba robi.

– A skąd! To przestarzała technologia! Robotnik będzie się potem z oknem chandryczył! A jeśli wypadnie? Nie, kochany... zostaw takie rzeczy fachowcom!

Na koniec posiedzenia na stół wjeżdża deser w postaci ciasta. Wszyscy są już porządnie najedzeni i na to ciasto patrzą z obrzydzeniem. Niektórzy w ogóle nic nie mówią, bo trawią, i tym ciasto wkłada się na talerzyk bez pytania. Potem zaczynają się wędrówki na balkon, do kuchni, na korytarz...

W końcu wszyscy się rozchodzą. I tu pojawił się problem. Starszy pan, który nam towarzyszył podczas całego dnia, zasnął na fotelu, w rogu pokoju. Zrobiło się już późno, a nikt z nas nie wiedział, kim on jest i gdzie mieszka. Obudzony, również nie umiał nam udzielić takich informacji. Babcia z godnością oświadczyła, że jest zmęczona, idzie spać, a ten pan to w końcu nasz gość, bo znajduje się w naszym domu. Dlatego to my powinniśmy się nim zająć. Do starszego pana przyznała się nazajutrz pewna rodzina z sąsiedztwa. On tak spędza większość czasu, jak twierdzili, jest bardzo towarzyski, lubi odwiedzać ludzi...

26 marca, środa

To bardzo dziwne uczucie. Nie uważam siebie za medium czy jasnovidza. Nie prorokuję tego, co ma się wydarzyć, lecz czasem pojawia mi się w głowie silne przekonanie, że wiem coś ważnego, niekoniecznie ważnego dla mnie. Może ta wiedza dotyczyć kogoś innego. Często podczas sesji z klientami czuję, że wiem, co się wydarzyło naprawdę, wczuwam się w lęki i oczekiwania osoby, która ze mną rozmawia. Potem jestem mocno wyeksploatowana energetycznie. Sny, w których widziałam siebie w określonej sytuacji, rady, które były przeznaczone dla mnie, to już było. Sen, w którym widzę kogoś i odczuwam potem silną

potrzebę, aby mu o tym opowiedzieć, przytrafia mi się po raz pierwszy. Upewniłam się, rozkładając karty, że jest to wiedza, którą powinnam podzielić się z bohaterem snu. Śnił mi się Michał. Nic mnie już z nim nie łączy poza sympatią i tymi krótkimi, magicznymi przeżyciami z przeszłości. Widziałam go leżącego na skalnej półce, z rozbitą głową. Poniżej leżał ktoś jeszcze, ale nie widziałam twarzy, nie jestem nawet pewna, czy to kobieta, czy mężczyzna. Nad nimi powiewał fragment zielonego materiału. Michał miał na ręku tylko jedną rękawiczkę....

Sen mnie przeraził, tym bardziej że powtórzył się przez kilka kolejnych nocy. Głupio mi iść i opowiadać o tym człowiekowi, który chyba mnie lubi, może nawet szanuje, ale nie znamy się dostatecznie dobrze, żeby mówić mu takie rzeczy. Nie wiem, co zrobić, męczy mnie to, karty nie przekonują.

27 marca, czwartek

Znowu sen. Widziałam go ubranego w elegancki garnitur, białą koszulę i krawat na skraju przepaści, tuż przed nim widniała mała kładka, która prowadziła na drugą stronę. Stał niezdecydowany na brzeżku, a za horyzontem słońce wschodziło i zachodziło, jak na przyspieszonym filmie. W pewnym momencie za jego plecami dostrzegłam płomienie, szalał pożar. On wciąż się wahał. Dopiero gdy języki ognia prawie lizały mu nogi, zrobił pierwszy krok. Kładka zachybotwała się, ale niegroźnie. Wykonał kolejny krok, potem następny. Garnitur ograniczał jego ruchy, krawat wyraźnie mu przeszkadzał, on jednak ani myślał o tym, by pozbyć się chociaż fragmentu garderoby. Gdy znalazł się w połowie kładki, ta zaczęła niebezpiecznie trzeszczeć, jakby ostrzegała, że za chwilę się połamie. On wciąż stał niezdecydowany. Po drugiej stronie zapraszał zielony las, za nim szalał ogień. Wtedy zrobił coś nieoczekiwanego. Spojrzał w dół i... skoczył.

Obudziłam się. Kto mi się śnił? Nie wiem...

Drugi sen, tej samej nocy. Ten sam mężczyzna, znowu w garniturze, pod krawatem. Tym razem w wodzie, ocean bezkresny wokół niego, nigdzie nawet kawałka lądu, niebo zlewa się z wodą. On słabnie, widzę bezradność i lęk w jego oczach. Wtedy nadlatuje mewa i łapie go za krawat. Ciągnie za sobą, holuje do brzegu. Mężczyzna opada na piasek. Oddycha ciężko, ale z widoczną ulgą. Garnitur ocieka wodą. Wówczas on wstaje i wchodzi do wody. Coraz dalej i dalej, woda go pochłania...

Ostatni sen to pustynia lub sawanna. Nie ma na niej ludzi. Widzę tylko samotnego tygrysa, który wygrzewa się na piachu. Jest spokojny, odpoczywa. Nagle na ziemię spada smok z trzema głowami. Siada obok tygrysa i przygląda mu się. Nie wiadomo skąd pojawiają się zewsząd ludzie, którzy zaczynają obrzucać smoka i tygrysa kamieniami. Tygrys wycofuje się, jeden kamień dosięga jego głowy, krew spływa mu po pysku. Kiedy odwraca się, widać, że stoją za nim ludzkie dzieci. Ludzie wciąż ciskają kamieniami. Tygrys zasłania dzieci sobą, jest już mocno ranny. Smok wzbija się w powietrze, po chwili jednak opada i tygrys

z dziećmi na niego wsiadają. Tygrys unosi się w powietrze, wtedy ziemia zapada się, znika...

28 marca, piątek

Dziś i jutro ostatnie dwie randki z internetowego rozdania. Dzisiejszy kandydat przedstawia się jako mężczyzna po przejściach, spokojny, ale niezależny. Na profilu napisał, że nie szuka ideałów, ale prawdziwych i realnych ludzi, którzy czują, przeżywają i potrafią wyciągać wnioski. Korespondowałam z nim przez kilkanaście dni. Zrobił na mnie bardzo pozytywne wrażenie. Nie był ani zbyt wylewny, ani przesadnie zachowawczy. Nie zanudził mnie, jednak czuję, że wiele pozostało jeszcze nieodkryte. Drugi mężczyzna nie chciał wysłać swojego zdjęcia, ale też nie oczekiwał mojego. Napisał mi, że jeśli nie zrobimy na sobie wrażenia z pomocą słów, to obrazy i tak nie pomogą. Randka w ciemno. Założyłam białą jedwabną bluzkę i czarne spodnie. Sama nie wiem dlaczego. Zwykle chodzę na randki w sukienkach. Tym razem to on wskazał lokal. Nigdy tam nie byłam. Coś dziwnego czuję od rana, jakby miało się wydarzyć coś niezwykłego. Sięgnęłam po karty, ale w ostatniej chwili odłożyłam je do pudełka, bo jedna wypadła na podłogę. Karta Przeznaczenia. Co ma być, to będzie. Nie sprawdzam.

Do restauracji szłam krokiem pewnym, lecz im bliżej było do randki, tym bardziej nierzeczywiste wydawało się to wszystko. Świat falował... W co ja brnę? Nic o nim nie wiem, nie wiem, jak wygląda.

Otworzyłam drzwi i weszłam do środka. Przyjemne, przytulne wnętrze, dyskretne światło lampek na stolikach, niewielu gości. Rozejrzałam się i zobaczyłam go. On podniósł głowę w tej samej chwili i nasze spojrzenia się skrzyżowały. Nie mogłam wprost uwierzyć własnym oczom, brunet, niebieskie oczy, Mój Ideał, jak Boga kocham.

29 marca, sobota

Właściwie to nie powinnam się już z nikim umawiać, bo w moim życiu nie pojawi się nic prócz rozczarowania. Brunet o imieniu Marek nie odezwał się już do mnie. Nie wiem dlaczego, bo przecież sympatycznie nam się rozmawiało. Trudno. Bartek po kilku dniach erotycznej konwersacji za pomocą SMS-ów zaproponował mi rundę po nocnych lokalach. Nawet nie wiedziałam, że istnieją takie miejsca, w których kompletnie obcy sobie ludzie siadają i jedni jedzą, inni rozmawiają, a jeszcze inni uprawiają seks. Na oczach tych pozostałych. Albo idą tańczyć i w ramach dobrze znanego „odbijanego” zamieniają się partnerami, ale już wyłącznie w celach erotycznych. Jestem jednak strasznie zaściankowa i w ogóle mało światowa, bo odmówiłam wzięcia udziału w takiej zabawie. Po pierwsze w nocy, po drugie z obcymi, po trzecie na trzeźwo to by się chyba nie udało, po czwarte...

Darek już się więcej nie odezwał, nawet nie wiem dlaczego i chyba nie chcę wiedzieć, ale i tak nie umiem zastąpić go kimś innym. Los ma za dużo zabawy

ze mną, wciąż naiwną i wierzącą w miłość, która czai się tuż za rogiem. Mam kochanego Bolusia, który mi towarzyszy w pracy, poprawia nastrój, gdy jestem zmęczona lub smutna, rozwesela, czasem zdenerwuje. Często rozmawiamy, nie zawsze się zgadzamy, ale jest nam ze sobą dobrze. Czego więc mi brak? Mimo wszystko postanowiłam udać się na jeszcze jedno spotkanie. Ostatnia randka i ostatni kandydat na sponsora. W korespondencji mailowej bardzo konkretny i zdecydowany. Przez telefon wydał mi się trochę nerwowy, szybko mówił, tonem nieznoszącym sprzeciwu, ostry, kategoriyczny. Odmówił przesłania zdjęcia, tłumacząc to tym, że piastuje bardzo wysokie stanowisko i nie może pozwolić sobie na tak nieostrożny krok. Okej, rozumiem. Choć z drugiej strony, nie przeszkadza mu umawianie się w publicznym i dość popularnym lokalu?

Spóźnił się ponad pół godziny, wcześniej kilkakrotnie zmieniał porę spotkania. Postanowiłam, że jeśli jeszcze raz wyśle mi SMS o treści „Wybacz, ważna narada, rozumiesz, taką mam pracę”, to napiszę mu, że rezygnuję z możliwości poznania go bliżej. Zrozumie, taki charakter. Przyszedł, a właściwie wpadł jak trąba powietrzna, przebiegł cały lokal i nuże telefonować, gdzie jestem. W restauracji siedziało tylko kilka osób i wiekowo raczej nieodpowiadających mojemu opisowi. Głupio to wyglądało, bo on stał dwa metry ode mnie i ryczał: „Ale gdzie jesteś, bo cię nie widzę!”. Nie przyszło mu do głowy, żeby nią trochę pokręcić, patrzył tępo przed siebie, a przed sobą miał drzwi do kuchni. Wstałam więc, podeszłam do niego i delikatnie pociągnęłam za rękaw. Podskoczył jak oparzony. Wskazałam stolik, usiedliśmy. Jednak warto było się z nim umówić. Straszny dziwak. Najpierw zażądał menu i kartę win. Potem oświadczył, że nie będzie pił alkoholu, bo przyjechał własnym samochodem. Następnie uszczęśliwił mnie informacją, że zapomniał portfela. Na taką okoliczność jestem już przygotowana. Od razu informuję kelnera, że zamawiam tylko dla siebie, bo tylko ja płacę. Wtedy portfel odnajduje się w magiczny sposób. Mój towarzysz szarpnął się i zamówił herbatę. Gdy podano imbryczek zintegrowany z filiżanką, nakrzyczał na kelnera, że ten nie dostarczył kubeczka. Gdy kelner zaprezentował, jak wydobyć filiżankę z całości, mój gość wciąż domagał się kubeczka. Kiedy kelner udał się do kuchni, nalał herbaty do filiżanki.

Pan Przyszły Sponsor od razu przystąpił do rzeczy. Brzmiało to mniej więcej tak:

– No więc słuchaj, ja nie mam czasu na takie kawki-herbatki. Umawiamy się od razu i po sprawie. Nie chcę, żeby to było mechaniczne, bo wtedy poszedłbym do burdelu. Zawsze ma być jakaś gadka. Nie wiem co, coś przeczytaj wcześniej i mi zreferujesz. Masz mówić przed i po. W trakcie niekoniecznie, chyba że jakieś świętwa. Rozliczymy się przelewem, za całość, wypłacę z funduszu reprezentacyjnego. Możesz wystawić fakturę? Tak? To świetnie. Zapytam księgową, co napisać w tytule. I nie dzwoń do mnie po czternastej. Jeśli coś



będiesz chciała, to najlepiej między dziesiątą a dwunastą albo przez sekretarkę, tylko nie mów, że jesteś moją kochanką, okej? Dziś możemy już zacząć. Jaką masz bieliznę?

Perorował tak nawet wtedy, gdy kelnerzy przechodzili obok. Czasem nie wiedziałam, gdzie oczy podziąć. Chciałam już iść. Dotarło do mnie, że większym wstydem jest pokazać się publicznie z kimś takim, niż odpowiedzieć na samo ogłoszenie. Gdy pan sponsor zaczął wymieniać swoje oczekiwania erotyczne, wstałam pod pozorem udania się do toalety. W istocie zamierzałam uciec, gdzie pieprz rośnie!

Udałam się w stronę szatni, która szczęśliwie znajdowała się w pobliżu toalet. Po drodze zawiadomiłam kelnera, że wychodzę i bardzo proszę obciążyć rachunkiem tego głośno mówiącego pana. Gdyby jednak nie chciał zapłacić za mnie, to zostawiam kontakt do siebie, ureguluję. Za plecami dobiegł mnie głos tego Już Nie Sponsora, który chwalił się innemu kelnerowi: „Ale seks będzie! Będzie!”. No, to miejsce mam spalone. Nie mogę się już tam pokazać. Szkoda. Teraz to już chyba naprawdę koniec.

31 marca, poniedziałek

Niezastąpieni klienci nie pozwalają mi myśleć za dużo. Dziś zanotowałam kilka interesujących rozmów.

– Witam, chciałabym się zapytać, czy w poniedziałek między mną a moim kolegą z pracy dojdzie do namiętnej chwili? Będziemy sami w długiej podróży...

– Niestety nie, chęci będą, ale ktoś państwu przeszkodzi i okazja minie.

– A można na to odczytać jakieś uroki?

– Witam, nie mam pytania typowo do kart, tylko do pani. Co pani sądzi na temat uroków miłosnych?

– Proszę?

– Czy to działa?

– Takich rzucanych przez kogoś?

– Tak, i jeśli działa, to jak? Przez osoby się tym zajmujące?

– No cóż, raczej uważam, że to kwestia myśli, która może mieć siłę sprawczą, bo idzie za tym konkretna energia.

– Czyli ucięcie we śnie pasma włosów nie spowoduje, że będę bezpłodny?

– Tu Aneta, kto będzie moim partnerem na stałe, wiek i jego warunki finansowe?

– Około czterdziestki, raczej dobrze sytuowany, własna działalność.

– A ile dokładnie ma na koncie?

– Witam, proszę mi powiedzieć, co mam zrobić, żeby uniknąć wszystkich przykrych rzeczy i zdarzeń, które czekają na mnie w całym moim życiu?

– Przykro mi, ale już jest za późno. Jedyne rozwiązanie, pozwalające uniknąć takich zdarzeń, to gdyby się pani nie urodziła, ale to już się wydarzyło

i pociąga za sobą pozostałe konsekwencje.

3 kwietnia, czwartek

Moja sąsiadka zaproponowała, abyśmy razem wybrały się na wycieczkę do ciepłych krajów. Jej zdaniem, podczas takiego urlopu można poznać bardzo ciekawych ludzi. Poza tym odpoczniemy, opalimy się. Może to nie jest głupi pomysł? Pan Przemek zniechęcał mnie do prawie każdej destynacji. Do Hiszpanii nie, bo Hiszpanie są agresywni, do Grecji nie, bo Grecy są leniwi, do Włoch nie, bo Włosi plują do talerzy, do Francji nie, bo Francuzi wszystkich nienawidzą, do Turcji nie, bo mnie oszukają. Postanowiłyśmy więc pojechać do Maroka. O Maroku nie wspominał.

Poszłam dziś zarezerwować miejsce. W biurze zatrudnili, zdaje się, nową sekretarkę. Paniusia ubrała się na biało i przez to chyba przez cały czas trzymała się od wszystkiego z daleka. Od biurka też. Absolutnie idealna bezradność i bezmyślność, które malowały się w jej oczach, przesądziły zapewne o przyjęciu jej do pracy. Wyjaśniłam, kim jestem i w jakim celu się zjawiłam. Paniusia wysłuchała i nawet nie drgnęła. Powtórzyłam więc, tylko wolniej, mocniej akcentując na końcu, że oczekuję działania z jej strony. Na przykład w postaci zawiadomienia kogoś w drugim pokoju, że przyszedłam. Paniusia uśmiechnęła się głupkowato, wstała i teraz patrzyłyśmy na siebie w takiej pozycji.

No cóż, lata pracy z ludźmi nauczyły mnie, że w takiej sytuacji nie należy się niczemu dziwić, a tym bardziej denerwować. Komunikat przyjęty w pozycji siedzącej jest inaczej przyswajany, niż ten przyjęty w pozycji stojącej. W istocie rzeczy są to dwa różne komunikaty. Powtórzyłam więc wszystko po raz trzeci. Załapało. Paniusia zniknęła w drzwiach prowadzących do pokoju, w którym niewątpliwie ktoś był. Po chwili wróciła, uśmiechnęła się do mnie i usiadła. Cierpliwość to także cecha, której uczymy się w pierwszej kolejności, bo inaczej każda wróżka najdalej przy trzecim kliencie dostałaby nerwicy.

Po około dziesięciu minutach zapytałam, czy mam długo jeszcze czekać.

– A na co? – zapytała życzliwie sekretarka.

Takie chwile podczas rozmów z klientami też się zdarzają. Wtedy przypominam sobie, ile klienci płacą mi za spotkanie. Tu nie płacił mi nikt.

– Czekam na rozmowę z kimś, kto mógłby zarezerwować dwa miejsca na wycieczkę do Maroka. Zawiadomiła pani kogoś, że jestem?

Paniusia spłoszyła się lekko. Dwie osierocone komórki, błakające się w jej głowie, najprawdopodobniej zetknęły się i powstał impuls, ponieważ sekretarka poderwała się na równe nogi i krzyknęła:

– Faks! Matko kochana, faks miałam wysłać!

Nie odzywałam się, żeby nie wywołać zwarcia w głowie tej pani, obserwowałam, co się wydarzy. Paniusia wydostała ze stosu papierów kartkę i przez chwilę jej się przyglądała. Potem spojrzała na aparat telefoniczny. Był

to tzw. kombajn, czyli urządzenie złożone z kilku. Faks, telefon, kopiarka, skaner i ekspres do kawy w jednym. Ale był obarczony wadą, pomimo swojej ogromnej funkcjonalności. Nie posiadał słuchawki telefonicznej. Względnie może posiadał, ale nie w tej chwili. Obok znajdował się tradycyjny aparat, wraz ze słuchawką. Paniusia wsunęła cenne pisemko do środka i wystukała numer. Po chwili usłyszała sygnał łączenia i bezosobowy głos, który powiedział: „Słucham? Kto mówi? Niech ktoś się odezwie!”. Czegóż ta kobieta nie wyczyniała, żeby zadośćuczynić żądaniu. Obeszła kombajnisko dookoła, obejrzała je, obmacała, obwąchała, mogłaby jeszcze polizać. Wreszcie powiedziała gdzieś w przestrzeń i bez przekonania: „Halo”...

Głos w słuchawce uparcie domagał się kontaktu, a sekretarka ze łzami w oczach miauczała to swoje „halo” to z jednej, to z drugiej strony aparatu. W końcu głos się zniechęcił i rozłączył. Faks nie poszedł. Paniusia zagryzła wargi i ponownie wystukała numer. Zaledwie po jednym sygnale odezwało się to samo „halo”, tylko trochę bardziej zniecierpliwione.

– Ja nie mam słuchawki! – krzyknęła paniusia do kombajnu. W końcu to jego wina, że jest niekompletny. Kombajn był tępy i nie przekazał informacji dalej. Osoba po drugiej stronie łączy lekko się już zniecierpliwiała, ale wciąż halowała.

Gdy sytuacja z rozłączaniem się, ponownym wybieraniem numeru, halowaniem – teraz już okraszonym sporadycznymi przekleństwami – powtórzyła się, nie wytrzymałam. Zasugerowałam sekretarce, aby połączyła się z drugiego aparatu, tego ze słuchawką, i wyjaśniła tej osobie, w czym rzecz, a następnie poprosiła o rozłączenie się i gdy ponownie telefon zadzwoni, o włączenie sygnału faksu bez rozpoczynania rozmowy. Sekretarka żywo rzuciła się do telefonu. Gdy ktoś się odezwał, przemówiła:

– Halo, bo to ja dzwonię, tylko że ja nie mam słuchawki i nie mogę rozmawiać. Tak. I dlatego musi się pani rozłączyć i gdy zadzwoni u pani telefon, pod żadnym pozorem proszę go nie odbierać, ani nic nie mówić, bo ja wysyłam faks!

Odjęło mi mowę. Tej pani w słuchawce chyba też. Sekretarka uznała to za dobry znak, znaczy się, wszystko jest jasne, można działać. Wystukała numer na kombajnie i czekała w napięciu. Po jednym sygnale rozległo się „Halo?!”.

– Tam pracuje jakaś skończona idiotka! – orzekła sekretarka i opadła na krzesło.

Z natury jestem litościwa, więc tak mi się wymknęło.

– Chyba szybciej byłoby, gdyby osobiście dostarczyła pani ten faks...

Paniusia zerwała się z krzesła, złapała kurtkę, pisemko i już jej nie było. Gdy po kilku minutach w drzwiach pojawił się sam pan prezes i zapytał zdziwiony, gdzie podziała się jego sekretarka, uszczęśliwiłam go informacją, że pobiegła dostarczyć faks. Osobiście.

– Do Tokio?!

4 kwietnia, piątek

A więc jedziemy! W lipcu. Gorąco, ale ja tak lubię.

Wiosna w pełnym rozkwicie. Mogę się zorientować po pytaniach zadawanych przez klientów telefonicznie i internetowo. Chyba nawet nie co druga osoba pyta, czy się wkrótce zakocha, czy to, co czuje teraz, to prawdziwa miłość, czy ten mężczyzna, z którym mieszka od dwóch lat, to jest już partner docelowy, czy ta kobieta kocha jego samego, czy jego pieniądze?

Skłoniło mnie to do zastanowienia się, co ja rozumiem pod pojęciem miłości. Jakie są moje oczekiwania? Kogo ja szukam? Czy wystarczy pomyśleć sobie: chcę dostać od losu wysokiego bruneta przed czterdziestką, o niebieskich oczach, zaradnego, uczciwego, wrażliwego, z poczuciem humoru, który umie gotować, tańczyć, jeździć konno, łać po gębie, opiekować się niemowlakiem, pływać, strzelać z łuku i broni palnej, zna biegle sześć języków obcych – w tym chiński – i codziennie medytuje. A jeśli nawet opatrność postawi na mojej drodze kogoś takiego, za co on miałby mnie kochać? Co takiego powinnam mieć w sobie? Czy posiadając te wszystkie cechy i umiejętności jako mężczyzna, chciałabym się związać z taką kobietą jak ja?

Każdy z nas pragnie czuć się bezpiecznie u boku tej drugiej osoby. Fascynacja urodą, umiejętnościami i zasobnym portfelem mija szybko. A może nawet obecnie nie jest tak jednoznaczna jak kiedyś. Jeszcze sto lat temu porządek świata był bardziej zrozumiały. Mężczyzna starał się o kobietę, która łaskawie mu na to pozwalała. Okres narzeczeństwa to był czas rozbudzania zmysłów, gdy absztyfikantowi pozwalano na krótkie sam na sam z narzeczoną, kiedy przyzwoitka w osobie ciotki lub babci „musiała” na chwilę wyjść. Zmysły rozpałał widok nagiego nadgarstka lub kostki u nogi. Dziś, gdy wszystko jest tak boleśnie dosłowne, jaki sens ma takie wymuszone oczekiwanie? Z drugiej strony, pośpiech, jaki prezentują młodzi ludzie, szybko ze sobą zamieszkując, jeszcze szybciej pozwalając sobie na kredyt na mieszkanie i dziecko, jest jeszcze bardziej zatrważający. Coraz częściej przyczyną zawarcia związku nie jest miłość i zauroczenie, lecz chłodna kalkulacja. A potem pytania do wróżek: Czy spotkam wreszcie prawdziwą miłość?

Feminizm ostatnich lat to dla kobiet istne przekleństwo. Równouprawnienie, które w zamyśle naszych prababć miało być początkiem pozytywnych zmian w życiu kobiet, doprowadziło je do zagłady na polu osobistym. Płcie są dwie i nikt tego nie zakwestionuje. Różnią się nie tylko pod względem fizycznym, lecz także emocjonalnym. Sfera zawodowa niech pozostanie bezpłciowa, w końcu nie ma znaczenia, czy pomocy udzieli mi lekarz będący kobietą czy mężczyzną, podobnie jest z nauczycielem, prawnikiem, architektem czy sprzedawcą. Moim zdaniem, sztuczne wyszukiwanie językowych określeń zawodów w rodzaju

żeńskim, gdy do tej pory zupełnie sprawnie posługiwaliśmy się ich męskimi odpowiednikami, świadczy o ogromnym niedowartościowaniu, a nie dążeniu do równouprawnienia.

Na gruncie zawodowym liczą się kwalifikacje, umiejętności, wiedza, doświadczenie. Może chętniej widziałabym w roli tragarza mężczyznę, ale jeszcze raz podkreślam: w pracy płeć ma znaczenie drugorzędne. Inaczej sprawa przedstawia się na płaszczyźnie prywatnej. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego kobiety, do tej pory uwielbiane, opiewane w utworach literackich, stawiane na piedestale, nagle z tego wszystkiego zrezygnowały. Dlaczego tak zwane równouprawnienie, które na gruncie osobistym oznacza w istocie pozbawienie się przyjemnych przywilejów, zostało uznane za prawidłowe i pożądane. Potrzeba udowodnienia, że kobiety są równie zaradne, odważne, inteligentne i przedsiębiorcze jak mężczyźni, broni się w starciu płci w pracy, lecz w domu taka postawa czyni więcej złego niż dobrego.

Wiele razy stykałam się i stykam z pytaniem formułowanym przez kobiety: „Jak to jest? Jestem przecież dyrektorem w dużej firmie, w życiu zawodowym osiągam same sukcesy, świetnie zarabiam, zarządzam setką ludzi, w domu wszystko chodzi jak w zegarku, mieszkanie jest czyste, obowiązki domowe są podzielone, panuję nad wszystkim, jestem zadbana, elegancka, pachnąca, w towarzystwie błyszczę inteligencją i humorem, staram się nadażać za tym, co dzieje się na świecie, jestem czytana i światowa. Dlaczego mój partner tego nie docenia? Dlaczego zdradził mnie z taką bezbarwną, nijaką, pustą lalą ze sztucznymi rzęsami? Przecież ukończyłam kurs seksu tantrycznego, umiem doskonale wykonać masaż tajski, przeczytałam wszystkie książki Lwa-Starowicza... W czym ona jest lepsza ode mnie? Nawet nie jest młodsza!”

Drogie Panie! A gdzie tu przestrzeń dla waszego mężczyzny? Który obszar ma on zagospodarować? Inteligencja i niezależność u kobiety to silny afrodyzjak, ale co za dużo, to niezdrowo. Cieszcie się, że do waszego życia została wprowadzona „tylko” kochanka, a wasz partner po przeprowadzeniu chłodnej kalkulacji uznał, że nie opłaca mu się z wami rozstawać. Gdy któraś z kobiet stosuje idiotyczne zasady w stylu „Na pierwszej randce zawsze płacę sama za siebie!” albo „Gdy on mi kupi prezent, to go nie przyjmuję, albo od razu rewanżuję się podarkiem w zbliżonej cenie!”, lub „Spotykamy się w wynajętym mieszkaniu i ja płacę połowę tego kosztu!” czy „Sama przyjadę na spotkanie i sama z niego odjadę, w żadnym wypadku nie będziesz mnie odwoził, ani płacił za moją taksówkę!” – niech potem nie narzeka, że partner nie kupuje jej kwiatów bez okazji i gdy jest okazja. Że nigdy nic od niego nie dostała, podczas gdy poprzedniej dziewczynie stale coś dawał. Że nawet do głowy mu nie przyjdzie zapytać, ile wyniósł rachunek za energię elektryczną po wspólnym półrocznym zamieszkiwaniu u niej. Że nie otworzy przed nią drzwi do samochodu, kawiarni,

mieszkania i będzie zdziwiony, że tego oczekuje. A wreszcie któregoś dnia oznajmi, że się wyprowadza do Mani, Hani czy innej Beaty, bo nie iskrzy, nie ma chemii, nie jest fajnie lub wypaliło się.

Już ta Hania, Mania czy Beata zadba, żeby wiedział, po co zarabia się pieniądze i dlaczego mężczyzna został przez naturę wyposażony w silne przedramiona. Ona mu pozwoli za siebie płacić, nosić na rękach, wyręczać we wszystkim. I nie poczuje się dyskryminowana. Wyhoduje cudowne czerwone paznokcie i delikatną skórę na rękach, które będzie przed nim obnosić jak jego trofeum. Sięgnijcie, drogie wyzwolone i inteligentne kobiety do twórczości Magdaleny Samozwaniec, Mniszkówny, Izabeli Czajki-Stachowicz i innych prawdziwie mądrych kobiet i przypomnijcie sobie wreszcie, co to takiego seksapil i wdzięk kobiety. W pracy bądźcie niezłomne oraz niezastąpione, bądźcie lepsze od wszystkich mężczyzn na Ziemi, całego męskiego rodu! Lecz w domu zamieńcie się, kochane, w słodkie, delikatne istotki, którymi trzeba się opiekować, a nie z nimi wojować! A jeśli któraś z was koniecznie chce i na tym polu błyszczeć inteligencją i wiedzą, to niech prześledzi sobie podręcznik dla gejsz. One wiedziały, jak to zrobić najgenialniej na świecie....

5 kwietnia, sobota

Zaczepił mnie w sklepie, kiedy kupowałam bułki. Uwielbiam bagietki, ale zawsze wypadają mi z torby, nie umiem ich z gracją zapakować. Powiedział, że widuje mnie z psem na spacerze i moją papugę w oknie, zwłaszcza gdy Bolek puka w szybę i zaczepia ludzi w ten sposób. Zapytał, czy napiję się z nim kawy. Nie cierpię kawy, ale zgodziłam się. Chłopak ma na imię Darek i pracuje jako informatyk w sądzie. Chwilę pogadaliśmy i umówiliśmy się na jutro. Jutro mam tylko jedno spotkanie z klientami, mogę wziąć urlop w pracy wróżki na jeden dzień. To bardzo wesoły człowiek, sypie dowcipami jak z rękawa. Zaproponował spotkanie w parku, spacer, obiad i może basen? Chyba chce mnie dokładniej obejrzeć. Nie mam kompleksów, niech ogląda. Ojcu oczywiście nie podobało się, że pozwalam się zaczepiać obcym w sklepie. Traktuje mnie, jakbym miała piętnaście lat!

6 kwietnia, niedziela

Darek obejrzał mnie sobie dokładnie, ze wszystkich stron. Usiłował nawet bardziej namacalnie sprawdzić, jak wyglądam. Dziwnie się czułam, z jednej strony, podobała mi się taka adrenalina, a z drugiej – byłam dość spięta. Nie umiem zdecydować, czy ten mężczyzna mnie pociąga, czy tylko fascynuje. Wszystko dzieje się trochę za szybko, ale na co mam czekać.

7 kwietnia, poniedziałek

Kupiłam sobie pewną książkę. Zostanę współczesną gejszą działającą w kulturze europejskiej. Nauczę się spoglądać spod rzęs, prowadzić intrygujące konwersacje, gorzej ze strojem, ale dostosuję się do europejskich standardów

i kwiaty z kimona przeniosę na sukienki.

Zastanawiam się, jakie znaczenie ma dla mnie znajomość z Darkiem. On od razu chciałby konsumować relację, właściwie nie rozmawiamy o niczym innym. Fantazje erotyczne są bardzo ciekawe i działają na mnie pobudzająco, ale czy naprawdę chciałabym wprowadzać je wszystkie w czyn? Może z czasem, teraz niekoniecznie. Nudzi mnie ta monotonia w naszych rozmowach... Może to ze mną jest coś nie tak?...

8 kwietnia, wtorek

*Drogi Nieznany!*

*Pozwól, że dziś zarzucę Cię moimi przemyśleniami. Często słyszymy pytania kierowane do losu: dlaczego to mnie spotyka? Dlaczego wciąż nie umiem uporać się z własnymi kompleksami, przecież stale nad tym pracuję? Dlaczego omija mnie szczęście w życiu? Dlaczego nie mogę po prostu żyć, mieszkać, pracować? Tak bez lęku, bólu, wiecznej niesprawiedliwości? Odpowiadam wtedy zazwyczaj, że przyczyna leży w pytającym, nie w otaczającym nas świecie. Nie istnieje przecież jeden wzorzec piękna, szczęścia, dobroci czy sprawiedliwości. Każdy z nas inaczej przeżywa, inaczej postrzega. Na czym więc polega szczęście i jak do niego dotrzeć? Skoro przyczyna leży w nas samych, to jak wejrzeć w siebie, aby do tej przyczyny dotrzeć, właściwie ją rozpoznać i tym samym zobaczyć drogę, która powiedzie nas do szczęścia?*

*Rozglądając się wokół, można dojść do wniosku, że szczęście nie istnieje. Nie ma takiego miejsca na Ziemi, gdzie by człowiek mógł wyzbyć się wszystkich ograniczeń i lęków. Zawsze ktoś czegoś będzie żądał. A samotność na dłuższą metę dla wielu osób stanowi większą torturę niż udręka ciągłego „usługiwania” innym. Czy można być szczęśliwym bez tego, do czego jest się przywiązany? A może szczęście to rzadki skarb, który zdobyć mogą i potrafią tylko nieliczni, obdarzeni nadzwyczajnymi umiejętnościami? W tej sytuacji należałoby rozważyć, czy mam te umiejętności, bo skoro nie, to z założenia nigdy nie będę w stanie osiągnąć szczęścia. A może ze szczęściem jest tak, że należy go długo i wytrwale szukać, wciąż zmieniając otoczenie, ludzi wokół nas, świat? Ale jak znaleźć szczęście? To jak opisywać światło temu, kto całe życie spędził w ciemnościach.*

*Fałszywe przekonania prowadzą do fałszywych wniosków. Poszukiwanie szczęścia jak limitowanego towaru na półce wiąże się z wysiłkiem, który nie przynosi często nic więcej poza frustracją, zmęczeniem i zniechęceniem. To marnotrawienie energii i wewnętrznego potencjału na poszukiwanie magicznego kwiatu paproci. Tymczasem rozwiązanie jest takie proste i oczywiste. Czym jest bowiem szczęście, jeśli nie wyzwoleniem od lęku, zależności,*

*od przymusu? Szczęście to wolność, ale rozumiana jako niezależność od naszych własnych ograniczeń, nie cudzych. W wielu bajkach i ludowych podaniach mamy do czynienia z mądrością, która powiada, iż zdobywanie majątku po to, aby stać się samowystarczalnym, prowadzi do jeszcze większego ubezwłasnowolnienia. Pojawia się bowiem lęk przed stratą tego, co z takim trudem było zdobywane. I złoty pałac zmienia się w złotą klatkę.*

*Cóż jest zatem owym skarbem, kluczem otwierającym drogę do szczęścia i wolności? To miłość. Miłość bezwzględna i bezwarunkowa. Miłość, od której się wszystko zaczyna i na której się wszystko kończy. A najważniejsza z nich jest miłość do siebie. Miłość własna jako baza i początek wszystkiego. Zrozumiałam to wreszcie. Do czego mnie to zrozumienie doprowadzi?*

*Czym jest miłość własna? Każe ona kochać siebie, szanować, troszczyć się o własne potrzeby, rozwijać swoje umiejętności. Tak proste, a zarazem tak skomplikowane. Któż z nas choć raz nie doświadczył bowiem sytuacji, które sabotują miłość własną?*

*Przykład pierwszy. „Nie bądź samolubna i egoistyczna! Dziel się wszystkim, co posiadasz! Oddaj innemu, a świat ci odplaci!”. Kiedy byłam mała, nie lubiłam dostawać prezentów, ponieważ nigdy nie mogłam nacieszyć się nimi do woli. Zawsze trzeba było kogoś do tego zaprosić, podzielić się czekoladą, pozwolić pobawić się lalką, pożyczyć książkę, której nie zdążyłam jeszcze przeczytać. Stale ktoś inny i potrzeby kogoś innego stały przed moimi potrzebami i pragnieniami. Bo tak wypada, bo tak jest dobrze. Ponieważ byłam bardzo grzeczną i posłuszną dziewczynką, dzieliłam się, oddawałam, pożyczałam i ustępowałam bez cienia sprzeciwu. Czego mnie to nauczyło? Tylko tego, że każdy inny człowiek i jego potrzeby są i będą zawsze ważniejsze od moich. Przez długie lata czekałam cierpliwie na nagrodę, ów zwrot od świata, który powinien był nastąpić, ale nigdy nie nastąpił. Na mojej drodze nie stanął nikt, kto zrobiłby dla mnie coś całkowicie bezinteresownie. Co więcej, gdy tylko buntowałam się, że przecież ja wszystko, a dla mnie nic, słyszałam w odpowiedzi: „Nigdy ci to nie przeszkadzało, a teraz nagle zaczęło? A niby dlaczego? Zastanów się nad swoim postępowaniem!”.*

*Przykład drugi. Gdy dorastałam, towarzyszyły mi komunikaty, najczęściej sformułowane przez moich najbliższych. „Co ty możesz o tym wiedzieć! Słuchaj starszych i bardziej doświadczonych! Nie wtrącaj się, wiesz, co masz robić, to na tym się skup! Nie masz dość wiedzy, żeby decydować, ktoś inny zrobi to za ciebie!”. Rosłam zatem w przekonaniu, że szacunek do mnie pojawi się u wszystkich później, za kilka, może kilkanaście lat. Czekałam więc cierpliwie,*



*wykonyjąc posłusznie polecenia i coraz głębiej wchodząc w wymyślone przez kogoś innego zasady, którym musiałam się podporządkować. Ktoś inny wybierał mi zatem szkołę, zajęcia dodatkowe, decydował, kim i czym powinnam się interesować, zachwycać, pasjonować. Ktoś inny wiedział lepiej ode mnie, czego nienawidzę, a co mnie cieszy. Zdanie innych było ważne, ja swojego zdania nie miałam wcale.*

*Wreszcie stałam się pełnoletnia, potem upłynęło jeszcze kilka lat. Nic się w moim życiu nie zmieniło poza ciężarem gatunkowym obowiązków, które na mnie nakładano. A ja przywykłam do życia wypełnionego nadzieją, że kiedyś wreszcie nastąpi ta zmiana i ktoś zapyta mnie w końcu o moje zdanie. Nie pomyliłam się. Przyszedł taki moment. Dorosłość. W jednej chwili zdałam sobie sprawę, że wszystko zależy ode mnie. Co więcej, pojawiło się wobec mnie nieznośne oczekiwanie ze strony otoczenia, abym wreszcie wzięła pełną odpowiedzialność za swoje i nieswoje życie i przestała się oglądać na innych. Oto całymi latami uczono mnie uległości, podążania za głosem innych, a teraz wymagano, abym to ja stała się przywódcą. Nie takiej nagrody oczekiwałam. Nie tak miała wyglądać ta wolność. Wówczas zdałam sobie sprawę, że wiem tylko, czego nie chcę. Nie chcę być dłużej popychadłem dla innych, dłużej pozostawać w cieniu, być niewidzialną dla innych, nie chcę dłużej być wołem roboczym, który w milczeniu znosi swój kierat, nie chcę ciągle być dla innych. A czego chcę?*

*Gdy zaczęłam koncentrować się na myśleniu, czego ja chcę, odczułam wewnętrzny ból i rozgoryczenie. Nie wiedziałam, czego chcę. Moje potrzeby wydawały mi się nierealne, sprzeczne ze sobą, irracjonalne. Ta refleksja sprawiała, że pogrążałam się w coraz większym smutku, zniechęceniu i frustracji. Pozostawałam bierna. Za późno, płakałam w myślach. Za późno się obudziłam. Cóż mogę teraz zrobić ze sobą i swoim życiem. Ono już nie należy do mnie. Mam rodzinę, dom, pracę... Dla mnie nie ma już miejsca. Znowu...*

*I wtedy nastąpił w moim życiu ciąg zdarzeń, które wówczas przeklinałam, uważałam, że to kara za grzech zaniedbania wobec siebie, przypieczerowanie milczącej zgody na sprzeniewierzenie się sobie, za bierność wobec zachłanności świata, który mną zawładnął i mnie pożarł. Za to, że przestałam istnieć jako ja. Obecnie nazywam ten okres w moim życiu Odrodzeniem. Musiałam pogodzić się z symboliczną śmiercią osoby, która przez tyle lat oddawała siebie w całości, aż nie pozostała nawet jedna komórka. Stało się tak po to, aby mogła narodzić się nowa osoba, świadoma błędów popełnionych przez jej poprzedniczkę. W szczególności świadoma tego, że przykazanie miłości odnosi się przede wszystkim i w pierwszej kolejności do nas samych. Kochaj bliźniego swego, jak siebie samego! Lecz jak można obdarzać kogoś czymś, czego samemu posiada się niewiele lub wcale? Bóg*

*stworzył człowieka na swój obraz i podobieństwo. Bóg jest miłością. Dlaczego człowiek nie widzi w sobie takiego Boga? Dlaczego nie kocha siebie, by w ten sposób pokłonić się Stwórcy? Dlaczego łatwiej mu pielęgnować nienawiść i hodować kompleksy, niż pozwolić sobie na miłość i akceptację? Bo miłość jest jak róża, wymaga nieustannej troski. Jest „(...) taka słaba. I taka naiwna. Ma cztery nic niewarte kolce dla obrony przed światem (...). A jednak wszyscy lubimy otaczać się różami, one zaś w jednakowym stopniu obdarzają wszystkich zapachem i urodą. Jeśli kochasz kwiat, który znajduje się na jednej z gwiazd, jakże przyjemnie jest patrzeć w niebo Wszystkie gwiazdy są ukwiecone...”<sup>[1]</sup>*

*Życie wypełnione innymi osobami staje się ciężkie i puste. Uzależnienie od pochwał bądź krytyki innych zaczyna stanowić trzon naszego funkcjonowania. Dzięki obecności innych osób łagodnieje poczucie osamotnienia. To ludzie podnoszą nas na duchu poprzez pochwały i stają się przyczyną rozpaczki za sprawą krytyki i odrzucenia. Zaczynamy żyć zgodnie z normami narzuconymi przez innych, wedle ich systemu wartości. Wydaje się, że poza tym nie ma już innego życia. Nie można zrezygnować z siatki zależności, wpływów, zobowiązań, obietnic, nadziei. Pojawia się lęk, który karmi się niezaspokojonymi potrzebami, takimi jak szukanie towarzystwa innych ludzi, pragnienie ich miłości i akceptacji, strachu, że odejdą, że wyśmieją, tęsknoty za ich poklaskiem oraz wyrzutami sumienia, gdy odzywa się wewnętrzny głos, który krzyczy: dość!*

*Czułam się jak w pułapce. Jak będę funkcjonować bez rodziny? Rodzina orze mną jak wołem roboczym, obarcza mnie swoimi problemami, ale jest, daje poczucie bezpieczeństwa, wsparcia. Jak z tego zrezygnować?*

*A praca? Przecież muszę z czegoś żyć! Skąd mam wziąć na utrzymanie? Muszę jakoś pogodzić się z nieustającą krytyką i mieszanym z błotem, bo na końcu tej drogi jest poczucie bezpieczeństwa, zaspokajanie potrzeb bytowych. Przyjaciele. Wcale nie są moimi przyjaciółmi. Wiem, że poddają mnie druzgocącej krytyce, uważając za nieudolną osobę. Wiem, że spotykają się ze mną, ponieważ czują się przy mnie lepsi, bardziej wartościowi, bardziej zaradni. Śledzenie moich porażek poprawia im samopoczucie, czyni ich we własnych oczach lepszymi ludźmi. Wiem, że nie pomogą mi, gdy wpadnę w kłopoty, za to chętnie pożyczą pieniądze na wyjazd wakacyjny, choć ja – aby je zarobić – spędzę w pracy kolejny weekend. Wiem, że będą udzielać mi rad, w głębi duszy życząc, abym nigdy nie wstała z kolan. Ale są, dają mi poczucie bezpieczeństwa poprzez złudzenie, że mam się do kogo zwrócić.*

*Narzeczony, który stale powtarza, że dotąd nie znalazłam klucza do jego*

*serca, a on wciąż czeka. Jest niezwykle cierpliwy i oddany i poświęca się dla mnie, bo przecież mógłby ułożyć sobie życie z kimś innym, bardziej atrakcyjnym. Ale jest, daje mi poczucie bezpieczeństwa jako mężczyzna, który może następnym razem nie zasłoni się bólem ucha, gdy pyskаты sąsiad zapuka do drzwi i obrzuci mnie stekiem wyzwisk.*

*Czuję się bezpieczna w tym świecie pełnym ludzi. Ale im więcej ich wokół mnie, tym czuję się bardziej zmęczona. Dlaczego? Chyba nie dlatego, że każdy z nich wnosi w moje życie kolejną listę wymagań i oczekiwań. Ilu już siedzi na moich plecach i liczy, że wniosę ich do raju? Dlaczego to ja nie umiałam komuś wejść na plecy? Z jednym musiałam się zgodzić. Trzeba oszaleć zupełnie, by godzić się na takie życie. Za siebie i innych. I jeszcze narzekać, że ciężko. Ale przecież pretensje mogę zgłaszać wyłącznie do siebie, za milczące przyzwolenie na to emocjonalne niewolnictwo.*

*Lęki i bariery, strach, to wszystko tkwi we mnie pielęgnowane niczym najdroższe dziecko. Gdy zdałam sobie sprawę, z jaką pieczołowitością troszczę się o swój znienawidzony kierat, dostrzegłam ogromny potencjał. Kto, o kim się mówi, że jest leniem, pracuje na okrągło na rzecz aż tylu ludzi? Kto, o kim się mówi, że jest niezaradny, potrafiłby znaleźć tyle sposobów na jednoczesne zaspokajanie kilku, kilkunastu, a może kilkudziesięciu oczekiwań jednocześnie? Kto, o kim się mówi, że jest mało kreatywny, znalazłby aż tyle wymówek, aby usprawiedliwiać się przed samą sobą, że inni są ważniejsi? Ale jedno nie ulega wątpliwości: zdecydowanie jestem mało spostrzegawcza albo mało inteligentna, ponieważ przyjmowałam te wymówki jak prawdę objawioną. Wierzyłam w nie. Determinacja, którą wkładałam w nieustanne oszukiwanie siebie, wystarczyłaby do zdobycia miliona dolarów w tydzień.*

*Zrzuciłam kierat. Pozbyłam się tych obciążeń, które nie służyły ani mnie, ani mojemu życiu. Pod skrzydłami pozostawiłam tylko tych, którzy nie mogli samodzielnie zadbać o siebie i za których byłam odpowiedzialna, lecz na innych zasadach – współpracy, a nie niewolniczego poddania. Przebrnęłam przez paniczny strach związany z poczuciem odrzucenia, osamotnienia i oskarżenia o niewdzięczność. Zabiłam w sobie poczucie winy i powołałam do życia instynkt samozachowawczy. Uległość zastąpiłam drapieżnością, przez co wielu wykluczyło mnie ze swojego grona. Nauczyłam się żyć w samotności, moje doświadczenie niewolnicy przydało się, przetrwałam wszystko. Od nowa wykreowałam swoją rzeczywistość – nie było to trudne, ponieważ pracując za innych, wiele razy budowałam coś od podstaw, a tym razem wysiłek włożyłam w budowanie czegoś dla siebie. Skoncentrowałam się na lepszym poznaniu siebie, nie innych, w tym*

*nauczyłam się nazywać, co czuję. Zaufałam sobie – jedynej osobie na tym świecie, która zawsze dobrze mi życzy i nigdy mnie nie opuści.*

*Gdy przerobiłam to wszystko, zaroilo się wokół mnie od ludzi. Nowy problem, z którym czasem się zmagam, to ich nadmiar. Bywa, że tęsknię za samotnością, którą polubiłam. Całkowicie zrezygnowałam z uporządkowanego życia, a ceną za wolność jest ryzyko, że nie zdołam zarobić wystarczająco dużo w danym miesiącu. To wszystko stanowi o mojej sile. Jestem niezależna. Wyzwolona od strachu. Tak, czuję stratę, gdy ktoś nie chce mieć ze mną do czynienia, nie lubię krytyki, czekam na pochwały. Ale ludzie przestali mi być katami, a świat więzieniem. Dlatego warto było przejść tę drogę.*

*Czym jest zatem miłość własna? To zaufanie do siebie, do swoich wyborów i decyzji. To akceptacja wszystkiego, co przyciągam. To szacunek do siebie, którego nikomu nie pozwalam naruszyć, nawet za cenę kłopotów. To komfort postępowania zgodnie z własnym sumieniem, które postrzegam jako szeroką i otwartą drogę. Prostą, przejrzystą i dostępną dla każdego. Każdego, kto nie boi się nią podążać.*

*Otóż zastanawiam się od dłuższego czasu, dlaczego jedni ludzie przechodzą przez życie nietknięci żadnym trudniejszym doświadczeniem, a inni wciąż muszą stawać na barykadach?*

*Od dnia narodzin uczymy się mówić, chodzić, rozumieć świat. Zdobywamy gigantyczną liczbę informacji. Mniej lub bardziej przydatnych. Czy ktoś zadaje sobie pytanie, dlaczego należy nauczyć się mówić? Albo czy przyda mi się w życiu umiejętność chodzenia? Nikomu raczej nie przyjdzie to do głowy. Nie zastanawiamy się również, czy rzeczywiście wiedza na temat anatomii człowieka lub historii Francji okaże się w przyszłości niezbędna. Wchłaniamy to w siebie i już.*

*Dlaczego więc zadaję sobie pytanie, czy warto doświadczać ryzyka, szczęścia, miłości, rozczarowania, przykrości, cierpienia? Przecież piszę o miłości, nienawiści, złości, pięknie. Potem wzruszam się, oglądając film lub czytając książkę.*

*Najbardziej pożądaną z emocji jest miłość. Większość osób zgodnie twierdzi, że jej doświadczenie jest stanem bardzo pożądanym i tego właśnie szuka w życiu, związku, relacji. I choć zgodnie twierdzimy, iż najwspanialsze dzieła ludzkich rąk są owocem miłości, rzadko doceniamy ogrom kreatywnej siły twórczej, z którą wiąże się jej doznawanie. To dzięki jej odczuwaniu jesteśmy zdolni do największych wyrzeczeń, nietuzinkowych zachowań, nieustraszonych postaw.*

*Lecz, niestety, świat docenia osiągnięcia na polu intelektualnym, nie emocjonalnym. Uczuciowość często utożsamiana jest ze słabością. Wielokrotnie spotykałam się z tym, że osoby nie potrafiły jasno i precyzyjnie wyrazić tego, co czują, czego pragną czy potrzebują. Człowiek, który mówi „chcę”, otrzymuje etykietkę egoisty. Wieloletnia tresura osobowości, polegająca w głównej mierze na tłumieniu uczuć, skutkuje dramatycznym odczuciem niezdrowej pustki. Pojawia się refleksja z gatunku, co takiego w życiu osiągnęłam poza zdobyciem majątku, czym mogłabym się pochwalić sama przed sobą poza dyplomami i wyróżnieniami. Podobnie rzecz ma się z naszymi odczuciami. Od wczesnego wieku dzieci słyszą wiele komunikatów tłumiących swobodę wyrażania tego, co czują, i to stopniowo kształtuje w nich pogląd, że to, co odczuwamy, jest niewłaściwe. Zamiast nauki konstruktywnego wyrażania emocji dzieci otrzymują modele zachowań obowiązujących w danym środowisku. Wyrażanie siebie jest stopniowo zastępowane przez maskę, która ma na celu dostosować osobę do funkcjonowania w społeczeństwie lub zapewnić jej wysokie uznanie społeczne, jeśli potrafi zręcznie manipulować i przekonać innych o swojej wielkości.*

*Wydawałoby się, że druga opcja jest niezwykle atrakcyjna. Tu maska daje nam przywileje społeczne. Aplauz, pieniądze, czasami fotografie na pierwszej stronie czasopism. Czujemy się lepsi od innych, którzy najczęściej kierując się własnym interesem, utrzymują nas w tej iluzji. Pozornie wszystko jest w porządku, gdyby nie stany znudzenia czy pustki, których nie potrafimy się pozbyć, choć dokładamy wielu starań. Co się stało – pytamy siebie? Gdzie nasza spontaniczność?*

*Co zrobić, by wróciła radość dziecka czy ufność bezbronnego szczeniaka tulącego się do naszych dłoni? Tu docieramy zazwyczaj do stwierdzenia, że jakaś część naszej istoty umarła. Tłumiąc przez lata swoje odczucia, pozbyliśmy się również narzędzia wzbogacającego nasze codzienne życie, narzędzia, dzięki któremu dokonujemy również wielu wyborów, mających decydujący wpływ na jego jakość. Możemy się oszukiwać, że wrażliwość emocjonalna utrudnia życie, ale koszt, jaki płacimy za jej brak, jest po wielokroć większy.*

*Trudno, widocznie większa samoświadomość wiąże się też z większymi kosztami. Może dzięki temu wybronię się później od piekła?.*

*Pozdrawiam. E.*

9 kwietnia, środa

Pojawiłam się dziś w biurze podróży, żeby odebrać umowę. Gdy weszłam do biura, dwie paniusie siedziały sobie przy kawce i chichotały. Usłyszałam fragment rozmowy, który brzmiał tak:

- Powiedziałałam mu: ty głąbie od kalafiora!
- A ja: ty żłobie niemyty!
- A ja: ty tchórzliwy wymoczku!
- A ja: ty amebo bez charakteru!
- A ja: ty łysy przygłupie!
- A ja: ty przygłupiasty kołku!
- A ja: ty kretynie dziobaty!
- A ja: ty żałosna zmazo!

Żałowałam, że nie pojawiłam się wcześniej. Ale i tak warto było przyjść.

Pan prezes poprosił panią sekretarkę o wydrukowanie umowy dla mnie. Przyjrzała mi się krytycznie, po czym oświadczyła:

- Był telefon do pana, prezesie.

Na tym poprzestała. W końcu komunikat był jasny, zwięzły i zawierał dokładnie tyle treści, ile potrzeba. Prezes chyba dobrze znał swoją pracownicę, bo zapytał:

- Kto dzwonił?
- Jakiś mężczyzna – poinformowała go sekretarka.
- Nazywał się jakoś? – dopytywał szef.

Sekretarka już wstukowała w klawiaturę słowo Rzym, więc odpowiedź padła po dłuższej chwili.

- Taki młody, sądząc po głosie. Chciał z panem rozmawiać.
- Ale jak się nazywał?!

– Nie pamiętam, bo chyba się nie przedstawił. Może to był Marek Bogdanowicz albo coś podobnego... – Sekretarka zamyśliła się, co spowodowało natychmiastową przerwę w pracy, a nawet odsunięcie się od biurka.

- Bogdanowicz? Jest pani pewna? – zastanowił się prezes.

– Tak! Na pewno Bogdanowicz! – ucieszyła się sekretarka. – Prosił, żeby pan jak najszybciej do niego oddzwonił, bo to jakaś bardzo pilna sprawa!

- A kiedy dzwonił?

– No, tak ze dwie godziny temu...

- To dlaczego od razu mi pani nie powiedziała?! – zniecierpliwił się szef.

– Byłam zajęta! – obrazila się sekretarka. – Układałam materiały biurowe w szafie! Na pana polecenie!

– No dobrze. – Prezes westchnął. – Może się jeszcze odezwie, skoro to takie pilne...

- Nie odezwie się – oświadczyła sekretarka. – Wyraźnie powiedział, że

będzie czekał na telefon od pana! Niech pan dzwoni!

– Nie mogę dzwonić, bo nie wiem, kto to jest. Nie znam żadnego Bogdanowicza!

– Skoro pan go nie zna, to po co dawał mu pan swój numer telefonu?  
– Sekretarka zmarszczyła brwi z dezaprobatą.

Stałam z boku, przysłuchiwałam się tej rozmowie i odnosiłam wrażenie, że prezes wolałby chyba, abym go jednak nie poznawała od tej strony.

– Nie dawałem mu żadnego numeru! Może to pomyłka!

– Nie pomyłka, bo powiedział, że pan ma dla niego wykonać jakąś opinię do czegoś tam – orzekła stanowczo sekretarka. – Coś tam jest mu bardzo potrzebne i ma pan do niego zadzwonić!

– Jak mam do niego zadzwonić, skoro.... – zaczął prezes i urwał. Ta dyskusja nie miała sensu. Z sekretarki i tak nie wydusiłby nic więcej.

Sytuacja jednak zrobiła się niepokojąca. Gdzieś czekał tajemniczy Bogdanowicz, któremu były potrzebne pilnie jakieś informacje, a najwyraźniej dysponował nimi tylko on, prezes. Może od tych danych zależało coś arcyważnego, a tymczasem on, szef firmy, bardzo poważnej i szanującej siebie oraz swoich klientów, spowoduje, że wszystko weźmie w łeb! Narazi kogoś na stratę, firma straci dobre imię i klienci się od niej odwrócą. Popadnie w ruinę, a on sam skończy w kartonowym pudle pod mostem... Ta przerażająca wizja sprawiła, że prezes zaczął intensywnie myśleć. A może ten kontrahent nie nazywa się Bogdanowicz, tylko Bogdański? Tyle że Bogdańskiego prezes też nie znał.

– Jak Boga kocham, nie znam żadnego Bogdanowicza! – mruknął prezes z rozpaczą i zasępił się.

Nie mogłam na to patrzeć. Zasugerowałam, aby poczekać, może jednak ten Bogdanowicz się odezwie i sprawa się rozwikła. Nie doczekałam się jednak wieści na temat rezerwacji, pani sekretarka zbyt się rozkojarzyła. Postanowiłam przyjść następnego dnia.

10 kwietnia, czwartek

Następnego dnia trwał koszmar prezesa, zwany klątwą Bogdanowicza. Rano sekretarka powitała bowiem szefa komunikatem, że dzwonił Bogdanowicz, był bardzo wściekły, czuje się zlekceważony! A sekretarka przecież informowała, że to pilna sprawa!

Prezes poluzował krawat i choć wciąż trzymał fason, widać było, że bardzo go ta sytuacja stresuje. Przyjechał do pracy spóźniony o kwadrans, co jeszcze nigdy mu się nie zdarzyło, a ten upiorny Bogdanowicz, który przyśnił mu się w nocy, musiał zadzwonić akurat w czasie tego kwadransa!

– Powiedział – dodała sekretarka ostrym tonem – że jeśli pan do niego nie zadzwoni najpóźniej do dziewiątej, to panu przy najbliższej okazji pysk stłucze. To był cytat. Aha, i dodał jeszcze, że strasznie pan zważniał, odkąd został

prezesem!

Prezes zbladł. Poprzedniego dnia siedział przy telefonie do późnego wieczora i przeglądał kontakty. Nie znalazł żadnego Bogdanowicza, potem śniły mu się koszmary, teraz jeszcze to!

– Może przestanie się pan upierać i zadzwoni wreszcie do tego Bogdanowicza? – powiedziała ugodowo sekretarka. – Chyba nie chce pan uchodzić za wyniosłego?

– Do jasnej cholery!!! Ja nie wiem, kto to jest!!! – nie wytrzymał prezes.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Prezes i sekretarka poderwali się równocześnie, stuknęli głowami. Szef był jednak pierwszy.

– Halo, serwus, Janusz! Co się nie odzywasz, głąbie? Nie chcesz ze mną rozmawiać, w porządku, ale oddaj mi te dokumenty rejestracyjne spółki i możemy więcej się do siebie nie odzywać! – zagrział w słuchawce doskonale znany prezesowi głos jego radcy prawnego, niejakiego Bogdana Piotrowskiego.

– Bogdan Piotrowski! – powtórzył na głos prezes i popatrzył na sekretarkę takim wzrokiem, że zamiast osoby powinna w tym miejscu leżeć kupka popiołu.

– Każdy ma prawo się przejeździć! – oświadczyła z godnością sekretarka i oddaliła się bażancim krokiem w stronę szafy z papierami.

Prezes westchnął i wyjaśnił mi, że ta jest i tak najlepsza ze wszystkich sekretarek, które u niego pracowały.

15 kwietnia, wtorek

Dziś był ważny dzień. Ważny dla Kamila. Kamil to kolejny absztyfikant przyprorowadzony przez ojca. Facet wyglądający jak nastolatek, sympatyczny, ale bardzo nieciekawym. Kamil od samego początku stara się zainteresować mnie sobą, lecz bez wzajemności. Owszem, jest bardzo miłym facetem, ale mnie się on nie podoba i już. Telefonuje dość często, odkąd ojciec mnie z nim poznał, prosząc o radę lub pomoc w różnych sprawach. Pomagam mu chętnie. Dziś znów zadzwonił. Odbierał swój pierwszy upragniony samochód, na który tak długo odkładał. Nareszcie będzie mógł zaproponować dziewczynom „Może gdzieś cię podwieźć?”. Nonszalanckim ruchem otworzył drzwiczki swojego nowego auta. No, może nie nowego, bo auto było używane, ale – jak twierdził właściciel – w umiarkowany sposób i nie sprawi żadnego kłopotu. Zaprosił mnie na pierwszą przejażdżkę, co potraktowałam jako ogromne wyróżnienie.

– Jest w bardzo dobrym stanie! – Właściciel starego opla uśmiechał się, usiłując odwrócić uwagę klienta od ogromnej plamy po rybie, która wciąż straszyla na dachu. Plama, nie ryba. Ale nie musiał tego robić. Kamil był tak przekonany do swojej nowej roli jako kierowcy, że na nic nie zwrócił uwagi. Wręczył sprzedającemu żadaną kwotę i odebrał kluczyki. Facet pożegnał się zdawkowym „Niech się sprawuje!” – po czym szybko się oddalił.

Wsiedliśmy do środka. Kamil musiał to zrobić od strony pasażera, ponieważ



drzwi od strony kierowcy były fabrycznie zablokowane. Tak oświadczył poprzedni właściciel. Ja przezornie usiadłam z tyłu. Kamil przedostał się na fotel kierowcy i umieścił kluczyk w stacyjce. Przekręcił. Silnik zawarczał dopiero za trzecim razem. „Trzeba go dobrze rozgrzać przed jazdą” – tak brzmiały słowa sprzedającego. Po chwili rozległ się huk, jak gdyby odpadło całe podwozie. Wolałam nie sprawdzać tupnięciem nogi, czy podłoga jeszcze się trzyma. Zniosłam mężnie widok rączki zmiany biegów, która została Kamilowi w ręku oraz dziwny trzask towarzyszący kręceniu kierownicą. Samochód ruszył, a to było przecież najważniejsze. Poza tym karty przepowiedziały mi rok niezwykłych wrażeń, więc nie mogło mi się przytrafić nic definitywnego. Na pierwszych światłach oparcie fotela opadło nagle do tyłu i ludzie przechodzący na pasach z niedowierzaniem obserwowali samochód, w którym nie było widać kierowcy. Przez całą drogę samochód jęczał, stękał, warczał, wzdychał i jakby tego mu było mało, wszystkim tym odgłosom towarzyszył miarowy metaliczny dźwięk, który drażnił uszy. Z trudem walczyłam z wyobraźnią, która podsuwała mi obraz urwanego zderzaka, który ciągniemy za sobą. Nagle rozległ się tuż za nami sygnał syreny alarmowej. Wyobraźnia usłuźnie przedstawiła wizję samochodu spalonego już do połowy, bo zderzak sypał iskrami na wszystkie strony. Kamil siedział na fotelu, trzymając kierownicę, niewiele pozostało z tego auta. Spojrzałam ostrożnie do tyłu. Goniła nas policja. Kamil zatrzymał się na poboczu i poczekał, aż policjant do niego podejdzie.

– To taka rutynowa kontrola – uspokajał mnie niedbałym gestem. – Lepiej będzie przesiąść się na siedzenie pasażera, na wypadek gdyby policjant zażądał, bym wysiadł.

Policjant podszedł i mocno zdziwiony zapukał w szybę.

– Proszę otworzyć – powiedział służbowym tonem.

Nic nie usłyszeliśmy, bo szyba była pancerna.

– Czego on chce? – zapytał mnie Kamil.

Wzruszyłam ramionami, ale na wszelki wypadek uśmiechałam się życzliwie.

– Proszę otworzyć! – powtórzył policjant bardziej stanowczo. Znów nie zareagowaliśmy.

– Gdzie jest kierowca?! Czego się tak głupio szczerzysz, lebiego, wysiadać!

– Policjant zdenerwował się i złapał za klamkę, chcąc otworzyć drzwi. To był duży błąd. Drzwi wypadły z zawiasów i runęły z łoskotem, prosto na stopę policjanta.

– One się nie otwierają... – wyszeptał Kamil.

Zatrzymali nas do wyjaśnienia. Przewieźli na komisariat. Prawdopodobnie uznali, że jesteśmy uciekinierami z zakładu psychiatrycznego. Nie mogłam pohamować napadów śmiechu, gdy przypomniałam sobie wyraz twarzy tego policjanta, który wyjął drzwi od samochodu razem z futryną, próbując się do nas dostać. Wybuchalam śmiechem nagle i nieoczekiwanie, toteż policjanci oraz Kamil

trzymali się ode mnie w pewnym oddaleniu.

Na komisariacie posadzono nas i kazano czekać. Po chwili przebrany za cywila policjant, który nas tu przywiózł, gestem polecił nam iść za sobą. Weszliśmy do małego pokoiku, w którym siedziało trzech policjantów. Jeden z nich, gładko ogolony brunet w niebieskiej koszuli i czarnych spodniach, z rezygnacją na twarzy wyjmował z szafy papiery i układał je w stos na biurku, mrużąc pod nosem: „Cholera, gdzie jest ten pistolet? Przecież jeszcze wczoraj tu był?”.

Inny policjant, w takiej samej niebieskiej koszuli, za to w szarych spodniach, dłużej spinaczem do papieru w kajdankach znajdujących się na rękach trzeciego z policjantów. Ten trzeci nosił mundur, ale za to był dziobaty na twarzy. Gmerającemu spinaczem pot spływał po twarzy i co jakiś czas wyrzucał on z siebie krótkie zdania w stylu „Co cię, u licha podkusiło?! Jak mam to teraz otworzyć?! Oprycha jakiegoś trzeba zawołać! Zacięło się, ścierwo!“. Dziobaty w mundurze nie odzywał się, tylko sykał.

Policjant, który nas przyprowadził, wcisnął się za biurko i wskazał nam krzeselko obok. Krzeselko, nie krzesło. W dodatku jedno i kiwające się, bo pozbawione czwartej nogi.

– To ja już wolę stać – zaprotestował Kamil, ale policjant machnął niecierpliwie ręką. – Siadaj pan! Tutaj wszyscy siedzą!

W końcu ja zajęłam miejsce, bo jakoś wydało nam się niestosowne, aby usiadł Kamil, a ja jemu na kolanach. Policjant przystąpił do sporządzania protokołu. Z zainteresowaniem przyglądałam się archaicznej klawiaturze podłączonej do jeszcze starszego komputera. Co jakiś czas pomagałam policjantowi znaleźć potrzebny guzik z literą, bo napisy były dokładnie wytarte i zupełnie niewidoczne. Wreszcie protokół został sporządzony. Brzmiał następująco:

*Pan Kamil, dnia... kierując pojazdem marki Opel z fotela pasażera, nie zatrzymał się na znaki wysyłane pod wiaduktem przez funkcjonariusza policji na służbie w postaci machania lizakiem. Uciekł z miejsca zdarzenia bez świateł z prędkością 44 km na godzinę, a po zatrzymaniu dopuścił się upadnięcia drzwi na nogę policjanta na służbie, złośliwie się przy tym uśmiechając.*

Kamil wysłuchał pouczenia, że będzie musiał zapłacić mandat, po czym został wyprowadzony z komisariatu. Jego nowiutki stary samochód nie wytrzymał trudów transportu na policyjny parking i został mu dostarczony w częściach. Wtedy policjant przypomniał sobie o mnie. Gdy powiedziałam, jak się nazywam, spojrzął jakoś dziwnie i kazał mi poczekać. Kamil nabrał od razu podejrzeń.

Okazało się, że na policję wpłynęło doniesienie na pewną starszą panią, która zniszczyła jednemu panu samochód. Była to moja sąsiadka, uparcie twierdząca, że

jestem bardzo bliską jej osobą. No jasne, pani Krysia, która prawie co wieczór przychodzi na wrózenie. Policjant zaprowadził mnie do sali przesłuchań, gdzie oboje zamieszani w sprawę, pani i pan, opowiedzieli mi, co zaszło. A wyglądało to mniej więcej tak:

Pani Krystyna wyszła na balkon, żeby zebrać pranie. Akurat poniżej jej balkonu, na chodniku, jakiś mężczyzna naprawiał samochód. Zaglądał pod klapę, gapił się przez chwilę, podłubał trochę i włączał silnik. Jednostajny warkot szedł echem przez podwórko i mógł zirytować najbardziej cierpliwego.

Pani Krystyna powstała przez chwilę w milczeniu, a kiedy hałas na moment ucichł, wyskrzeczwała:

- Panie! Długo pan będziesz tak warczał? I to pod samym oknem?!
- A bo co? – odburknął niegrzecznie facet.
- Bo spaliny idą do środka! Tu mieszkają ludzie, a nie kartofle! Całe mieszkanie mam zadymione, bo pan nie ma gdzie samochodu naprawiać!
- Jak mi się podoba tutaj, to naprawiam tutaj i nikomu nic do tego!
- Panie, bo policję na pana napuszczę!
- Puścić może pani sobie bąka albo wody do wanny! Leczyć się, leczyć!
- Tu mężczyzna wykonał bardzo jednoznaczny gest palcem przystawionym do czoła i znikł pod maską samochodu.

Incydent powtórzył się kilka razy. Wrzaski pani Krystyny i faceta od samochodu stanowiły prawdziwą rozrywkę dla okolicznych mieszkańców, tym bardziej że słyhać je było w promieniu kilkuset metrów. Oboje nie przebierali w słowach, wyzywając się od starych sflaczałych krów i chamskich zawziętych, zmurszałych, zezowatych pni. Facet z dnia na dzień stawał się coraz bardziej zawzięty i ryczał silnikiem, czy musiał, czy nie musiał. Ponadto trąbił klaksonem albo włączał ogłuszający alarm. Pani Krystyna krzyczała, wygrażała mu pięścią i rzucała w niego inwektywami oraz tym, co akurat miała pod ręką. Raz były to nadgniłe kartofle, które usłużny pies przyniósł swemu panu do samochodu, innym razem pęknięte pomidory, które rozprysły się na szybie samochodu, poleciały nawet dwa jajka. Szalę zwycięstwa przeważała na stronę pani Krystyny surowa ryba w papierze, która wyrzucona z balkonu, wylądowała na samym środku dachu wyjącego auta. Słońce zrobiło swoje i zaśmiardłe świństwo przywarło na dobre. Facet spojrzał na panią Krystynę z wyraźnym obrzydzeniem, po czym splunął w jej stronę, wsiadł do samochodu i odjechał. Udał się na policję, gdzie złożył doniesienie na staruszkę. Kilka dni później auto sprzedał, tymczasem policja uruchomiła postępowanie. Wezwano agresywną babcię na komisariat, a po solidnej awanturze, jaką urządziła, pana od samochodu. Tu okazało się, że dowód w postaci zniszczonego fragmentu auta należy już do kogoś innego. Gdy rozmawiałam z zainteresowanymi, wydało mi się, że znam tego faceta. Po dłuższej chwili skojarzyłam, że to ten sam, który sprzedał Kamilowi samochód. Pół godziny

później sprawa została załagodzona. Kamil patrzył na mnie z szacunkiem pomieszanym z rezerwą. A panią Krystynę osobiście odprowadziłam do domu.

16 kwietnia, środa

Już wiem, dlaczego Darek nie odezwał się więcej. Nie chodziło wcale o to, że odmówiłam mu towarzyszenia podczas nocnych eskapad. Darek jest żonaty i zależało mu wyłącznie na takich powierzchownych znajomościach, ale przeznaczenie i tak miało swój udział w tym wszystkim. Otóż Darek zakochał się we mnie. Oświadczył, że porzuci żonę i dziecko i będzie wiódł ze mną wspólny żywot. Na początek oczywiście w charakterze wściekle nowoczesnego konkubinatu. Napisał mi w SMS-ie, że poczeka, aż oswoję się z myślą o uprawianiu seksu grupowego. Bo, jego zdaniem, to tylko kwestia czasu. Na początek byłoby kameralnie: on, ja i jego znajomy. Kochałabym się z tym znajomym, Darek by patrzył, potem znajomy by się przyglądał, jak baraszkuję z Darkiem, na koniec pewnie mnie przypadłoby w udziale obserwowanie obcujących ze sobą panów. Wtedy to już musiałabym się napić. Niestety, nie jestem aż tak nowoczesną wróżką. Odmówiłam. I moje przeznaczenie poszło sobie w siną dal.

17 kwietnia, piątek

Oczekiwanie na to, co los przyniesie, to jedno z najbardziej uciążliwych wyzwań, jakie stają przed człowiekiem. Przeżywam rozterki, czy to uczciwie umawiać się z kimś, kogo z założenia nie traktuję jako kogoś ważnego w moim życiu. Takie spotkanie się bez wizji. Nawet jeśli od razu powiem, że nie widzę przyszłości dla takiej relacji, to ten mężczyzna wzbudza w sobie nadzieję i to mi przeszkadza. Z drugiej strony, nie chcę czekać w samotności. Czy to jest egoizm z mojej strony?

Jeden z panów oświadczył, że ma tak samo. Nie chce się z nikim wiązać po nieudanym małżeństwie, stawia na bardzo luźne relacje i taka forma „przyjaźni” mu odpowiada. Okej, stawiamy więc na rozmowę i sporadyczne spotkania, jednak już po dwóch dniach rozmowy zaczęły stawać się coraz dłuższe i coraz częstsze, i coraz bardziej osobiste, a znajomość przybierać formę coraz głębszego zaangażowania. Jestem coraz bardziej przekonana, że gdyby od razu postanowić, iż spotykamy się po to, by za kilka miesięcy się pobrać, to już po kilku dniach kontakt bardzo by się rozluźnił, a potem wygasł zupełnie. Zastanawiam się, czy to dobrze, że to kontynuujemy, uczuć przecież nie da się zaprogramować. Nie chciałabym nikogo skrzywdzić.

W poradniku dla gejsz wyczytałam, że właśnie na tym polegał ich fenomen, ta wartość, za którą mężczyźni gotowi byli tyle zapłacić. Te kobiety uruchamiały w sobie przede wszystkim zdolność przyciągania uwagi czymś tak ulotnym jak wdzięk. Przenikliwość spojrzenia, dyskretny uśmiech i wrażenie, że ta kobieta istnieje tylko i wyłącznie po to, aby trwać przy tym jednym mężczyźnie. Mało

słów, gesty, które mówią znacznie więcej, dyskretny dystans, ale też sprawianie wrażenia, że wszystko dane jest już na zawsze. Nieuchwytna i dostępna zarazem. Uległa i niezależna, skromna i gdzieś pod zwojami kimona demoniczna i namiętna. Zapowiedź nieoczekiwane. Wysoka cena, którą należało zapłacić za jej towarzystwo, podkreślała tylko wyjątkowość tej relacji. Uruchamiała w mężczyźnie chęć zdobywania, starania się, walki o trofeum. Dzięki temu mężczyzna czuł się spełniony, a ona dowartościowana.

Gejsze nie zastępowały nigdy żon, wypełniały lukę, która często pojawia się w długoletnich związkach. Stanowiły uzupełnienie, nie konkurencję. To jest chyba tajemnica udanych związków. Jacek mi kiedyś powiedział, że gdy relacje pozbawione są ciężaru oczekiwań, płyną sobie jak z prądem rzeki, są lżejsze, co nie znaczy, że pozbawione wymagań. Przeciwnie. Wymagania są znacznie większe. Jednym z nich jest potrzeba uznania własnej autonomii i szacunku. Istnienie dwóch odrębnych, niezależnych od siebie światów i kreowanie tego wspólnego, który funkcjonuje niejako obok, to klucz do sukcesu. Ciekawa rozmowa jest w rzeczy samej bardziej pociągająca niż najbardziej erotyczny wizerunek, a odnalezienie w partnerze dobrego słuchacza to cenniejsze niż piękny wygląd. Tym razem nie mam odwagi pytać moich kart. Czasem lepiej nie wiedzieć, co będzie...

24 kwietnia, czwartek

Zakończyłam swoje istnienie na portalu randkowym, jednym i drugim. Kogo miałam spotkać, spotkałam, czego miałam doświadczyć, doświadczyłam. Syrenka i jej bardziej drapieżna siostra Freya przechodzą do historii. Miałam już dość konwersacji w stylu:

- No i co powiesz?
- A co chciałbyś usłyszeć?
- A bo ja wiem?
- Cześć, na zdjęciu wydawałaś się grubsza, niższa i brzydsza!
- Rozczarowałam cię?
- Noo, nie... przynajmniej biust jest taki sam.
- Nie zamierzam nic w ciebie inwestować! Chcesz żyć, to żyj, ale nie ze mnie!
- Jak mam to rozumieć?
- Za swoją herbatę zapłać sama, bo ja zamówiłem wodę!
- Nie cierpię kobiet, które wyzyskują mężczyzn! Żerują na nich! Nic, tylko płąć i płąć! Ale ty mogłabyś zrobić coś z włosami i ten lakier na paznokciach jakiś taki... nijaki... żebym chciał się z tobą spotykać...
- A teraz nie chcesz?
- Mogę chcieć. To jutro przyjedź do mnie uczesana, umalowana, w pończochach i ładnej bieliźnie i zostań na całą noc!
- Proszę więc kupić pończochy, w końcu to twoja fantazja, nie moja.

Poproszę również o pieniądze na fryzjera, kosmetyczkę, manikiurzystkę, pończochy, bieliznę, taksówkę i prowiant na drogę!

– Oszalałaś?! Dlaczego mam ci kupować bieliznę?! Żebyś przed innymi w niej paradowała?!

– Ależ skąd! Wszystko zostanie u ciebie. Gdy przyjadę, przebiorę się w to, co mi kupisz, a gdy będę wychodzić, to wszystko zdejmę i zostawię. Przy okazji poczocharam się i zmyję lakier z paznokci.

– Co chcesz dostać na urodziny?

– Gwiazdkę z nieba!

– Załatwione! Jakies oczekiwania co do rozmiaru i kształtu?

– Niewielka, zgrabna, mało używana i o kremowej poświacie.

– Dobrze, już zamówiłem!

– Masz niesamowite oczy, gdy patrzę na ciebie, to zapominam, po co tu przyszedłem!

– Nie jestem milionerem, żeby pakować kasę w kobiety! Wszystkie kobiety to krwiopijki i pasożyty!

– To nie pakuj! Nie umawiaj się z nimi, to nie będziesz stratny!

– Skoro ja inwestuję w pączka i kawę, to ty też mogłabyś coś wydać!

– Dobrze, kupię ci kanapkę.

– To jest dla mnie niezręczne płacić za dziewczynę, za jej obiad, taksówkę, kwiaty, zupełnie jakbym był jej sponsorem! Co innego, jeśli ona zapłaci za hotel, a ja za obiad, wtedy jest okej.

– Wiesz, ja nie lubię dużo mówić, więc ty mów. Mów, mów, ja tylko odbiorę telefon.

Freya, ostatnio w osobie mojej niezastąpionej sąsiadki, próbowała zbałamucić niejakiego Jacka Frosta. Skończyło się na tym, że straciła przez niego pracę, i teraz wypłakuje mi się w mankiet. Czuję się trochę współwinną, bo przecież sama go na nią ściągnęłam, i w ramach rehabilitacji pomagam jej znaleźć nową pracę. Może kolejnego bloga zatytułuję *Bezrobotna wróżka* i opiszę swoje zmagania z internetowymi portalami serwującymi oferty pracy?

Syrenka415 pożegnała się, zostawiając kontakt do siebie kilku osobom. Jedna z tych osób zasypuje mnie teraz swoimi zdjęciami: w podkoszulku i bez podkoszulka, na rybach, na Saharze, za kierownicą tyłem, przy kotle z parówkami... No i pojawił się oczywiście na zakończenie Kolejny Pan Przeznaczenie. Dokładnie ten typ, który uwielbiam, wysoki, męski, silny brunet niebieskooki. Głos foniczny, aksamitny, mógłby mieć oko na plecach i drewnianą nogę z płetwą przy takim głosie. Z poczuciem humoru, dyskretnie zalotny... I co z tego, skoro ja nie jestem jego wymarzonym ideałem. Za wysokie progi, wyraźnie się mną rozczarował, niestety.

Pan Przemek tym razem mi przepowiedział, że tak będzie. Stwierdził

podczas ostatniej rozmowy, że wszyscy fajni faceci są już dawno pozajmowani, a ci dostępni to same fujary ze skazą mniej lub bardziej widoczną. Gdy mi powiedziałam, że to nieprawda, bo Kolejny Pan Przeznaczenie nie ma żadnej skazy, pan Przemek uznał, że w takim razie on się doszuka ułomności we mnie, i tak się stało. Tak czy owak, facet nie mój. Zdaniem pana Przemka, nigdy nie znajdę nikogo, kto chciałby pobyć ze mną dłużej, bo jestem wredna, złośliwa, paskudna manipulanka. Dlaczego paskudna, przecież on mnie nawet nie widział? Jednego będzie mi brakować: tego ruchu, zainteresowania tylu osób naraz, co wywoływało iluzję ogromnej atrakcyjności. Teraz rozumiem, dlaczego ludzie zakładają konta na portalach społecznościowych i cieszą się z „posiadania” 1500 przyjaciół. Niestety, potem pojawia się ten element realności, brutalna weryfikacja w postaci spotkania, kiedy nie jest już tak zabawnie, tak intrygująco i iluzorycznie. Trudno. Widocznie los przygotował dla mnie coś innego. Jutro piątek, posypią się pytania, jaki będzie przyszły tydzień. Trzeba się przygotować...

28 kwietnia, poniedziałek

Dziś poznałam bardzo sympatycznego Brazylijczyka. Wpadłam na herbatkę do Ryszardów i on tam był. Jest okropnie szpetny, ale obiecałam, że jeszcze się spotkamy na jakiejś kawce. Okoliczności poznania go były równie ciekawe jak on sam. Ów Brazylijczyk nazywa się Pedro i w Polsce przebywa od dwóch miesięcy. Rzeczywistość południowoamerykańska różni się od polskiej, jednak niektóre sytuacje zadziwiają również mnie.

Otóż Pedro wsiadł do tramwaju. Nic niezwykłego, w Rio też coś takiego widzieli. Pedro wiedział, że niezwłocznie po wejściu do środka należy skasować bilet, co też uczynił. Następnie rozejrzał się za miejscem siedzącym. Bolały go stopy, ponieważ miał na sobie świeżo zakupione buty, które piły go niemiłosiernie. Wolnych miejsc siedzących nie było. Pedro miał do przejechania spory kawałek. Zaobserwował przez tylną szybę, że w drugim wagonie jest luźniej. Postanowił więc przesiąść się, gdy tramwaj zatrzyma się na przystanku. Jak pomyślał, tak zrobił. Zmienił wagon. Ku jego uciesze, znalazło się wolne miejsce.

Na następnym przystanku wsiadł do wagonu kontroler biletów. Pedro bilet miał, nawet skasowany, okazał go, nie przeczuwając nic złego.

– Ten bilet jest nieważny – oświadczył kontroler.

Pedro nie zrozumiał, ponieważ nie włada językiem polskim. Uśmiechnął się, uznawszy, że ten sympatyczny pan komunikuje mu, aby spokojnie jechał dalej. Tymczasem kontroler nie odchodził i wyraźnie domagał się czegoś więcej. Pedro nie wiedział czego. Wzruszył ramionami i z przepaszającym uśmiechem popatrzył na kontrolera, bezradnie rozkładając ręce.

Ten nie ustępował i – w przekonaniu, że to pomoże – zaczął mówić wolniej i głośniej. Pedro głuchy nie był, ale język polski nawet w postaci cedzonych słów wciąż pozostawał dla niego językiem niezrozumiałym. W końcu pan kontroler

wykonał gest jednoznacznie pokazujący, że Pedro musi wysiąść. Pedro zaniepokoił się, dlaczego, za co, ale skoro tak trzeba...

Na przystanku kontroler wypisał jakiś dokument i wszystko dokładnie wyjaśnił bezradnemu cudzoziemcowi dość głośno i wyraźnie. Gdy jednak Brazylijczyk usiłował wsiąść do nadjeżdżającego tramwaju, stanowczo go powstrzymał. Pedro nie rozumiał, co się dzieje. Kontroler wskazał na biletomat, co zdziwiło Pedra, ale ponieważ miał jeszcze bilety w kieszeni, pokazał je kontrolerowi, który wpuścił go do wagonu. Cała historia powtórzyła się, Pedro skasował bilet, rozejrzał za wolnym miejscem, nie było takiego, na kolejnym przystanku przesiadł się do następnego wagonu, gdzie było luźniej, znów doszedł do niego kontroler, znów wysiedli, znów wręczył mu kwit i coś powiedział. Pedro pomyślał, że jak tak dalej pójdzie, to jeszcze długo po Sądzie Ostatecznym będzie jechał tym tramwajem. Cierpliwie przyjął kolejny papier od stanowczego pana, pokazał następny bilet i zbliżył się do drzwi nadjeżdżającego tramwaju. Tym razem wybrał drugi wagon, widząc, że ludzie tłoczą się zawsze w pierwszym. Sprawdził w kieszeni, że zostały mu jeszcze cztery bilety, starczy do przejechania na trzy przystanki. Skasował jeden z biletów i zajął miejsce blisko drzwi. Ku jego zdumieniu, kontroler do niego w ogóle nie podszedł. Pedro nie wysiadł z nim na przystanku, wysiadł ktoś inny. Zdezorientowany Brazylijczyk dojechał do celu podróży i tam opowiedział wszystko znajomej Polce, mojej klientce. Polka poprosiła, by pokazał jej owe kwity wręczane przez kontrolera. Na każdym z nich widniało to samo zdanie: *Kara za niemanie ważnego biletu.*

Jakie *niemanie*? Pedro miał bilety, i to skasowane! Kobieta udała się razem z Brazylijczykiem do siedziby Zarządu Transportu Miejskiego, żeby wyjaśnić sprawę. Przebieg rozmowy został przez nią nagrany.

– Pani znajomy skasował bilet w jednym wagonie, a potem przesiadł się do drugiego. To tak jakby zmienił tramwaj – wyjaśniła urzędniczka ZTM.

– Nonsens, to był ten sam tramwaj, przecież wagony są połączone! – Nie, proszę pani, każdy wagon to odrębny byt.

– A niech żyje nawet własnym życiem, ale kasownik pokazuje to samo!

– Nie szkodzi. Skoro ten pan zdecydował się jechać w jednym wagonie, to powinien przy tej decyzji wytrwać!

– Ale w tym wagonie był tłok, więc przesiadł się do drugiego, to był ten sam tramwaj!

– Powinien był od razu się zdecydować na jazdę tym drugim wagonem, wtedy nie byłoby problemu.

– A gdyby w drugim wagonie podróżowała kobieta z dzieckiem, którą zaatakowali chuligani, i ona w obawie o swoje bezpieczeństwo przesiadła się do pierwszego wagonu, żeby być bliżej motorniczego, to też ma skasować drugi bilet?



– Tak. A poza tym motorniczy to nie ochroniarz!

Wreszcie pani z ZTM uznała, że Pedro sam sobie zaszkodził, bo podróżował bez opieki tłumacza. Jeden mandat łaskawie anulowano, drugi był zmuszony zapłacić. Teraz Pedro chodzi pieszo. Na wszelki wypadek upewnia się przed wyjściem z domu, czy za przekroczenie chodnika w miejscu do tego nieprzeznaczonym nie zapłaci kary.

29 kwietnia, wtorek

Dzięki klientom i ich historiom mam szansę zastanawiać się nad sprawami, które pewnie nigdy nie obeszłyby mnie w takim stopniu. Chodząc do kościoła co niedziela, rzadko rozważałam tak wiele dogmatów religijnych i pozwalałam mojemu sumieniu rozleniwiać się, wierząc, że wystarczy słuchać, wierzyć, robić, co polecają, w razie przekroczenia wyznaczonych granic – szczerze się pokajać, i można dalej żyć. Teraz mam więcej wątpliwości. Lenistwo to skłonność do unikania wysiłku, koncentracja na tym, co jest przyjemniejsze, łatwiejsze, wymaga mniej pracy. Najprostszym przykładem lenistwa jest niepodjęcie jakiegokolwiek działania. Unikanie wysiłku w ogóle, intelektualnego, emocjonalnego fizycznego.

Poznałam jakiś czas temu osobę, która ogromnie dramatyzowała. Opowieść o jej życiu naszpikowanym przykrymi wydarzeniami wyciskała łzy z oczu. Wszystko przysięgło się przeciw niej. Rodzice, którzy wymagali, aby ukończyła szkołę i zdobyła zawód, nie docenili wysiłku związanego z uczeniem się i zamiast przewidzieć dla niej jakiś sponsorowany okres karencji, zmusili ją do podjęcia pracy. Praca w charakterze przedszkolanki była przykra, niewdzięczna i słabo opłacana. Wydawało się, że los się wreszcie do niej uśmiechnął, kiedy poznała pewnego mężczyznę. Pod każdym względem był on odpowiednim partnerem życiowym. Posiadał własną dobrze prosperującą firmę, mieszkanie własnościowe oraz zgodził się, aby jego partnerka nie pracowała zawodowo, tylko prowadziła dom. Zamieszkali razem, wkrótce przyszło na świat dziecko. Moja bohaterka nie udźwignęła ciężaru obowiązków i zażądała wsparcia od ojca dziecka. Ten zatrudnił nianię do pomocy, a potem jeszcze gosposię, aby mama mogła więcej czasu spędzać z synkiem. Gdy dziecko poszło do przedszkola, pan zasugerował delikatnie, że pani mogłaby zacząć realizować się zawodowo. Niestety. Jak pech, to pech. Okazało się, że pani jest w ciąży. Cały cykl powtórzył się, niania i gosposia na dobre zadomowiły się w rodzinie. Gdy młodsze dziecko dorosło do przedszkola, starsze poszło do szkoły. Pani wciąż nie miała możliwości, by wrócić do pracy.

Pewnego dnia pan oznajmił, że odchodzi do innej partnerki. Jako rekompensatę pozostawił naszej bohaterce 100 tysięcy złotych i możliwość dożywotniego zamieszkiwania w tym samym miejscu. Po dwóch miesiącach od jego wyprowadzki pani postawiła mu dzieci pod drzwiami, z bólem serca

przyznając, że nie stać jej na ich utrzymywanie. Od tamtej pory upłynęło pięć lat. Pani szuka pracy. Zawzięcie i wytrwale. Tak twierdzi. Wciąż padają propozycje nie do przyjęcia. Upokarzające ją pod względem finansowym lub osobistym. Oszczędności dawno się skończyły. Z czego zatem żyje owa pechowa pani? Odwiedza znajomych i znajomych znajomych. Prosi o pomoc, bo los tak bardzo jej nie sprzyja, z pomocy chętnie korzysta, a gdy jakaś sknera przebrzydła zaczyna jej tej pomocy odmawiać, to przeklina gadzinę, oby z piekła nie wyrzała. Bo przecież jej jest tak ciężko... Jakie padło pytanie? Kiedy wreszcie pojawi się ktoś, kto się nią zajmie? Odpowiedź: już tacy przy niej stoją.

8 maja, czwartek

*Drogi Cierpliwy Czytelniku!*

*Zastanawiałam się dziś nad zazdrością. Zazdrości doświadczył każdy. Już małe dzieci w naturalny i spontaniczny sposób podpatrują, czym bawi się sąsiad w piaskownicy i dlaczego jego zabawka jest fajniejsza od mojej. Nie zamierzam prowadzić naukowych wywodów na temat zazdrości. Wszak te listy to luźny zapis moich subiektywnych rozważań. W tym liście opiszę pewną historię, która wydarzyła się naprawdę i która raz na zawsze wyleczyła mnie z tak zwanej zazdrości dobrej dla związku. Ciekawi mnie, co Ty myślisz na ten temat. Szkoda, że nigdy się tego nie dowiem.*

*Oto na czele pewnej firmy stał prezes, mężczyzna po czterdziestce, przeciętnej urody, spokojny, skupiony na pracy i rodzinie. Codziennie pojawiał się w biurze pierwszy, wychodził jako jeden z ostatnich. Mężczyzna miał żonę, która była od niego starsza o kilka lat i nie pracowała. To ani jej, ani jemu nie przeszkadzało. Do czasu. Pewnego dnia ów prezes przyjął zaproszenie od jednego z dyrektorów przedsiębiorstwa na bankiet zorganizowany z okazji dwudziestolecia małżeństwa. Takie wyjścia należały u niego do rzadkości, przeważnie spędzał wieczory i dni wolne od pracy w domu, z żoną i dziećmi. Miła odmiana zawsze się przyda, pomyślał. Gdy pojawił się wraz z żoną na przyjęciu, obecne tam męskie towarzystwo natychmiast otoczyło wyjątkowego gościa, jego małżonką zaś zaopiekowała się pani domu. Po kilku godzinach małżonkowie tak opisywali swoje wrażenia:*

*– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś, że to takie wytworne grono? Wyglądałam jak ścierka do podłogi przy tych wszystkich ufryzowanych, wymalowanych i wystrojonych damulkach! Jak ostatni kocmołuch!*

*– Ależ kochanie, wszyscy byli bardzo mili, serdeczni...*

*– Może dla ciebie! Mnie lustrowano od stóp do głów! W dodatku dowiedziałam się, że masz wyjątkowo przystojną sekretarkę!*

*Prezes nie umiał sobie nawet przypomnieć, jak wygląda jego sekretarka. Owszem, ktoś tam siedzi za ścianą, odbiera telefony, papiery same na biurko też się nie kładą, ale w gruncie rzeczy było mu absolutnie obojętne, kto tym zawiaduje. Gdyby okazało się, że to jest staruszka o lasce albo łysy facet, też by się nie zdziwił. Jednak jego żona nie ustępowała. Przez kolejne dni, tygodnie, miesiące wciąż perorowała na temat ładnej sekretarki. Domagała się jej zwolnienia, wyrzucenia, przeniesienia na inne stanowisko, przeprowadzenia na jej twarzy i figurze zabiegów oszpecających. Robiła to tak wytrwale i tak konsekwentnie, że w końcu prezes zainteresował się, jak wygląda jego sekretarka. Dwa lata później prezes rozwiódł się z żoną i ożenił z sekretarką. Zamknął ją w domu i ograniczył grono znajomych do kobiet i mężczyzn po siedemdziesiątce. Utracił swój spokój, pogodę ducha, stał się zaborczy i zgryźliwy.*

*Jaki morał płynie z tej historii? Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Gdy nie wiem, że istnieje gdzieś przedmiot pożądania, to go nie pożadam – i kłopot z głowy, prawda?*

*Pozdrawiam, Emilia*

11 maja, niedziela

Moja babcia, mama mojej mamy, należała do grona osób tak zwanych niepokornych, mających własne zdanie i opinię na każdy temat. Z czasem jej upór w kwestii wyłącznie samodzielnego wykonywania wszystkich czynności zmalał, lecz przekonanie, że wolność jednostki polega na manifestowaniu w sposób oczywisty własnego zdania – nigdy. Nie zaskoczyło mnie więc, gdy zatelefonowano z komisariatu policji, że do odebrania jest babcia. Ciekawiło mnie natomiast, co tym razem babcia postanowiła udowodnić, skoro zatrzymała ją policja. I co babcia robi w naszym mieście, skoro zazwyczaj potrzeba, aby ktoś ją tu przywiózł. Zanim to ustaliłam, pojechałam na posterunek.

Okazało się, że babcia – przywieziona przez któregoś z wujków – postanowiła przechodzić przez jezdnię tam, gdzie uzna za stosowne, a nie tam, gdzie jej każą. Jak co niedziela udała się do kościoła, który znajduje się niedaleko miejsca zamieszkania wujka. Co mu do głowy strzeliło, żeby zostawiać babcie samą w kościele, tego nie wiem. Umówili się, że przyjdzie po nią i razem wrócą do domu autobusem. Ponieważ przystanek autobusowy, na który zmierzała moja babcia, znajduje się na wprost wyjścia z kościoła, zaś przejście dla pieszych leży

spory kawałek dalej, babcia uznała, że nie ma sensu się fatygować i pokonywać takiego dystansu, skoro ruch uliczny jest o tej porze znikomy. Babcia przeszła więc przez ulicę w niedozwolonym miejscu i zatrzymała się na przystanku. Spowodowało to natychmiastową reakcję policjanta, który wysiadł z radiowozu zaparkowanego tuż przy przystanku.

– Czy pani nie zdaje sobie sprawy z tego, że przed chwilą potencjalnie naraziła pani swoje życie oraz życie potencjalnego kierowcy, który mógł panią tu rozjechać?! – zagrział służbowo funkcjonariusz. – Przecież tam są pasy!  
– Wycelował paluch w bliżej nieokreślonym kierunku.

Pasy oczywiście zostały namalowane w najszerszej części jezdni, w takim miejscu, że nikomu z pieszych nie było wygodnie z nich korzystać, przy zbiegu trzech ulic, więc i kierowcy nienawidzili tego miejsca. Moja babcia tylko wzruszyła ramionami.

– Wielkie mi co! Akurat będę latała taki kawał, skoro tu mam na wprost! Z kościoła wyszłam!

– To tym bardziej powinna pani świecić przykładem! – oburzył się policjant.  
– Proszę, idziemy na drugą stronę razem i przejdzie pani zgodnie z przepisami.

Policjant chwycił moją babcie pod ramię i opierającą się przeprowadził przez ulicę. Następnie usiłował skierować ją w stronę rzeczonożego przejścia dla pieszych. Wtedy moja babcia uwolniła ramię i zaczęła krzyczeć.

– A właśnie, że nie pójdę! Niech mnie pan puści!

– Pójdzie pani, ja tego dopilnuję! – nie ustępował funkcjonariusz.

– Nie! I co mi pan zrobi?!

– Nie pozwolę pani przejść w innym miejscu!

– Tak?! To się jeszcze okaże!

Przez chwilę trwała szarpanina. Policjant był młodszy i dysponował większą siłą. Zawłókł więc moją babcie, która okładała go pięściami, do przejścia, a następnie, wciąż opierającą się, przeprowadził na drugą stronę. Przypadkowi gapie zastanawiali się, za co ów mundurowy aresztuje tę staruszkę. W osłupienie wprawilo ich, gdy policjant puścił kobietę wolno po drugiej stronie ulicy, po czym sam wsiadł do radiowozu i odjechał. Moja babcia tymczasem postąła przez chwilę na przystanku, a następnie pokonała jezdnię świńskim truchtem, oczywiście w niedozwolonym miejscu. Potem odwróciła się i wkroczyła dumnie na asfalt.

Radiowóz zajechał jej drogę. Ten sam policjant, czerwony na twarzy, siłą przesunął babcie na chodnik, ta się wyrwała i ostentacyjnie weszła na jezdnię. Policjant nie ustępował, dwa nadjeżdżające samochody zahamowały z piskiem opon przed zawziętą parą. Oboje dyszeli już ze zmęczenia. Gdy moja babcia znalazła się z powrotem na chodniku, jakieś złe w nią wstąpiło. Pokazała policjantowi język i złośliwie postawiła nogę na ulicy, oczywiście w niedozwolonym miejscu. Policjant sygnął iskrami z oczu i krzyknął:

– Po moim trupie!

Na co moja babcia:

– To już niedługo, mam nadzieję!

Policjant ruszył do boju niczym młody buhaj, jego kolega siedzący za kierownicą płakał ze śmiechu, ludzie stojący na przystanku nie wsiadali do nadjeżdżających autobusów, bo żal im było stracić zakończenie tej historii. Ale to był już koniec przedstawienia. Babcie przewieziono na komisariat, gdzie stanowczo odmówiła podania swoich danych personalnych, bo, jak stwierdziła, przed wojną kobieta ujawniała swoje imię i nazwisko tylko dżentelmenom. Na szczęście przypomniała sobie numer telefonu do mnie. Policjant, gdy mnie zobaczył, nie powiedział już ani słowa.

12 maja, poniedziałek

Na portalu ezoterycznym cisza i spokój, klientów bardzo mało. Przestraszyłam się, że stracili do mnie zaufanie, ale zauważyłam przestój także u innych doradców. Piękna pogoda, to i problemy uleciały. Wakacje za pasem, każdy myśli o przyjemnościach, a nie o przeznaczeniu.

U mnie też jak co roku budzi się nadzieja, że to nadchodzące lato będzie wreszcie przełomowe, że kogoś poznam i będę mogła wspominać po latach. Tak, moje kochane wnuki, poznaliśmy się z dziadkiem tamtego lata, było upalnie...

Na razie jednak nie zanoszą się na nic poza pracą. Zupełna pustynia. Przeglądałam dziś inne strony portali randkowych. Może zbyt pochopnie zrezygnowałam? A może, idąc za przykładem innych, założyć nowe konto i zacząć jeszcze raz?

Trochę zraża mnie to, że kandydatki i kandydaci są prezentowani jak na wystawie sklepowej, tylko że tu jest sklep internetowy. Brunetka, zielone oczy, szczupła, umie gotować – raz – wysoki blondyn, po trzydziestce, bez zobowiązań – do koszyka. Nie bardzo mnie to przekonuje. Moja sąsiadka jest w tym biegła, ona funkcjonuje na trzech lub czterech portalach równocześnie. Stale się z kimś spotyka. Tyle że są to znajomości bardzo szybkie, takie chwilówki. Randka, spotkanie, kolacja i następny. Ja nie mam czasu ani ochoty na coś takiego, choć czasem jej zazdroszczę. Po poprzednich doświadczeniach nie bardzo mam ochotę znów zaczynać, ale za czymś tęsknię, coś się działo. Moje życie jest takie monotonne...

13 maja, wtorek

Sąsiadka Roksana trochę przesadziła. Jeden z mężczyzn, którego zaprosiła do domu, zaproponował zabawę w panią i jej poddanego. Roksana za bardzo wczuła się w rolę i stłukła faceta na kwaśnie jabłko, tak że ten nie mógł usiąść. To ją trochę przystopowało, ale tylko trochę, bo już umówiła się z następnym. Ona to ma zdrowie!

14 maja, środa

Gdyby ktoś opowiedział mi taką historię, pewnie bym nie uwierzyła. Jednak to prawda i muszę w to uwierzyć, bo mnie się przytrafiła. Ten dzień spędziłam w domu, zrobiłam przegląd garderoby, w końcu niedługo jadę do Maroka. Dzwonek do drzwi zastał mnie przy sukienkach i pantoflach. Przymierzałam, co do czego pasuje. Poszłam otworzyć. W drzwiach stała nieduża, okrągła staruszka. Zaraz zauważyłam, że ma na sobie dwa płaszcze, jeden założony na drugi, a na głowie męski kapelusz. Wyciągnęła do mnie rękę. W dłoni trzymała jajko. Zwykle kurze jajko. Mówiła szybko, bez przystanków na oddech.

– Pani mnie wpuści do domu, ja muszę zaraz ugotować to jajko na twardo, bo ja to jajko dostałam od jednej pani z dołu, i niech pani dobrze zamknie drzwi, bo tacy jacyś się kręcą po okolicy, jeden to nawet teraz za mną idzie, pewnie ma młotek w kieszeni...

Nawet nie zauważyłam, kiedy przeniknęła do mieszkania i zaczęła po nim dreptać, nie przestając mówić. Chyba mnie zamroczyło, bo postawiłam na kuchni garnuszek z wodą i włożyłam do środka to jajko. Staruszka cały czas mamrotała o tym jednym z młotkiem, co ją śledzi. Zaczęłam bardziej bać się tego z młotkiem niż jej. W pewnej chwili rozległo się pukanie. Nie wiem dlaczego, ale wyobraziłam sobie tego jednego, jak puka. Tym młotkiem, chociaż dzwonek działa.

Ostrożnie otworzyłam drzwi. Na progu stał młody mężczyzna o dość sympatycznym wyrazie twarzy, a z kieszeni spodni wystawał trzonek od młotka. Ani chybi ten zbir z młotkiem!

– Szukam mojej babci – powiedział zbir. – Remontuję jej mieszkanie i drzwi nie są zamknięte na zamek, a babcia stale mi ucieka.

Głową wskazałam mu kuchnię, w której staruszka czekała, aż jajko się ugotuje. Mężczyzna wszedł, ujął staruszkę pod ramię i delikatnie skierował ku wyjściu.

– A jajko? – zapytałam jak skończona idiotka.

Mężczyzna zawahał się, przyjrzał mi się uważniej i zerknął na garnek z parującą wodą. Po chwili wyszli, on, babcia i mój garnek z tym jajkiem w środku. Gdy wróciłam do pokoju, spojrzałam w lustro i zrobiło mi się okropnie głupio. Miałam na sobie dwie różne sukienki, założone każda na inne ramię, i buty w różnych kolorach, lewy był zielony, prawy był żółty. Na ramieniu siedziała mi papuga, między nogami sterczał czarny pies, który na zmianę szczekał, merdał i ziewał, bo nie mógł się zdecydować, jaki ma stosunek do gościa.

15 maja, czwartek

Garnek odzyskałam następnego dnia. Sąsiad ma na imię Jurek. Bardzo miły gość. Taka złota rączka, może się kiedyś przydać, ogromnie sympatyczny. Pogawędziliśmy chwilę, jak to sąsiedzi. Kiedy Jurek zapytał, czym się zajmuję, zawahałam się, ale powiedziałam mu prawdę. Zdziwił się, ale nie uciekł. Zapytał tylko, gdzie jest czarny kot. Gdy pokazałam mu mojego koto-psa, który musi

przesypiać całą dobę: w dzień śpi, bo jest kotem, a w nocy, bo jest psem, roześmiał się. Bolek przedstawił się sam: „Boluś Abziuś, buzi!”.

Z Jurkiem mogłam swobodnie sobie porozmawiać o wszystkim, to bardzo fajne uczucie. Nawet czarna herbata z cytryną nie budziła w nim sprzeciwu. Wytłumaczył mi, że przeprowadził się do babci, bo uciążliwym było stałe dogłądanie jej na odległość. Jest pisarzem, pisze książki dla dzieci. To pewnie dlatego ma w sobie tyle ciepła i wyrozumiałości. Poprosiłam go, aby mi przyniósł kiedyś jedno ze swoich opowiadań. Obiecał, że to zrobi.

17 maja, sobota

Nie mogę znaleźć sobie miejsca. Dowiedziałam się z telewizji, że Michał zaginął. Wybrał się ze szwagrem w góry i ślad po nich przepadł. Szukają ich już trzecią dobę. Przypomniał mi się ten masakryczny sen i nie mam odwagi zapytać kart o to, co się stało. Nie przyjmuję żadnych klientów. Jestem w rozsypce, nawet nie mogę pisać. Boluś pociesza mnie jak może, ale nawet jego buziaki i głośne cmoknięcia nie pomagają, rozpaczam.

26 maja, poniedziałek

Już po pogrzebie. Smutne. Młody człowiek odszedł. Wybrali się ze szwagrem w góry i coś poszło nie tak. Obaj spadli w przepaść. Znalezione ich dopiero po pięciu dniach od zaginięcia. Widziałam to. Dlaczego nic nie zrobiłam? Ogarnia mnie złość. Mam paskudne myśli, wiem, że to nie moja wina, ale mimo to nie umiem sobie wybaczyć. Czy tak wygląda grzech zaniechania? Dlaczego złość jest grzechem, skoro nie jest to reakcja kontrolowana, czyli pozostająca w obszarze całkowicie zależnym od woli człowieka? Gniew może być uzasadnioną reakcją człowieka, gdy jest niezgodą na zło, a człowiek nim ogarnięty potrafi nad sobą zapanować i nie pozwala sobie na niekontrolowane wzburzenie. Ewangelia podaje przykład takiego słusznego gniewu Jezusa wobec kupców w Świątyni (por. Mt 21,12–17; J 2,13–22). Był to święty gniew, będący reakcją na zniewagę Boga. Gniew jest grzechem wówczas, gdy go świadomie dopuszczamy do głosu, prowokujemy jego wybuch i podtrzymujemy go, a jego skutki poważnie naruszają miłość bliźniego. Taki nieopanowany gniew prowadzi do nienawiści<sup>[2]</sup>.

Dopuszczam się świadomego popełnienia szóstego grzechu głównego co wieczór, gdy zasiadam przed telewizorem i zupełnie przez nikogo niezmuszana włączam kanał informacyjny. Z własnej nieprzymuszonej woli w krótkim czasie doprowadzam się do stanu wrzenia, który z natury rzeczy musi znaleźć ujście. Zaczyna się od komentowania na głos. Kłóczę się z telewizorem, złościę na to, co sobą pokazuje, ale jeszcze mi mało. Oglądam dalej, nie tylko programy informacyjne, także te wypełnione komentarzami tak zwanych ekspertów. W niedługim czasie doprowadzam się do takiego stanu, że zwykle płucie jadem już mi nie wystarcza. Potrzebny mi interlokutor. Napadam więc na wszystkich domowników, wyrażam pretensję wobec pogody, że znów nie taka, jak być

powinna, ciskam się i tłukę garami, bo przecież muszę rozładować złość, która się we mnie nagromadziła.

Potem wyprowadzam psa na spacer. Pierwsza napotkana przeze mnie osoba rozpoczyna rozmowę od słów: „Słyszała pani, że ten... powiedział w telewizji... a ten drugi to skomentował... a wiadomo przecież, że obaj kłamią. Ten... to powiedział”. Przez jakiś kwadrans wypełniamy przestrzeń inwektywami i kniemy, na czym świat stoi, po czym uśmiechnięci wracamy do domu. Rozładowani. Powietrze spuszczone. Spokój i dobry nastrój. Wtedy włączam radio... albo komputer... lub biorę gazetę do ręki... Złość jest mi potrzebna.

27 maja, wtorek

Wróciłam do pracy. Ciężko rozmawia się z klientami. Ich sprawy wydają mi się teraz banalne. Pytania, jak mogłam się spodziewać, dotyczyły tego, czy pojawi się wakacyjna miłość, czy podróż przebiegnie pomyślnie, czy biuro podróży nie zbankrutuje, czy mąż pozostający sam w domu nie znajdzie kochanki. Dużo telefonów, zarobię na wakacje. W końcu życie toczy się dalej.

Jurek podrzucił mi część swojej powieści. Jest bardzo ciekawe, to fragment książki, którą pisze. Będzie to autobiograficzna powieść pewnego psa o imieniu Pimpuś, który opowiada o swoim psim życiu. W założeniu potem pojawi się kontynuacja, bo Pimpuś pozostawi następcę, który także będzie opisywał swoje wspomnienia, ale w formie listów do mamy. Fajne. Bardzo podniosło mnie na duchu. Taki promyczek ciepła na serce.

Oto fragment:

*Nazywam się Pimpek i jestem już starym psem. Wiele w swoim długim psim życiu przeszedłem i wiele widziałem. Do napisania tych wspomnień skłonił mnie po pierwsze fakt, że ludzie – wbrew temu, co sami sądzą – nie rozumieją za dobrze nas, zwierząt (choć czasem nie chcą zrozumieć) i ta książka może posłużyć im za podręcznik. Może po jej przeczytaniu inaczej spojrzą na swojego Mruczka czy Azorka i nareszcie zaczną go słuchać. Drugim powodem jest myśl, że tak wielu z nas, wiernych, oddanych przyjaciół odchodzi, pozostawiając po sobie jedynie mgliste i zanikające z czasem wspomnienie – a i to nie zawsze.*

*Chciałbym poświęcić ten utwór wszystkim zwierzętom, kochanym i odrzuconym, mądrym, naiwnym, psom, kotom, krowom, kurom, a nawet gołębiom, które – przyznam szczerze – nie za bardzo lubię. A więc kochani, to będzie książka o Was i dla Was. Część I.*

*Urodziłem się w małej wsi, w zagrodzie, która do dziś dnia jest dla mnie najdroższym miejscem na świecie. Było nas czterech i byliśmy ostatnimi dziećmi naszej matki – Cygi. Dwóch moich braci Urwis i Puszek, pozostało we wsi, z trzecim rozstaliśmy się, kiedy jeszcze byliśmy szczeniakami, i nie wiem, co się*



*później z nim stało. Przez pierwszych kilka tygodni naszego życia wychowywała nas mama. Była bardzo mądrą i kochaną psicą i wszystko, czego mnie nauczyła, przydało mi się później w życiu. Mgliście ją pamiętam, ale czarne futro i biały krawat pod szyją to ja dostałem w spadku, byłem z nas wszystkich najbardziej do niej podobny.*

*Matka wychowywała nas surowo, ale karała sprawiedliwie. Od najmłodszych lat uczyła nas czekać i zabiegać o swoje. Wpajała nam, że dobrego człowieka trzeba kochać i szanować, i nie odstępować go na krok, a złych ludzi demaskować i ostrzegać przed nimi innymi. Pokazała nam, co to znaczy wierność, a gdy Urwis, który został przy gospodarstwie, urósł na tyle, by móc strzec domu, chciała odejść w świat, żeby ustąpić mu miejsca. Nie pozwolili na to ludzie. Gospodyni, która moją mamę kiedyś przygarnęła, poszła za nią i przyprowadziła ją z powrotem. Pamiętam, że moja mama popłakała się wtedy ze wzruszenia i powiedziała nam wszystkim: „Pamiętajcie, że za dobrego pana czasami trzeba nawet oddać życie, albo nawet i kość!”. Nie było mnie przy tym, kiedy umarła. Ale wiem, że do końca swoich dni była szczęśliwa. Przez pewien czas zazdrościłem Urwisowi, że to on został w naszej rodzinnej budzie, zazdrościłem też Puskowi, który zamieszkał kilka domów dalej, w tej samej wsi. Ja, jako pierwszy z naszego rodu, pojechałem do miasta. Nie wiedziałem, co mnie czeka, i z drżeniem serca patrzyłem w przyszłość.*

29 maja, czwartek

Pan Przemek zaprosił mnie na sobotę na majówkę. W pierwszym odruchu chciałam odmówić, bo jego towarzystwo przez kilka godzin to raczej udręka niż przyjemność, ale przeważyła ciekawość. Ja go jeszcze przecież nigdy nie widziałam. Majówka zostanie zorganizowana u niego na działce. Poprosiłam, aby wytłumaczył mi, jak tam trafić, ale na razie wiem, że to gdzieś w lesie.

30 maja, piątek

Od rana chandryczę się z panem Przemkiem. Po co mi to było? Gdy dopytuję, jak dojechać do jego działki, on odpowiada mi tak, że nikt by nie zrozumiał. Nie wywróżę sobie przecież z kart, gdzie to jest. Podał mi niby dokładną instrukcję, ale to wszystko kupy się nie trzyma. Mam tam dotrzeć na czwartą, ale nie umiem oszacować czasu przejazdu, bo nie znam drogi. Zwariować można! Jednocześnie wysyła mi pięćset SMS-ów na minutę z pytaniem, czy na pewno przyjadę. Muszę jednak wybrać się do Jacka na terapię!

31 maja, sobota

Sprawdziłam na mapie nazwę miejscowości i na tej podstawie ustaliłam sobie trasę. Wyruszyłam z domu odpowiednio wcześniej, bo już wiedziałam, dokąd zmierzam. Przynajmniej tak mi się wydawało. Gdy byłam już gdzieś w połowie

drogi, zatelefonował pan Przemek z propozycją, że po mnie przyjedzie. Nie umiałam mu dokładnie wytłumaczyć, gdzie jestem, bo autobus wjechał w las. Powiedziałam więc, że zadzwonię, gdy zatrzyma się na przystanku, i podam jego nazwę. Autobus dotarł tam mniej więcej po trzech minutach, przez ten czas odebrałam osiem połączeń od pana Przemka. Pozostali pasażerowie chórem odpowiadali razem ze mną: „Jeszcze nie!”.

Gdy podałam nazwę przystanku, pan Przemek uznał, że jadę w złym kierunku, i kazał mi wysiąść. Na to wtrącił się jakiś pan i zaczął z nim dyskutować, że kierunek jest jak najbardziej właściwy. Kłócili się przez dłuższą chwilę i ten pan przeoczył swój przystanek, na którym miał wysiąść. Poczułam się zażenowana, tym bardziej że teraz już cały autobus spierał się, gdzie dokładnie się znajdujemy i dokąd jedziemy. Doszło do tego, iż na kolejnym przystanku do dyskusji dołączył kierowca i nie jechaliśmy nigdzie przez kolejny kwadrans. Gdy wreszcie dotarłam do miejsca, które mapa wskazywała jako docelowe, pan Przemek siedział na ławeczce i czekał. Inaczej go sobie wyobrażałam. Byłam pewna, że jest to chudy, niewysoki facet z garbatym nosem i ziemistą cerą, lekko łysiejący na zakolach, o nieokreślonej barwie oczu i włosów. Tymczasem powitał mnie uśmiechnięty wysoki blondyn o niebieskich oczach. Uśmiechnął się do mnie i pocałował mnie w policzek.

– Idziemy?

Najpierw szliśmy wzdłuż drogi. Strasznie było gorąco, a na tej drodze chyba skumulowało się całe ciepło tego lata. Choć to dopiero wiosna. Idziemy przez las w milczeniu, ale ta cisza jest miła, nie przykra. Domek na działce to w rzeczy samej domek na wsi. Taki w starym stylu, z gankiem, sienią i werandą. Gdy weszliśmy do środka, poczułam przyjemny chłód, powiał lekki wietrzyk wywołany przeciągiem. Spojrzałam mimochodem na ścianę, na której wisiał kalendarz, kartki podniosły się do góry i zobaczyłam kątem oka 54...

– Witaj. – Podeszła do mnie bardzo miła i uśmiechnięta od ucha do ucha kobieta. To była jego matka. – Przemek od rana przeżywał twój przyjazd, niczego nie pozwolił tknąć. Od wczoraj gotuje, smaży, kroi i doprawia. Musisz być ogromnie ważną osobą!

Weszliśmy do środka. Pan Przemek gdzieś przepadł, ale nie przeszkadzało mi to. Na lewo od wejścia był duży pokój z wyjściem na werandę. Stał tam stół, już nakryty, jeszcze kilka osób siedziało lub stało w pobliżu. Na brzegu stołu dostrzegłam koszyk z grzybami, który matka pana Przemka zdjęła z uśmiechem.

– To dla ciebie. Przemek zbierał maślaków!

Dziwnie się czułam, tak mocno adorowana przez człowieka, którego wprawdzie już znałam, ale dziś zobaczyłam pierwszy raz w życiu. Co chwila nakładał mi coś na talerz, stale czegoś ode mnie chciał, nie mogłam podrapać się po nosie, żeby tego nie zauważył. Co jakiś czas dochodziło między nami

do utarczek słownych, dzięki czemu reszta towarzystwa bawiła się wspaniale. Ale i oni dostarczali rozrywki nam.

– Mąż mojej pierwszej córki, tej drugiej, z czwartego piętra – zaczął jegomość z wąsami jak sarmata – to miał taką czuprynę, że można nim było sedes czyścić. Jakby wziąć za nogi, to akurat, idealnie...

– Pewnego lata nocowała tu moja ciotka – zaczął opowiadać inny pan. Panie siedziały raczej w milczeniu. – Była mocno przewrażliwiona i stale się bała, że ją ktoś napadnie. Wieczorem zabarykadowała drzwi wejściowe, ale zapomniała o oknie. W nocy pojawili się złodzieje. Ciotka ustawiła łóżko blisko okna, bo tam było jej chłodniej, i jeden z bandytów, wchodząc, poślizgnął się i upadł cioci na twarz dupskiem. Ta się tak wystraszyła, że zerwała się z łóżka, i niosąc zbaraniałego faceta na barana, błyskawicznie odblokowała drzwi i wybiegła na dwór. I wszystko w absolutnej ciszy, bo ciotka była w szoku. Kiedy drugi złodziej zobaczył nadlatującą dwumetrową postać, rzucił worek z dotychczasowym łupem i uciekł w las. A wrzeszczał, jakby go ze skóry obdzierali. Ten na ciotce bał się poruszyć, a ona biegła z nim w tę i z powrotem, dopóki nie straciła sił. Wtedy go zrzuciła, ale upadł tak, że złamał nogę i nigdzie nie uciekł. Gdy policjanci przyjechali i ustalili, co zaszło, to omal nie umarli ze śmiechu. A tego, co uciekł w las, to podobno jeszcze szukają...

– A pamiętasz, jak ciotka pogoniła takiego jednego, co się tu kręcił i sprzedawał grzyby? – wtrąciła się mama pana Przemka. – Wybiegła z domu z nożem umazanym krwią, bo akurat kroić mięso. Facet tak uciekał, że pogubił klapki, a ona biegła za nim z tym nożem i wrzeszczała: „Chodź tu, no chodź tu, przecież cię nie zjem!”.

– Tak, dobre też było wtedy, gdy policja przyjechała prewencyjnie i ciotka powiedziała, że bandyci przyjdą ją w nocy gwałcić. Na to jeden z policjantów odparł, że w takim razie nie będą tego wieczora patrolować tej okolicy.

Gdy się ściemniło, pan Przemek odwiózł mnie do domu. Przez całą drogę nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa.

5 czerwca, piątek

Pan Przemek urządził mi dziś karczemną awanturę, sama nie wiem dlaczego. Krzyczał i krzyczał. Może za dużo zjadłam wtedy tej karkówki?

Kilka SMS-ów i kilka odpowiedzi:

• *Moja najlepsza koleżanka odbiła mi chłopaka. Gdy rok temu ja jej zrobiłam to samo, to powiedziała wtedy, że tak się nie robi. Co mam o tym myśleć?*

• *Z natury jestem nieśmiała, z wyglądu przeciętna. Co mam zrobić, żeby mężczyzna, którego kocham, zwrócił na mnie uwagę?*

• *Czy to prawda, że biegając przez godzinę, traci się 300 kcal? Pojutrze mam studniówkę i chciałabym stracić więcej, co robić?*

Odpowiedziałam, żeby na pół godziny zostawiła portfel w widocznym

publicznym miejscu, wtedy straci na pewno znacznie więcej.

- *Jestem zrozpaczona, ponieważ rzucił mnie mój chłopak. Chodziliśmy ze sobą już dwa dni i on mi stale mówił, że jestem pospolita i do zastąpienia, i że jak tylko wyleczy swoje pryszczki na brodzie, to wszystko się zmieni. A ja mu to cierpliwie wybaczałam i stale byłam przy nim. Dlaczego mnie porzucił?*

Oczywiście zwariował. Żaden chłopak przy zdrowych zmysłach nie porzuca dziewczyny, która jest pospolita i do zastąpienia, bo jak wiadomo na tym świecie chodzą same ideały.

- *Nie wiem, jak postąpić. Pewnego razu byłam na dyskotecę z moim chłopakiem. W pewnym momencie zjawił się ON. Kiedy po raz drugi poprosił mnie do tańca, wiedziałam już, że to MIŁOŚĆ. Ale przyszedł mój chłopak i powiedział, że się zbieramy. Wyszłam z chłopakiem i teraz żałuję. Co robić, by odzyskać tamtego?*

- *Ja mam prawdziwy problem! Ani przez chwilę nie mogę być sama! Co parę sekund dzwoni telefon lub dzwonek u drzwi. Bez przerwy mnie ktoś zaczepia. A czy to moja wina, że mam blond włosy, niebieskie oczy i figurę modelki? Nie wiem już, co robić?!*

8 czerwca, poniedziałek

*Wytrzymały, choć wciąż milczący Czytelniku!*

*Przyszedł wreszcie ten moment, kiedy postanowiłam napisać do Ciebie ostatni list. Będzie to oczywiście list miłosny. Zaraz po jego napisaniu popełnię samobójstwo. Gdybyś mimo to chciał się ze mną skontaktować, to nagraj wiadomość na pocztę głosową. Odsłucham zaraz w następnym wcieleniu.*

*Najdroższy Mój Ukochany!*

*Czy spałeś tej nocy? Bo ja nie. Ani jednej minutki. Byłam zbyt olśniona, oczarowana i szczęśliwa. Chyba już nigdy nie będę mogła spać. Ani jeść. Ale mam nadzieję, że Ty spałeś.*

*Drogi Mój, zapewne czekasz, aż wyjaśnię, dlaczego jest mi tak cudownie i lekko na duszy. To dlatego, że bardzo Cię lubię. Wykreowałam w swojej wyobraźni Wyobrażenie Ciebie, które jest tak doskonałe, że aż mi dech zaparło, gdy zobaczyłam Je po raz pierwszy. Zakochałam się od pierwszego wejrzenia. Mam nadzieję, że jesteś choć w połowie do Siebie podobny. Niestety, od razu dopadły mnie wszystkie rozterki i okropności związane z odczuwaniem miłości. Boję się nieustannie, że coś Ci się złego stanie, że zadławisz się ością z ryby, że nieostrożny kierowca rozjedzie Cię na miazgę, gdy na swych boskich umięśnionych nogach będziesz przekraczał jezdnię. Kochany! Nie przechodź przez jezdnię! Martwię się, że w swojej dobroci poczęstujesz nieznanomego łykiem kawy z własnego kubeczka*

*i nabawisz się ciężkiej i nieuleczalnej choroby, w wyniku czego trzeba będzie Cię dobić. Te wszystkie paskudne zarazki, które tylko czekają, by Cię zniewolić, osiąść, zawładnąć Tobą na zawsze!*

*Mój Najmilejszy, nie powinieneś też rozglądać się na boki! Patrz zawsze prosto przed siebie, a najlepiej pod nogi, wtedy nie potkniesz się i nie okaleczysz swojego boskiego ciała. Straszne podejrzenia legły na mojej duszy niczym sadza na kominie. Ukochany, wybac mi, ale nie mogę wprost przestać się niepokoić, że otoczony przez nieprzebrane tłumy kobiet ulegniesz, poddasz się instynktom, które w Tobie drzemią, Zwierzaku!*

*Dotychczas mogłam żyć swobodnie, lekko, radośnie, nie zdając sobie sprawy z tego, że istnieje Ktoś taki jak TY. Teraz mój spokój rozproszył się, znikł bezpowrotnie. O ja nieszczęsna, która nie zdawałam sobie sprawy, Kogo mogłabym utracić! Ciebie, Skarbie! Ale teraz moje życie wypełnia Jedna Wielka Troska. Jest ona tym większa, że nie wiedząc, kim jestem, szukając mnie pośród innych, zatrzymasz swój boski wzrok na jakiejś lafiryndzie bez polotu. Nie wiem, co bym wtedy ze sobą zrobiła! Obawiam się, że przestałabym pisać do Ciebie, Najukochańszy Mój! Musiałabym Cię odnaleźć i dać Ci solidnie po pysku. Moim słodkim, idealnym, bez skazy jedynej Pyszczku, Mordeczce Kochanej. Nie pozwól na to, Jedyne Mój Mężczyzno! Nie czytaj tego listu, proszę, zniszcz go przed przeczytaniem, spal, zakop, zjedz...*

*Pozdrawiam, Emilia*

Czy tego właśnie chciało mnie nauczyć moje przeznaczenie? Że nie ma nic pewnego ani nic stałego i że największy sens i poczucie bezpieczeństwa wywołują ciągle zmiany? Przemijanie ma sens, ma sens, ma sens...

15 czerwca, poniedziałek

Pan Przemek zamilkł. Klienci też na razie nie dobijają się za mocno. Dobrze, bo jestem trochę zmęczona i potrzebuję odpoczynku. Nasz wyjazd do Maroka dopiero za miesiąc.

17 czerwca, środa

Dziś klienci zasypali mnie mailami z mnóstwem trudnych pytań. Czasem naprawdę niełatwo jest odpowiedzieć tak od razu. Robię sobie wówczas gorącą herbatę z cytryną, przez chwilę skupiam się w milczeniu, z zamkniętymi oczami, czasem patrzę w dal, nie myśląc o niczym. Dopiero wówczas zaczynam pisać, a słowa same płyną.

*Witam. Jestem już za stary, żeby coś w życiu zmieniać, jestem zmęczony*

*i chory. Trudno mi pogodzić się z tym, że moja zawodowa kariera została złamana przez niewłaściwe decyzje. Nie mam już siły walczyć. Pracuję ciężko, inni podpisują się pod moimi osiągnięciami, płacą mi marnie, jestem dyskryminowany. Jakaś rada dla mnie?*

Pan „cierpi” na chorobę zwaną strachem, dodatkowo obciąża Pana poczucie odpowiedzialności i świadomość, że zawiódł Pan na wszystkich frontach. Dał się Pan wcisnąć w sytuację, gdzie strach jest głównym rozgrywającym, zaś lęk przed pogorszeniem sytuacji blokuje Pana tak bardzo, że nie jest Pan w stanie dostrzec nowych możliwości, a tym bardziej z nich skorzystać. Nie ma Pan nic do stracenia, bo już jest źle, więc może być tylko lepiej.

*Szarzyzna życia, kłopoty materialne, praca, różne materialne niepowodzenia i codzienność bardzo nas przytłoczyły. Ja się ciągle staram i dbam o związek i rodzinę, ale partner się jakoś na mnie zamknął i odsunął, jest skupiony bardzo na zarabianiu pieniędzy. Jaka przyszłość nas czeka? Czy nasz związek poprawi się? Nie chcę rozstania. Mój partner to była zawsze dla mnie bratnia dusza i przyjaciel, więc tęsknię za dawną zażyłością.*

Proszę i nalegam, aby podjęła Pani tę walkę, bo to jest walka o siebie. Nie może Pani poddawać się i godzić na to, co Panią spotyka, skoro jest to niesprawiedliwe. Błogosławieni, którzy łakną sprawiedliwości, bo oni zostaną nasyceni! Prawdziwe życie to ciężki trud, nie luksus i łatwość, a w Pani jest moc, tylko nadszarpnięta. W państwa życiu jest miłość, czyli najważniejszy fundament. Lęki trzeba nią leczyć. Miłością. Postarajcie się państwo przypomnieć sobie, po co to wszystko było, dlaczego kiedyś podjęliście decyzję, żeby być razem, i zastanówcie się, czy to zniknęło. Materia jest nietrwała, dziś jest, jutro nie ma, ale relacja pozostaje wieczna, gdy opiera się na miłości. Kiedy to zweryfikować, jeśli nie w trudnych czasach? Kres bólu jest bliski, ale by to odczuć, trzeba wyjść poza obręb strachu. Oswoić strach, zaakceptować, przyjąć i zacząć żyć w przekonaniu, że skoro istnieje strach, to istnieje również brak strachu. To Państwa kapitał.

*Dzień dobry. Mam bardzo poważny problem z 8-letnią córką. Odrzuca mnie, woli mieszkać z ojcem i jego nową partnerką, ja jestem workiem na pretensje i negatywne emocje. Odrzuca moje próby zbliżenia się do niej, porozmawiania. Jest bardzo agresywna, krzyczy, uderza mnie pięściami, przeklina, marudzi, często powtarza, że chciałaby, abym umarła. Mam szansę cokolwiek zrobić? Czy minie jej miłość do partnerki taty? Zmieni się cokolwiek? Wiem, że zmiany należy zaczynać od siebie, staram się, ale nie mogę pobłażać takim zachowaniom, nie reagować, zresztą jak nie reaguję, każę jej się wyciszyć, wychodzę z pokoju i mówię, że wrócimy do rozmowy, jak się uspokoi – jest jeszcze gorzej. Chodzę z córką na terapię. Nie wiem, co dalej. Chcę wiedzieć, czy i kiedy to minie, bo brak mi sił. Nie da się tak żyć.*

Pani córka ma ogromne poczucie straty, ocenia bardzo krytycznie świat,

samą siebie i wszystkich, którzy ją otaczają. Dla niej najbardziej niedoścignionym wzorcem jest ojciec, potężny jak cesarz, wobec którego czuje respekt i przekonanie, że nigdy nie będzie dość doskonała, aby zasłużyć na jego uwagę. Jest na z góry przegranej pozycji. Wszelkie próby zaskarżenia sobie jego miłości są skazane na niepowodzenie, bo on jest doskonałością. Wszystko, co go otacza, kąpie się w jego blasku. Wybranką ojca jest jego nowa partnerka. Zaskarżenie sobie jej względów to droga do serca cesarza. Zdobyć w ten sposób pozycję, która daje złudne poczucie „zbliżenia się” do doskonałości. Jest to ułuda, tego doskonałego poziomu z założenia nie można osiągnąć.

Pani stanowi dla córki uosobienie porażki. Przecież w jej mniemaniu została Pani odtrącona, w dodatku nie pojawił się przy Pani boku „nowy” cesarz, co potwierdza teorię, że jest Pani gorsza. Córka w ten sposób utożsamia się z Panią, wszystkie swoje niepowodzenia kumuluje w Pani osobie, widząc nieporadną siebie. Z nową partnerką ojca Pani córka wcale nie ma takiej udanej relacji. To iluzja, bariera ochronna stworzona po to, by bronić się przed bólem odtrącenia. To cierpienie, które Pani zadaje, jest wymierzone w nią samą. Gdy widzi, jak Pani cierpi, dokucza sama sobie i w ten sposób „karze się” za to, że nie jest doskonała w oczach ojca i jego partnerki. Pani to życie codzienne, oni to raj niedościgniony. Powroty do życia z rajów zawsze są przykre i budzą sprzeciw. Postawa Pani utrwaliła w niej taką postawę.

Proszę więc zaniechać stawania w szranki z doskonałością, to jest pozbawione sensu. Nigdy Pani nie wygra. Choć zabrzmiało to okrutnie i jest może dla Pani nie do przyjęcia, proszę rozważyć pogodzenie się z faktem, że jest się zgrzebną koszulą w porównaniu z jedwabiem, do którego tęskni Pani córka. Ale jedwab nie ogrzeje tak jak len i nie przetrwa tyle co wełna. Proszę szukać wartości w sobie, nie porównać. Każdy z nas ma ochotę co jakiś czas założyć cekiny, jednak po to tylko, by chwilę później przekonać się, że świecą jedynie w sztucznym świetle.

18 czerwca, czwartek

Odebrałam dziś telefon od mężczyzny, który podejrzewa swoją żonę o zdradę. Bardzo to przeżywa. Zatraskana rozłożyłam karty, ale te stanowczo odpowiedziały, że żona go kocha, szanuje i nawet nie myśli o zdradzie. Trochę się uspokoił, ale zapytał, czy może zadzwonić i sprawdzić za dwa dni. Rozumiem jego niedowierzanie, jednak to jest smutne, gdy ludzie sobie nie ufają.

Jakby tego było mało, zaraz potem połączyła się kobieta, która zadała to samo pytanie, ale dotyczące własnego męża. Tym razem karty odpowiedziały, że owszem, zdrada była, ale to już jest zakończona historia. Że pan nawet tego żałuje. Klientki to nie przekonało. Prosiła o ponowny rozkład kart. Spełniłam jej życzenie. Padła ta sama odpowiedź. To nie jest tak, że nie rozkładałam kart lub wyjmuję cokolwiek, a mówię to samo. Karty po przetasowaniu ułożyły się w taką samą

odpowieź. „No, to karty klasyczne!” – zarządziła klientka. Dobrze. Znów to samo. Aż podyktowałam jej rozkład, żeby sama sobie gdzieś sprawdziła interpretację. Wtedy ona wypaliła, że mąż musi ją zdradzać, bo jej najlepsza przyjaciółka tak twierdzi. Zapytałam ją, po co w takim razie zwraca się do mnie, skoro tak ufa zdaniu przyjaciółki? Na to klientka poprosiła, aby zadać to samo pytanie kartom po raz kolejny. Wtedy zapytałam ją: „Jakiej odpowiedzi pani oczekuje? Która wreszcie panią zadowoli? Taka, że zdradza? Taka informacja panią uspokoi?”. Wówczas klientka się rozłączyła.

Czasem zastanawiam się, czego ludzie naprawdę chcą? To nie problem napisać lub powiedzieć coś zgodnego z ich oczekiwaniami, bo zdradzają je od razu, ale rzecz w tym, że często klienci w rzeczywistości nie chcą dowiedzieć się tego, o co pytają, i pytają o to, czego nie chcą wiedzieć.

19 czerwca, piątek

Wróżka ma zachować dystans. Niczemu się nie dziwimy, wszystko jest właściwe i dla nas zrozumiałe. Takie zasady obowiązują w tej pracy. Tego też uczy mnie pani Zosia. Więc staram się zachować powagę, gdy telefonuje ktoś i pyta, czy to, że zaczęły mu wyrastać włosy z uszu, oznacza, że jest napiętnowany przez wilkołaki; gdy pani, która – jak sama twierdzi – nigdy nie obcowała z mężczyzną, pyta, czy jest w ciąży, bo wzduło jej brzuch dziś popołudniu; gdy telefonuje mężczyzna i pyta, czy nowo poznana dziewczyna roześmieje się, gdy on się dziś wieczorem przed nią rozbierze. Zdarzają się takie całe ciągi pytań, kumulacje. Muszę wtedy powstrzymać Bolusia, który chichocze na całego. Albo udaje, że kaszle.

Któregoś dnia przyszła do mnie pewna klientka. Niby chciała, żeby jej rozłożyć karty, ale jednocześnie przez cały czas starała się udowodnić mi, że ona wie lepiej, co która karta oznacza.

– Czy pani zdaje sobie sprawę, że karta Rydwan w tarocie o wartości liczbowej siedem to liczba boskiej i ziemskiej harmonii, bo trzy dodać cztery to siedem? Czy orientuje się pani, że karta Diabeł dlatego jest oznaczona piętnastką, bo to liczba pełni Księżyca? Czy wiedziała pani, że ludzie uznają pentagram za znak szatana, a tymczasem na karcie Kapłan jest cyfra pięć, bo jest to kwintesencja realizmu, pięć zmysłów człowieka, suma boskiej Trójcy i ludzkiej dwoistości?

Wtedy wyjmuję karty, na których nie ma cyfr, ani wyraźnych symboli. Od razu milknie, a ja mogę spokojnie pracować.

22 czerwca, poniedziałek

Klient, który podejrzewa żonę o zdradę, odezwał się znów. To samo pytanie, czy żona go zdradza. Ta sama odpowiedź, że nie, i znów powątpiewanie. Tym razem pan ujawnił trochę szczegółów swojej historii. Jego żona to piękna młoda kobieta. Nie pracuje, cały dzień spędza w domu. Może jej się nudzi? Ostatnio pan



obarczył ją bardzo trudnym zadaniem. Mianowicie zepsuły się drzwi przesuwne do szafy wnękowej i mąż zamówił montera. Ten człowiek był już dwa razy, niczego nie naprawił. Jutro ma przyjść po raz trzeci. „O co tu chodzi? – pyta pan. – Czyżby jego żona z tym monterem?”... Jest mu taka oddana, ale jednak to piękna kobieta i te drzwi nienaprawione... Ponad wszelką wątpliwość nie widać zdrady (karta Moc), więc starałam się uspokoić pana, że wszystko jest w porządku. Niestety, rozłączył się pełen wątpliwości.

23 czerwca, wtorek

Tę historię opowiedziałam Jackowi. Uśmieł się jak norka. Otóż przyszedł do mnie klient. Stateczny pan po pięćdziesiątce, dobrze sytuowany, piastujący bardzo ważne stanowisko. Pewnie krył się po krzakach, zanim wszedł do domu, bo wiele razy telefonował i szeptem donosił, że musi poczekać z naciśnięciem guzika domofonu.

W mieszkaniu musiałam zasłonić okno i zamknąć drzwi na klucz. Puściłam głośniejszą muzykę i prawie czytałam słowa z ust pana, bo ledwie wydawał z siebie dźwięki. Oczywiście papuga nie tylko została zamknięta w innym pokoju, ale także poprosiłam, aby się nie odzywała. O dziwo, posłuchał, Boluś kochany.

– Proszę pani, ja jestem opętany przez diabła i chciałbym, żeby mnie pani egzorcyzmowała – powiedział klient.

Zamurowało mnie. Nigdy nikogo nie egzorcyzmowałam i nie chcę tego robić. Jednak ten człowiek nie wyglądał mi na opętanego, raczej szalonego, a ja się wariatów panicznie boję. Szybko przypomniałam sobie, czy Jacek ma dziś dyżur w szpitalu.

Tymczasem klient kontynuował:

– Ja mam takie zboczony myśli i potem cały dzień chodzę, i nie mogę się skupić. A najgorsze jest to, że kiedy już mnie to tak strasznie męczy, to mówię żonie, o czym myślę, i ona jest przerażona. Boi się mnie i ucieka do drugiego pokoju, w którym zamyka się na klucz. Błagam, niech pani coś zrobi!

Rozłożyłam karty. Co jest, do diabła?! Karty mi się zepsuły, czy co?! Pokazały, że facet jest zupełnie normalny, nic mu nie jest, owszem, coś go dręczy, ale opisałabym to jako zmartwienie, a nie opętanie. Westchnęłam i poprosiłam, by opisał, co dokładnie się dzieje. Pan zawahał się, po czym wstał i powiedział:

– Dobrze. Opiszę.

Rozliczył się i wyszedł.

24 czerwca, środa

Nie mam nawet chwili wytchnienia, telefon niedługo przyrośnie mi do ucha, a palce odpadną. Linii papilarnych nie mam już, to pewne. Od rana pracuję, z małymi przerwami na zrobienie sobie herbaty z cytryną, jakiejś kanapki i na sen. Nawet nie mam czasu robić zakupów i gotować. Mój sąsiad Jurek wyczuł chyba szóstym zmysłem, że może mieć niebawem tuż za ścianą zasuszone włoski

przyklejone do komputera, mechanicznie stukające na klawiaturze, bo wprosił się nagle z całym garem fasoli po bretońsku. Uwielbiam. I nieważne, że to danie odpowiednie raczej na zimę. Ja to lubię przez cały rok.

Oczywiście, rozmowę i konsumpcję przerywał nam dzwoniący bez przerwy telefon. Jurek taktownie nic nie mówił. Zareagował dopiero wtedy, gdy połączył się ze mną ten klient od szafy i żony. Jurek tłumił śmiech, gdy ja spokojnym, rzeczowym tonem wypytywałam pana, dlaczego uważa, że przyłapał żonę na gorącym uczynku, skoro gdy wszedł do mieszkania, okazało się, że ona zmywa w kuchni, a amant, owszem, znajduje się w szafie, ale jest kompletnie ubrany. Aha, dlatego, bo stwierdził, że czeka na pociąg. W tym momencie i ja parsknęłam śmiechem. Wyobraziłam sobie tę sytuację. Mąż wchodzi do domu, żona w kuchni, a w szafie stoi obcy facet i zapytany, co tu robi, twierdzi, że czeka na pociąg. Jakby tego było mało, klient mówi, że to jest perfidia z jego strony, bo w pobliżu domu istotnie przejeżdżają pociągi. Jurek zadławił się fasolką.

Odpowiedziałam klientowi, że wciąż nie widzę zdrady, a mężczyzna mówi prawdę. Szczerze powiedziawszy, sama nie wierzyłam w to, co mówię. Klient prawie płakał. Wtedy Jurek powiedział coś, co było jeszcze bardziej pozbawione sensu, a mianowicie, że pojedzie do nich i naprawi im te drzwi do szafy, wtedy romans zdechnie w zarodku. Klient przystał na takie rozwiązanie, bo jednak bardzo kocha swoją żonę i nie chciałby się z nią rozwodzić.

25 czerwca, czwartek

Mój „opętany” klient się odezwał. Naprawdę napisał mi, co go dręczy. Okazuje się, że chodzi o fantazje erotyczne. On je ma i chciałby realizować, a jego żona wyzywa go od zboczeńców i dewiantów. Z ciekawości poprosiłam go o opisanie tych dewiacji, może Jacek mógłby mu pomóc. Na razie pan się wstydzi, wzdraga się tak bardzo, że moja ciekawość rośnie z każdą chwilą.

Jurek nie podzielił się jeszcze za mną wiedzą na temat pary z szafą. Też ciekawość mnie zżera.

Pan Przemek jest bardzo zdegustowany tym, że wyjeżdżam. On teraz jedzie na wypoczynek, za tydzień wraca, a tymczasem mnie nie będzie. To czysta złośliwość z mojej strony. Znów się nasłuchałam, jaka to ja jestem podła i samolubna. To się chyba nazywa masochizm emocjonalny. Muszę udać się na terapię do Jacka.

26 czerwca, piątek

No i już wiemy, jak to było. Karty wcale się nie myliły. Przeprosiłam je za brak zaufania. Okazało się, że państwo zafundowali sobie w sypialni nową szafę wnękową, z przesuwными drzwiami. Po niedługim czasie drzwi zaczęły się same otwierać. Pan sprawdził mechanizm, czy coś nie przeszkadza, nie zawadza, w końcu wezwał fachowca z firmy, która montowała szafę. Człowiek przyjechał, ostukał, obejrzał, obwąchał prawie i uznał, że drzwi są sprawne. Gdy pojechał,

drzwi się otworzyły. Wezwano go ponownie. Pan, który pracuje uczciwie na etacie, nie mógł być obecny przy kolejnej wizycie, więc uczulił żonę, łagodną i naiwną jak dziecko osóbkę, żeby asystowała fachowcowi podczas naprawy, bo znów nie wywiąże się on z zadania. Żona została wychowana w duchu bezwzględnego patriarchy, słowo męża jest święte. Przez cały czas obecności obcego pana nie odstępowała go na krok. Mężczyzna, choć bardzo się starał, przyczyn samoczynnego otwierania się drzwi nie znalazł. Zapowiedział, że wróci nazajutrz i sprawdzi co innego. I tak powtórzyło się przez kilka kolejnych dni. Mąż, informowany o postępach, nabierał coraz większych podejrzeń, bo żona opowiadała o gościu z wypiekami na twarzy i błyszczącymi oczyma, a na stole podczas jego wizyt zawsze gościł poczęstunek. Mąż nie wiedział, że fachowiec zaczął kojarzyć fakt bliskiego sąsiedztwa pociągów, regularnie przejeżdżających w pobliżu, z samoczynnie otwierającymi się drzwiami, ale sprawa wymagała obserwacji. Przychodził więc i patrzył. Pociągi przejeżdżały co godzina, więc należało poobserwować co najmniej przez dwie. Ale pani częstowała ciastem i kawą i okazja na obserwację mijała. W końcu monter uznał, że poczeka na przejeżdżający pociąg w szafie. Pierwsza próba wypadła pomyślnie. Druga też. Czekał na trzecią. Wtedy nieoczekiwanie drzwi się otworzyły i stanął w nich zbulwersowany mąż. Było to tak duże zaskoczenie dla fachowca, że jedyne, co mógł powiedzieć to: „Przepraszam, ale ja tu czekam na pociąg”.

27 czerwca, sobota

Doczekałam się. Maila z erotycznymi fantazjami. Pan napisał mi, że lubi kobiety w seksownej koronkowej bieliźnie, pończochach i oczywiście szpilkach, najchętniej czerwonych. Ale siebie też w tym lubi. On sam lubi przebierać się w damską bieliznę. Robi to po kryjomu, taki fetysz. Zaś wieczorem chciałby, aby jego żona przystroiliła się w to, co już nosił. Pani wyzywała go od zboczeńców i to cały problem. Zgodnie ze swoją pierwszą intuicją, skierowałam go do Jacusia. Na koniec pan zapytał, czy uda mu się przeznaczyć w najbliższym czasie większą kwotę na „stroje”.

A potem odebrałam telefon od nawiedzonego. Tak nazywamy tych, którzy telefonują do wrózek, obrzucają je wyzwiskami i oskarżają o uprawianie szarlatanerii. Taka rozmowa zawsze naszpikowana jest inwektywami i złością. Gdyby mogli, to ukamienowaliby mnie przez telefon. Żadna grupa klientów nie prezentuje takiego wysokiego poziomu nienawiści i frustracji jak oni.

29 czerwca, poniedziałek

Urlop za pasem. Już za tydzień wyjeżdżamy. Jurek obiecał, że zajrzy do zwierząt. Bolek i Korka przepadają za nim. Roksana zajęta nowym znajomkiem. Tym razem to jakiś agent służb specjalnych. Bardzo tajemniczy gość. Nic o sobie nie mówi, nic swojego nie przynosi. Być może boi się, że pozostawi odciski palców na obierkach od jabłka i w ten sposób będzie go można zdemaskować.

Pomieszkuje u Roksany, czasem dłużej, czasem krócej, ona sama nigdy nie wie, kiedy gość przyjdzie i kiedy wyjdzie. Czasem mam wrażenie, że ona specjalnie wyszukuje sobie takich gości. Ciekawe, co ją w nim tak pociąga?

7 lipca, wtorek

A więc, jedziemy! Kierunek: Marakesz. Nie powinno być problemu w pracy, tydzień zwłoki nie spowoduje kłopotów. Jedziemy już pojutrze, jestem mocno podekscytowana. Boże kochany, czuję się jak korek wypuszczony z butelki szampana. Marakesz!!!

9 lipca, czwartek

Marakesz. Maroko. Już te dwa słowa wystarczą, żeby zrobiło się gorąco. Słońce i uśmiechnięty rezydent przywitani nas na lotnisku. Roksana nie mogła oderwać od niego oczu. Pan Tomasz, sto osiemdziesiąt parę centymetrów stuprocentowego mężczyzny w okularach. Ja nie przepadam za takim typem „wiecznego chłopca”. Od razu nas zapamiętał, nie dlatego, że takie jesteśmy urodziwe i zjawiskowe, tylko ponieważ wyszliśmy z tego lotniska jako ostatnie. Torba Roksany zaklinowała się na taśmie bagażowej i musieli wyzwać techników, żeby ponownie uruchomić mechanizm. Zniecierpliwiona sąsiadka wgramoliła się na pas transmisyjny i w tej samej chwili, gdy szarpała się z walizą, pas ruszył. Ku uciesze tubylczej obsługi, Roksana, osadzona na walizce jak na byku, przejechała prawie całą trasę, zanim znów zatrzymano mechanizm. Oczywiście, zleciała się cała ochrona lotniska i dawaj wypytywać ją po arabsku. Roksana posługiwała się językiem ojczystym i tak sobie gadali, oni po swojemu, ona po swojemu, po godzinie im się znudziło i pozwolili nam odejść. Mam wrażenie, że Roksana coś obiecała, ale nie mam pojęcia co. Po prostu kiwnęła głową na zgodę i tyle.

Na nasz widok pozostali urlopowicze odetchnęli z ulgą. Siedzieli stłoczeni w autokarze i pocili się na potęgę, bo kierowca odmówił uruchomienia silnika, a tym samym klimatyzacji. Usiadłyśmy, każda gdzie indziej. Pan Tomaszek rozpoczął przemówienie powitalne, kierowca ruszył, na samym zakręcie Roksana podniosła się, żeby umieścić torbę na półce nad głową. Minutę później siedziała na kolanach pana ubranego w koszulę w kwiatki. Jemu nawet się to spodobało, jego żonie siedzącej obok zupełnie nie. Cała trójka skutecznie zagłuszyła Tomaszka. Potem okazało się, że ani Roksana, ani ja nie pamiętamy nazwy naszego hotelu. Odprowadziłyśmy więc wszystkich pozostałych turystów, bo Tomaszek zapomniał wziąć swoją listę i też nie wiedział.

Pod wieczór dotarłyśmy na miejsce. Przy recepcji nie było nikogo, żywej duszy. Czekałyśmy i czekałyśmy, w końcu porzuciłyśmy walizki na środku hallu i poszłyśmy szukać kogoś z obsługi. Udało się znaleźć i siłą doprowadzić jakiegoś przerażonego chłopaka, który wskazał nam recepcjonistę. Wtedy okazało się, że naszych walizek nie ma. Zniknęły.

– No pięknie! – skrzywiła się Roksana. – Zaraz pierwszego dnia nas okradli!

Na szczęście torebki z dokumentami i pieniędzmi miałyśmy przy sobie. Usłużny chłopak doprowadził nas do pokoju. Zdziwił się trochę, że nie mamy bagażu. Otworzyłyśmy drzwi i weszłyśmy do środka. Ciemno jak w jaskini. Nigdzie żadnych przycisków, wyłączników, kieszonek na kartę, nic – lita ściana. No cóż, jakoś trzeba było sobie radzić. Nasz pokój znajdował się na końcu korytarza i tylko nieliczni goście byli cokolwiek zdziwieni naszą dosłowną otwartością. Drzwi od pokoju pozostawiłyśmy bowiem otwarte na oścież, bo na korytarzu paliło się światło. Co nam mieli ukraść? Nas?

W łazience, luksus, psia krew! Potrzebne kurki i przyciski ukryte w ścianach. Wszystkie obmacałam, zanim popłynęła woda w prysznicu. Żeby użyć spłuczki, musiałam się pomodlić. Poważnie. Pochyliłam głowę i zaobserwowałam, że jeden kafelek z boku jest inny. Naciskam – spłukuje!

Nie wiem, jak my wytrzymamy w tych luksusach cały tydzień. No cóż. Trzeba się jakoś przemęczyć...

10 lipca, piątek

Rano udałyśmy się na śniadanie. Moc owoców, soczystych pomarańczy, daktyli, brzoskwiń, winogron. Moje ulubione naleśniki – byłam w raju. Niestety, raj nie dla mnie. Naleśniki muszą być z czymś: cukrem, serem, miodem, dżemem, czekoladą, szynką, czymkolwiek. Samych nie podają. Zabrałam z patelni gorącego, niedopieczonego naleśnika, zanim kucharz zdążył zareagować. Długo jeszcze wygrażał mi pięścią.

Potem ja udałam się na plażę, Roksana nad basen. Widok niekończącego się horyzontu zawsze działa na mnie kojąco. Szum morza, ciepło słońca, piasek między stopami i nikt nie marudzi, człapiąc obok. Przeszłam się spory kawałek, gdy wróciłam, postanowiłam usiąść na chwilę i popatrzeć na morze. Tak zupełnie bezmyślnie. Zapatrzyć się w dal i nie myśleć. Przymknęłam oczy, słońce delikatnie muskało mi twarz, czułam, jak się nagrzewam...

Aż nagle zrobiło się zimno. Nie, żeby mróz złapał, ale chłodniej... Otworzyłam oczy. Przede mną stał wieloryb. Opięty w biały kostium kąpielowy, wieloryb na niby-nózkach. Stał i przyglądał się, zasłaniając mi słońce. Patrzyłam na postać i nie wiedziałam, co robić. Wstać i odejść, przesunąć się, ją przesunąć? Zanim uruchomiłam szare komórki, wieloryb przemówił ludzkim głosem:

– Pan Tomaszek prosi na zebranie. Pani znowu jest spóźniona!

O kurczę! Zebranie rozpoznawcze! Zapomniałam. Byłam aż tak ważna, że ten cały Tomaszek wysłał po mnie zwiadowców? Podreptałam posłusznie za wielorybem. Cała nasza grupa, z Roksaną na czele, okupowała leżaki usytuowane przy wyjściu z hotelu na plażę. Usiedliśmy w kółeczku wokół pana Tomaszka, skutecznie blokując jedyne przejście. Pan Tomaszek wyrecytował opowieść o cudach Maroka, które powinniśmy zobaczyć, i nie ma się co namyślać,

bo to za takie pieniądze, że szkoda gadać. Biuro przecież nic na nas nie zarabia, tylko dokładają. Roksana gotowa była pojechać za nim nawet do piekła. Ja niekoniecznie, tym bardziej że należało zaopatrzyć się w dodatkową garderobę i kilka świeczek. Zapisalam się więc na wycieczkę na bazar.

Potem pan Tomaszek oprowadził nas po hotelu. Najbardziej zainteresowała nas kuchnia i brudne łapy kucharza, który najpierw wytarł ręce o fartuch, potem o nos, na koniec pogładził włosy i przystąpił do zagniatania ciasta. Oczywiście poznał mnie i zaczął gulgotać coś po swojemu. Będę przychodzić na posiłki w ciemnych okularach, zasłaniających pół twarzy. Rodzina wielorybów, złożona z taty wieloryba, mamy wieloryba, syna wieloryba i ciotki chudej jak palec, ale z nieodłącznym plecaczkiem, w którym zniknęło wszystko, co znalazło się w pobliżu jej rąk, stale trzymała się blisko nas. Czułam się przytłoczona. Wszystko chcieli o nas wiedzieć i ciągle coś z nami robić. Jedyne, czego nie cierpieli, to ruch, więc zaraz pierwszego dnia zapisałyśmy się z Roksaną na wszystkie zajęcia taneczne, sportowe i w ogóle związane z ruchem. Nawet na strzelanie z łuku.

Przy stole podczas posiłków czekali, aż my zamówimy coś do picia, bo w razie czego rachunek będzie opiewał na mnie lub na Roksanę. Chwalili się swoją przebiegłością i sprytem, ciocia kradła na potęgę, co jej wpadło w ręce, tata zjadał, a potem udawał, że to nie on, synek wskazywał – jakby co – na rodziców, a mamusia wszczyniała awanturę strasznie piskliwym głosem. Działo. W restauracjach po prostu starano się, aby jak najszybciej wyszli, na bazarach zamykano przed nimi stragany, i w ogóle unikał ich, kto mógł. Każdy, tylko nie my. Gapy skończone. Tomaszek plątał się obok nas nieustannie. Roksana wychwalała jego zaangażowanie pod niebiosa, ja czułam się niezręcznie. Zwłaszcza gdy zadzwonił i zaproponował darmową rundkę po nocnych lokalach z finałem w jego łóżku. Nie należą do światowych dam. Odmówiłam.

11 lipca, sobota

Wybrałyśmy się na Saharę, zobaczyć, jak wygląda morze piasku, powąchać wielbłąda i przeżyć przygodę życia. Dowieziono nas, czyli całą wycieczkę, na brudnawe klepisko, na którym leżały wielbłądy, lekceważąco coś przeżuujące. Poganiacze siedzieli przy nich i – jak Boga kocham – tak samo kręcili swoimi pyskami. Bezzębny, strasznie sepleniący Arab w turbanie wytłumaczył nam, jak się na wielbłąda wsiada. A mianowicie podnosi się jedną nogę do góry, hop i już. Nie sprecyzował którą, i jeden pan usiadł tyłem do przodu, zaskoczony, że wielbłąd zamiast łba ma ogon. Zamach nogą w wykonaniu profesjonalisty był potężny, w związku z czym Roksanie, która chciała to powtórzyć, udało się wielbłąda przeskoczyć. Ja gramoliłam się jak stuletnia staruszka i chyba wszyscy tubylcy mi w tym gramoleniu musieli pomagać. Nigdy w życiu tyłu facetów nie wyklepało mojego tyłka. Gdy usadowiłam się już między dwoma garbami, wielbłąd postanowił wstać. Znowu nikt nas nie uprzedził, że u wielbłąda najpierw wstaje

zad, więc mój kapelusz wylądował na nosie zwierzaka.

Najzabawniejsza historia spotkała jednak panią wielorybową. Kiedy zbliżyła się do wyznaczonego jej wierzchowca, ten nawet nie drgnął. Spokojnie przeżuwał dalej. Gdy babsko zadarło nogę, by na niego wsiąść, z rozbawieniem w oczach przyglądał się tej scenie i mogłabym przysiąc, że mówił innym wielbłodom: „Popatrzcie tylko, tylko popatrzcie!”. Wszyscy już siedzieli na swoich zwierzętach, nawet małżonek i progenitura wielorybia, a ta nie mogła się wtaszczyć. Wreszcie gigantyczne dupsko osiadło w siodle, a wielbładowi mało oczy nie wyszły na wierzch. Rozbawienie z nich znikło zupełnie i zamieniło się w niedowierzenie, potem irytację. Wiem już, jak mogły wyglądać oczy bazyliuszka. Właśnie tak, jak tego wielbłoda, gdy poganiacz kazał mu wstać. Zwierzę popatrzyło na niego tak, jakby mówiło: „Ty chyba żartujesz?!” – po czym z głośnym stęknieniem podniosło się na chwiejnych nogach. Prawie zapadał się w piasek z tą babą na grzbiecie. Kolejną chwilę młody chłopak w turbanie namawiał wierzchowca do zrobienia choćby pół kroku. Groził mu, prosił go, przekupywał. Wreszcie zwierz zmiękł i ruszył. Szedł bardzo wolno, cały czas mamrocząc coś bardzo niepoehlebnego o swojej niewdzięcznej pracy, tłustej pasażerke i zapewne o ludziach w ogóle. Babę to w końcu znarowiło.

– A zamkniesz ty tego ryja wreszcie?! – rzuciła ostro.

Wielbłąd stanął jak wryty. Słów zapewne nie zrozumiał, choć wszyscy Marokańczycy prezentowali niezwykle uzdolnienia lingwistyczne, ale chodziło o ton. Zatrzymał się, odwrócił wolno łeb i zmierzył babę wzrokiem. A gdy ta pacnęła go w czoło, wyrzucił z siebie lawinę gulgotów, przeplatanych zieloną śliną, po czym pomknął niczym młode źrebię z zadartym ogonem. Znaleźli ich jakiś czas później. Wielorybnica trzęsa się jak galareta i nie mówiła przez następne dwa dni.

Na pustyni nie wydarzyło się poza tym nic nadzwyczajnego. No, może tylko spotkanie z arabską rodziną, ale to opiszę jutro. Teraz pora spać.

12 lipca, niedziela

Najbardziej niespodziewany zakup – nabycie kart na targu w Casablance. Kart klasycznych i tarota. Nie umiem tego wyjaśnić, ale lubię je mieć blisko siebie. Mają tajemniczy zapach, są piękne, wciąż mogłabym je oglądać. Leżały na stoliku do szachów. Nic więcej nie przykuło mojej uwagi. Chciałam tylko karty. Mężczyzna, który sprzedawał, skrzywił się, gdy od razu wyjęłam pieniądze. Nie targowałam się. Patrzył na mnie z niechęcią, ale wówczas z wnętrza sklepu wyłoniła się kobieta, niemłoda, która popatrzyła na mnie, powiedziała coś po arabsku i po prostu wręczyła mi te karty. Bez zapłaty.

Sprzedawca nabrał jeszcze większego dystansu. Kobieta zaprosiła mnie do środka, podała herbatę. Cały czas przyglądała mi się badawczo, a ja przyciskałam karty do siebie. Gdy nie patrzyła, wahałam je, jak to czasem

robię w księgarni z nowo zakupioną książką. Gdy wypiliśmy herbatę, gospodyni coś do mnie powiedziała, ale nic nie rozumiałam. Wtedy poszła po owego mężczyznę i on przetłumaczył, że chciałyby, abym jej powróżyła. Pokręciłam głową, że nie, nie umiem, ale ona nalegała. Wtedy spełniłam jej prośbę. Rozłożyłam karty i wszystko stało się jasne. Wiedza spłynęła na mnie jak ciepło, jak światło. Mówiłam, mężczyzna tłumaczył, a kobiecie wilgotniały oczy. Po chwili ustawiła się już kolejka do wróżenia.

Nie przyjechałam tu przecież, żeby pracować, pomyślałam z rozpaczą. Jednak byłam w tym gronie sama, ludzie tłoczyli się w wejściu, bałam się odmówić. Skończyłam bardzo późnym wieczorem, za to z pokaźną sumą w torebce. Teraz trzeba wrócić do hotelu. Wszystkie taksówki pozniwały, bo już noc. Jak ja sobie poradzę? Usiadłam na ławeczce i zamyśliłam się. Strach błąkać się po nocy samej, chyba przesiedzę tu do rana. Wtedy, nie wiadomo skąd, pojawili się przy mnie marokańscy chuligani. Tak ich przez pomyłkę na początku oceniłam. Banda rozrabiających wyrostków, którzy włóczą się po nocy w poszukiwaniu guza. Nie miałam nawet gdzie się schować. Oby mnie tylko nie zabili, resztę zniosę, pomyślałam w panice i siedziałam dalej.

Towarzystwo mnie dostrzegło, a jakże, i zbliżyło się, pytając o coś, oczywiście w swoim języku. Odpowiedziałam im w swoim. Przez chwilę tak sobie konwersowaliśmy. Moje odpowiedzi, nie wiedzieć czemu, wywoływały u nich salwy śmiechu. W końcu padło pytanie, które rozumiałam. Wstyd mi, że oni posługują się językiem alternatywnym, dla mnie zrozumiałym, a ja nie. Może skrucha, którą poczułam, była wyczuwalna w głosie, dość, że na pytanie, co tu robię, odpowiedziałam, że czekam na taksówkę, która odwiezie mnie do hotelu. Kolejna salwa śmiechu. No tak, prawie pierwsza w nocy, a ja czekam na taksówkę. Powinnam dodać, że wyszłam wcześniej, aby się nie spóźnić. Gdy tak rechotali, zabrzmiał warkot auta. Spojrzeliśmy, jedzie taksówka! Ale z pasażerem. Młodzież coś do siebie wykrzyczała, po czym wszyscy wybiegli na ulicę tuż przed maskę samochodu. Kierowca zatrzymał się z piskiem opon. Chłopcy otworzyli drzwi i powiedzieli coś, co mogło oznaczać, że potrzebny jest transport dla mnie. Wtedy siedzący na tylnym siedzeniu pasażer zaczął głośno protestować. Więc go wyciągnęli na chodnik, pozbawili jeszcze portfela, który ktoś wcisnął mi do ręki ze słowami: „To na taksówkę!” – wepchnęli mnie do środka i gestem pokazali kierowcy, że ma jechać. No i pojechałam. Najpierw na posterunek policji, gdzie zaspany policjant nie chciał mi uwierzyć, że to nie ja napadłam na taksówkarza, zabrałam mu portfel i zmusiłam, żeby mnie tu przywiózł, bo w międzyczasie dopadły mnie wyrzuty sumienia.

Rano Tomaszek podszedł do mnie i powiedział z wyrzutem:

– A ze mną to nie chciałaś iść poszaleć!

13 lipca, poniedziałek



Naturalna w człowieku potrzeba poznania wszystkiego, z czym ma styczność, sprawia, że pojawiają się pytania najbardziej fundamentalne. Kim jestem? Po co pojawiłam/pojawiłem się na tej ziemi? Czy istniałam/istniałem wcześniej? Czy moja droga życiowa to napisany już scenariusz, który tylko przyjdzie mi odegrać na scenie życia? Czy mam wpływ na własne przeznaczenie? Czy jestem naprawdę wolny/wolna w swoich wyborach? Co mnie spotyka? Czemu to służy? Dlaczego? Zdarzało się, że w jakimś miejscu czułam się tak, jakbym od lat tam mieszkała, każdy kąt był mi znajomy. Nie zaprzeczam możliwości występowania zjawiska reinkarnacji, co tłumaczyłoby te odczucia, ale we mnie rodziły się zawsze pytania bardziej ogólne: Kim jestem? Co niosę ze sobą? Po co znów wróciłam na ziemię, jeśli tak się stało? Czego nie zakończyłam wcześniej?

Aby zmierzyć się z pytaniem, kim jestem? – należy zastanowić się, czy charakterystyka ma odnieść się tylko od aktualnej odsłony, czyli ma stanowić opis osoby, z którą rozmawiam w tym momencie. Na tak zadane pytanie odpowiedź brzmi: jesteś tym, za kogo sam/sama siebie uważasz, poszerzone o sposób postrzegania cię przez innych. Tak postawione pytanie jest niepełne. Pojawia się bowiem wątpliwość, czy pytamy o to, kim jesteśmy teraz, czy o to, kim byliśmy wcześniej. Przeżyte doświadczenia oraz wiek zmieniają postrzeganie człowieka na wielu płaszczyznach, więc o który wymiar chodzi?

Wreszcie, jak odpowiedzieć na pytanie, kim jestem? – jeśli przyjąć, że należy uwzględnić wiedzę o sobie nabytą wcześniej, a więc horyzont przeżytych doświadczeń przesunie się aż do pierwszego z wcieleń. Tak głęboka analiza osobowości zwykle daje odpowiedź na kolejne pytania. Podróż na Wrzecionie Czasu to obserwacja siebie najgłębsza, najczystsza, bo pozbawiona jakichkolwiek schematów. Każde wcielenie wdrukowuje własne wzorce, uwarunkowane kulturowo, społecznie, żaden umysł przy swoich ograniczeniach nie jest w stanie zgromadzić i przeanalizować danych tak obszernych. Potrafi to tylko podświadomość, która gromadzi mądrość pozyskaną z doświadczenia i odczuwania. Czy przeznaczenie ma zatem jeden wymiar, czy kilka? Czy pojawiając się we wcieleniu drzewa, realizuję to samo przeznaczenie, gdy odradzam się jako wojownik w Sparcie? Czy istnieje kolejność wcieleń, uzasadniona realizowaniem jakiegoś Wyższego Planu? Wydaje się, że tak, można zaobserwować pewną konsekwencję w przeżywanych sytuacjach, które – za sprawą odczucia – uważamy za już przeżyte, znajome. Zarazem pojawia się niewytłumaczalna potrzeba badania tego, co niezbadane w nas, szukania w naszej podświadomości odpowiedzi na pytanie, dlaczego mnie to spotyka? Zatem skoro rodzi się taka potrzeba, musi ona wynikać z wyższej świadomości, niedostępnej umysłowi. Gdyby umysł dyktował nam taką potrzebę, sięganie do przeżyć z poprzednich wcieleń byłoby jednym z przedmiotów szkolnych. Również fakt, że

nie wszyscy są gotowi na poznanie siebie z wcześniej, dowodzi, iż jesteśmy elementem jakiegoś Wyższego Planu. Wreszcie, czy ten plan jest przesądzony, niezmienny, a my, niczym aktorzy, powinniśmy odegrać tylko swoje role na scenie życia?

Nie. Za taką tezę przemawia oczywisty fakt o istnieniu niezaprzeczalnej wolnej woli człowieka. Jego nadprzyrodzonej godności, która czyni istotę ludzką najdoskonalszym stworzeniem na ziemi. Wolna wola człowieka przesądza o jego przeznaczeniu. Tu każdy z nas jest jak malarz stojący przed niezamalowanym płótnem. Mamy do wykonania zadanie. Sposób jego wykonania oraz decyzja, czy w ogóle je wykonamy, należy do nas. Ja podjęłam decyzję, że podążę ścieżką mojego wewnętrznego poznania, na końcu której znajdę to, czego szukam. Miłość i spełnienie. Wyznaczam sobie cel w postaci niezbaczenia z drogi. Co się na niej pojawi? – nie wiem i nie chcę wiedzieć. Chcę wierzyć, że tylko to, co jest dla mnie dobre, rozwijające, uczące mnie. Nie bez powodu przecież pojawiłam się właśnie w tym miejscu, Casablanka wywołuje we mnie rozmyte wspomnienia, coś, co ucieka, gdy tylko skupiam na tym myśl. Coś się rozpoczęło, wiem to, choć nie umiem tego nawet nazwać. Ale to coś bardzo ważnego. Dla mnie. Obudziłam się z takimi słowami w głowie i nie mogłam pozwolić, by spadły na ziemię.

14 lipca, wtorek

Postanowiłam wybrać się samotnie do Rabatu. Bez pana Tomaszka i reszty grupy. Roksana wolała pozostać w hotelu i poświęcić ostatnie chwile przypiekaniu się na słońcu. Najgorzej było z Wielorybami, bo pani Wieloryb uparła się, że musi sobie kupić klapki, a w okolicy hotelu nie ma takich, jakie ona sobie wymarzyła. Gdy nieopatrznie wygadałam się, że zaraz po śniadaniu jadę do stolicy, Wieloryby przykleiły się do mnie jak plaster. Nie pomogło nawet chowanie się za budką wartownika przed hotelem. Wypatrzyli mnie i nie było wyjścia, pojechaliśmy razem. Już w autobusie Wieloryby urządziły koncert, ponieważ kierowca zażądał od nich podwójnej opłaty. Nie było to nieuczciwe, zajmowali przecież każde po dwa miejsca. W Rabacie pan Wieloryb od razu orzekł, że to wiocha, i nie warto było przyjeżdżać. Pani Wielorybowa zaczęła rozglądać się za jakąś knajpką, bo całe dwie godziny nic nie jadła. Poszliśmy więc w stronę niewielkiej restauracyjki. Liczyłam na to, że ich tam porzucę i ucieknę pod pozorem skorzystania z toalety. Usiedliśmy przy stoliku. Wieloryby zaczęły czytać menu. Przystudiowali całą treść w skupieniu, po czym zamówili frytki z ketchupem. Udałam się do toalety. Weszłam do niedużego pomieszczenia z oknem. Niewysoko, parter, wyskoczę. Nagle ktoś wszedł do środka, a ja w popłochu skryłam się w jednej z kabin. Były trzy. Usiadłam na sedesie i czekam, aż ta osoba zajmie się sobą po sąsiedzku. Nie zasunęłam zasuwki. Wtem drzwi do mojej kabiny otworzyły się i przed oczami stanął mi gigantyczny zad, który opadał wprost na mnie. W kabinie było dość ciasno, więc osoba wślizgała się do środka

tyłem. Zrobiło mi się ciemno przed oczami, pamiętam tylko, że strasznie głośno krzyczałam.

Do hotelu wróciliśmy taksówką. Wieloryby ostentacyjnie trzymały się ode mnie z daleka aż do końca podróży. Może dlatego, że w taksówce śmiałam się histerycznie przez całą drogę.

15 lipca, środa

Roksana usilnie starała się poderwać jednego z recepcjonistów. Biegała mu przed oczyma w tę i z powrotem, z dnia na dzień coraz bardziej roznegliżowana. Pan nic, twardo siedział przy kontuarze i udzielał odpowiedzi podchodzącym osobom. Nawet mu mięsień twarzy nie drgnął, gdy Roksana, półnaga, podeszła i o coś go zagadnęła. Odpowiedział uprzejmie, ale bez afektacji. Rozczarowana oddaliła się. I wtedy do pana recepcjonisty podeszła kobieta, prowadziła psa przewodnika i podała panu białą laskę.

Dziś ostatni dzień. Chyba w całości go prześpię. Dosyć tych atrakcji.

Wieczorem

Roksana pochorowała się na żołądek. Chciała najeść się na zapas chałwy i daktyli. Brak umiarkowania w jedzeniu i picciu to przykład obrazujący brak umiaru w ogóle. Brak umiaru we wszystkim stanowi naruszenie równowagi, harmonii, która jest wstępem do ciszy. Arystoteles pisał na temat umiaru, że jego przeciwieństwem jest czasem niedostatek, czasem nadmiar. *Umiar jest bowiem czymś przeciwnym do nadmiaru, lecz w stosunku do niedostatku wykazuje nadmiar. Dlatego ludzie rozrzutni uważają szczodrych za skąpców, skąpcy szczodrych za rozrzutnych, zaś zuchwali i lekkomyślni mężnych nazywają tchórzami, natomiast tchórze mężnych lekkomyślnymi i szalonymi. Jednak bardziej jesteśmy skłonni stawać się nieumiarkowanymi niż skromnymi, dlatego chętniej oddajemy się temu, do czego jesteśmy skłonni z natury, a czemu się chętniej oddajemy, to właśnie jest bardziej przeciwne. Chętniej oddajemy się rozwiązłości aniżeli skromności. Czym więc jest doskonałość, czyli cnota? Jest ona pewnego rodzaju umiarem w namiętnościach (...). Zachowaniem umiaru w każdej sprawie. Czy jest to możliwe? Każdy zapytany, czy chciałby być szlachetny i sprawiedliwy, nie wybierze niesprawiedliwości<sup>[3]</sup>. Jednak to człowiek jest zdolny do dokonywania wyborów i szukania owego umiaru między nadmiarem i niedostatkiem. Dlatego błędem jest pozbawiać się wszystkiego i błędem jest wszystko zachowywać dla siebie. Brak umiaru w obdarzaniu miłością i niedostatek w jej okazywaniu to przewinienia wobec duszy.*

*Jednakże człowiek, który ma takie usposobienie, że wobec silnych doznań pozostaje bez uczucia przyjemności, nie jest człowiekiem umiarkowanym, lecz niewrażliwym. Lecz kiedy tych doznań doświadcza i daje się im porwać do tego stopnia, że ich nadużywa i wszystkie pozostałe sprawy traktuje jako uboczne, taki człowiek też nie jest umiarkowany. Również gdy ktokolwiek powstrzymuje się*

*od zażywania przyjemności ze strachu czy z jakiegokolwiek innego powodu, ten nie jest umiarkowany. Bo tylko człowiek jest istotą posiadającą rozum, z pomocą którego ocenia piękno i brzydotę, zanim je wybierze. Bo każda cnota tyczy się moralnego piękna i zmierza do piękna. Stąd umiarkowanie odnosi się do przyjemności i przykrości oraz takich wrażeń, których dostarczają zmysły dotyku i smaku<sup>[4]</sup>.*

16 lipca, czwartek

Rozwiązała się tajemnica zaginionych bagaży. Cały tydzień przestały spokojnie w hotelowym schowku. Przekonane, że nas okradli, i zawstydzone, że okradli tylko nas, nie zgłosiłyśmy tego faktu. Obsługa hotelu pomyliła pokoje, a ponieważ goście, którym nasze walizy dostarczono, stanowczo odmówili ich przyjęcia, wylądowały one w komórce i były proponowane jako souvenir każdemu wyjeżdżającemu turyście. Dopiero nasze Wieloryby się zachęciły. Przywłaszczyli sobie niechciane walizki, i przy załadunku do autokaru transportującego nas na lotnisko rozpoznałyśmy naszą zgubę. Przy okazji wyjaśniam, że światło w pokoju też było. Oczywiście elegancko zamaskowane w ścianie. Oświecił nas pewien pan, światowiec i obieżyświat. A my głupie, przy tych świeczkach... Pokojówki pewnie długo jeszcze będą opowiadać sobie o nas anegdoty. Tomaszek towarzyszył mi aż do odprawy paszportowej. Nie asystował tak nikomu innemu. Nie wiedziałam, gdzie oczy podziać. Uwziął się na mnie, po prostu. Odetchnęłam w samolocie. Wracamy. Czy ja w ogóle odpoczęłam?

20 lipca, poniedziałek

Urlop to czas pomiędzy pracą a jeszcze cięższą pracą. Nie pamiętam, kto tak powiedział, ale miał świętą rację. To niesprawiedliwe, że człowieka powracającego z zaledwie tygodniowego urlopu traktuje się jak przestępcę, którego należy „ukarać” nawałem pracy. Chociaż zawiesiłam na portalu informację, że rozpoczynam urlop, skrzynka ugiwała się od nieodebranych wiadomości. Większość oznaczona przez administratora jako pilne. Ale czekała na mnie także miła niespodzianka. List w skrzynce pocztowej. Już po przeczytaniu pierwszych słów zrobiło mi się gorąco.

*Witam,*

*dziękuję za wszystkie listy, które do tej pory od Pani otrzymałem, i przepraszam, że odpisuję tak późno, wyjaśnię za chwilę, dlaczego.*

*Chciałbym, aby Pani wiedziała, że dzięki tym listom moje zwyczajne, londyńskie życie nabrało barw, a ja przypomniałem sobie, że istnieją ludzie, którym bardzo na mnie zależy, moja rodzina i przyjaciele, oraz zrozumiałem, że oni moją nagłą decyzję o wyjeździe do Anglii mogli odebrać jako ucieczkę przed problemami, i że będą się martwić. Choć nigdy nie posądzałbym ich o to, że*

*wpadną na pomysł, aby nasłać na mnie wróżkę!*

*Teraz kilka słów wyjaśnienia: już po lekturze drugiego listu od Pani skontaktowałem się z moimi bliskimi, a oni opowiedzieli mi, skąd wziął się pomysł pisania listów do mnie. Przyznaję, pochlebiało mi, że ktoś zadaje sobie tyle trudu, by nawiązać ze mną kontakt. Zwłaszcza że nigdy nie mieliśmy okazji się poznać. Romantyczna historia, a ja uważam się za romantyka. Prosiłem więc moich bliskich, aby nie informowali Pani o tym, że misja się powiodła. Chciałem przekonać się, jak ta historia się rozwinie i czy uda nam się spotkać? I wtedy przyśnił mi się taki sen: widzę siebie ubranego w elegancki garnitur, białą koszulę i krawat. Stoję na skraju przepaści, tuż przede mną widnieje mała kładka, która prowadzi na drugą stronę. Stoję niezdecydowany na brzeżku, a za horyzontem słońce wschodzi i zachodzi, jak na przyspieszonym filmie. W pewnym momencie za moimi plecami dostrzegam płomienie, szaleje pożar. Wciąż się waham. Dopiero gdy języki ognia prawie liżą moje nogi, robię pierwszy krok. Kładka chybotze się, ale niegroźnie. Kolejny krok, potem następny. Garnitur ogranicza moje ruchy, krawat wyraźnie mi przeszkadza, ja jednak ani myślę o tym, by pozbyć się chociaż fragmentu garderoby. Gdy znalazłem się w połowie kładki, ta zaczęła niebezpiecznie trzeszczeć, jakby ostrzegała, że za chwilę się połamie. Wciąż stoję niezdecydowany. Po drugiej stronie zapraszał zielony las, za nim szalał ogień. Wtedy zrobiłem coś nieoczekiwanego. Spojrzałem w dół i... skoczyłem.*

*Drugi sen, kolejnej nocy. Znowu ja, w garniturze, pod krawatem. Tym razem w wodzie, ocean bezkresny wokół mnie, nigdzie nawet kawałka lądu, niebo zlewa się z wodą. Słabnę, czuję bezradność i lęk. Wtedy nadlatuje mewa i łapie mnie za krawat. Ciągnie za sobą, holuje do brzegu. Opadam na piasek. Oddycham ciężko, ale z widoczną ulgą. Garnitur ocieka wodą. Potem wstaję i wchodzę do wody. Coraz dalej i dalej, woda mnie pochłania...*

*Ostatni sen przyśnił mi się niedługo potem, to pustynia lub sawanna. Nie ma na niej ludzi. Widzę tylko samotnego tygrysa, który wygrzewa się na piachu. Jest spokojny, odpoczywa. Nagle na ziemię spada smok z trzema głowami. Siada obok tygrysa i przygląda mu się. Nie wiadomo skąd, pojawiają się zewsząd ludzie, którzy zaczynają obrzucać smoka i tygrysa kamieniami. Tygrys wycofuje się, jeden kamień dosięga jego głowy, krew spływa mu po pysku. Tygrys odwraca się i wtedy widać, że stoją za nim ludzkie dzieci. Ludzie wciąż ciskają kamieniami. Tygrys zasłania dzieci sobą, jest już mocno ranny. Smok wzbija się w powietrze, po chwili jednak opada i tygrys z dziećmi na niego wsiadają. Tygrys unosi się w powietrze, wtedy ziemia zapada się, znika...*

*Nie mam w zwyczaju przejmować się snami, nie jestem przesądny, nie wierzę wroźkom. Choć przyznam, że treść tych snów zaintrygowała mnie. Zaczęłam przeglądać strony internetowe prezentujące wróżki i wróżbitów, odwiedziłam także Pani stronę. Ale nie poprosiłam nikogo o interpretację. I cóż, zaskakujące rzeczy dzieją się wokół nas. Omijamy bezmyślnie to, co jest najbardziej pożądane, zastanawiamy się nad najbardziej oczywistym, boimy się tego, co jest zupełnie niegroźne. Dlaczego? Bo działa nasza wyobraźnia. Wyobrażenia na temat osób i miejsc żyją w nas swoim własnym życiem, a ponieważ są zawsze doskonalsze od rzeczywistości, to wygrywają z nią. Potem przychodzi rozczarowanie, frustracja i ucieczka w kolejne wyobrażenia... Tak myślałam do tej pory i byłam nieszczęśliwy.*

*Na koniec wspomnę o jeszcze jednym ważnym wydarzeniu w moim życiu: pod koniec marca bawiłam kilka dni w Warszawie i umówiłam się z pewną dziewczyną, poznaną przez internet, na randkę w miłej restauracji. Po ostatnich przykrych przeżyciach z kobietami było to dla mnie prawdziwe wyzwanie. Wyzwanie, które mnie przerosło, bo nie miałam odwagi przyznać się, że to ja jestem adresatem Pani listów. Czy jest szansa, aby to nadrobić? Czy zechce Pani spotkać się ze mną raz jeszcze?*

*Marek, Milczący dotąd Adresat Pani Listów*

Chyba się zakochałam. Tak myślę, chociaż świat się nie rozpadł i nie zagrzało mi nad głową, a jednak poczułam, że może to ten, którego tak desperacko poszukiwałam. Marek. Nawet imię ma piękne. Dopasowany do imienia rzymski profil. Marek, z którym spędziłam wtedy cudowne chwile w restauracji, jest idealny i nie ma już potrzeby zastępować go kimkolwiek innym.

I co teraz? Mam nadzieję, że to koniec historii samotnej wróżki. Rozpaczynam nowy rozdział w życiu. Jako bardzo, ale to bardzo zajęta wróżka!

**KONIEC**

[1] Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Książę*, MUZA SA, 2005.

[2] Ks. A. Jagiełło  
(<http://egzorcyzmy.katolik.pl/tematy/egzorcyzmy-opetanie-pomoc/walka-duchowa-2/>).

[3] Arystoteles, *Etyka nikomachejska*.

[4] Arystoteles, *Etyka Wielka, Poetyka*.

Copyright for the Polish Edition

© 2016 Edipresse Polska SA

Copyright for text

© 2016 Ewa Zdunek

Edipresse Polska SA

ul. Wiejska 19,

00-480 Warszawa

Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska

Redaktor inicjujący: Natalia Gowin

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk

Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska

Redakcja: Ita Turowicz

Korekta: Anna Smolarczyk, Barbara Syczewska-Olszewska,  
Ewa Mościcka

Projekt graficzny okładki i stron tytułowych: Magdalena Limbach

Projekt makiety, skład i łamanie: Ryszard Żuber

Biuro Obsługi Klienta

[www.hitsalonik.pl](http://www.hitsalonik.pl)

mail: [bok@edipresse.pl](mailto:bok@edipresse.pl)

tel.: 22 584 22 22



(pon.–pt. w godz. 8:00–17:00)

[www.facebook.com/edipresseksiazki](http://www.facebook.com/edipresseksiazki)

Druk i oprawa: LEGA, Opole

ISBN: 978-83-7945-250-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

Patronat: [polki.pl](http://polki.pl)

**polki.pl**

